

DZIESIĘĆ MIESIĘCY
POD GROZĄ ŚMIERCI

MIECZYŚLAW SCHMIDT

JANUSZ GOŁDYN

Janusz Gołdyn

DZIESIĘĆ MIESIĘCY
POD
GROZĄ ŚMIERCI

WARSZAWA — 1929

NAKŁADEM KSIĘGARNI FERDYNANDA HOESICKA



193401

Książkę tę poświęcam pamięci

HENRYKA STANISŁAWA CEDERBAUMA

A D W O K A T A

*przyjaciela mego i kolegi szkolnego,
zmarłego w dniu 24 maja 1928 roku,
przez wdzięczność za Jego bezinteresowne starania w sprawie mego powrotu do Ojczyzny. Gdyby nie on, nie ujrzałbym ani Polski, ani własnej rodziny i nie ogłosiłbym niniejszych pamiątek. Trudności bowiem przedostania się do Kraju z Dalekiego Wschodu w r. 1922 były zbyt wielkie, abym bez Jego życzliwości i pomocy mógł wówczas pokonać sam.*

Drukarnia: Piotr Pyz i S-ka, Warszawa, Miodowa 8.

K-191/88

W S T Ę P.

Z dość licznych głosów czytelników tomu pierwszego *mych wspomnień**) oraz ze sprawozdań o tymże tomie w prasie widzę, że większość czytelników nie zupełnie jasno uświadamia sobie przez jaką właściwie władzę zostaliśmy aresztowani w Aschabadzie w roku 1918-m. Nic dziwnego, bowiem Rok 1918 w Rosji był naogół pod znakiem rządów sowieckich. A zatem wszyscy, kto nie zna bliżej wewnętrznych stosunków w poszczególnych dzielnicach dawnego obszaru Rosji z tego właśnie okresu, skłonni są przypuszczać, iż jedynie rząd sowiecki mógł w tym czasie być panem sytuacji i w Aschabadzie.

Tak jednak nie było. Właśnie w tym czasie w Aschabadzie, rządził Komitet t. zw. „Staczechnyj”. A powstał on wskutek niezadowolenia lud-

*) „On his Majesty's service” (Naokoło Afganistanu). Warszawa. 1925.

ności z rządów bolszewickich i po obaleniu tychże w dniu 31 grudnia (st. st.) 1918 r. Główną podporą owego „Staczechnaho Komitieta” byli Anglicy, znajdujący się wówczas w całym bakińskim rejonie w charakterze okupantów, co potwierdzają załączone tu dwie odbitki fotograficzne gazety „Iskry” i „Gołos sredniej Azii”.

Bez poparcia i pomocy Anglików utrzymanie się tego rządu przez czas dłuższy byłoby nie do pomyslenia, zważywszy na warunki, w jakich ów rząd powstawał i na zrewoltowane masy, ciężące naogół ku bolszewizmowi. Samo zaś powstanie takiego rządu-dziwoląga, skleconego naprędce przez ludzi żądnych władzy, a podtrzymywanego przez nie mających nic wspólnego ani z narodem rosyjskim, ani z jego ideologją, Anglików, było możliwem w tym tylko okresie, w okresie zaniku wszelkiego poczucia prawa i ogólnego chaosu. Rząd ten przytem uzurpował sobie prawo występowania w imieniu całej Azji środkowej. Wydawane przez niego pismo codzienne nosiło tytuł: „Gołos sredniej Azii” (Głos Azji środkowej). I właśnie przez ten rząd, (znajdujący się pod protektoratem Anglików), a nie bolszewicki, byliśmy aresztowani w Aschabadzie.

Gdybyśmy trafili do rąk bolszewików, rozprawionoby się z nami krótko, jak to jest u nich

w zwyczaju, rozstrzelanoby nas natychmiast po aresztowaniu i nie zadawanoby sobie trudu odsyłania do Indyj lub gdzieindziej. W całej zaś historii naszego aresztowania i wywiezienia charakterystycznym jest ten szczególny system władzy angielskiej, polegający na wyrafinowanem okrucieństwie, czynionem w białych rękawiczkach i rzekomo w imieniu prawa.

Ciężkie koleje życia, jakich mi los nie szczędził, odbiły się w końcu na mojem zdrowiu. Wzrok osłabł na tyle, że nawet przy pomocy szkieł nie jestem już dziś w stanie ani czytać ani pisać. I książka ta nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie życzliwa pomoc pani Stanisławy Borkowskiej w odcyfrowywaniu i opracowaniu moich notatek z czasu pobytu w niewoli angielskiej. Wobec tego, uważam za swój obowiązek złożyć p. S. Borkowskiej na tem miejscu serdeczne i gorące podziękowanie.

Przez Indie w niewiadomym kierunku.

Zbliżał się koniec czteromiesięcznej naszej podróży. Pomimo wszelkich udręczeń i okrucieństw, jakie względem nas stosowano w tej, zagadkowej dla nas podróży, dojeżdżaliśmy do Indyj, gdzie według naszych przypuszczeń, miało nastąpić rozstrzygnięcie naszego losu.

Nie dojechaliśmy wprawdzie wszyscy. Jeden z naszych współtowarzyszów zmarł podczas przemarszu; słaby jego organizm nie mógł znieść tej krzyżowej drogi. Kości owej nieszczęsnej ofiary metod, stosowanych przez oddział Tomsona, spoczęły na wieki w stepach Persji.

Co nas oczekiwało dalej, w jakim celu wleczono nas, nawpół żywych, zakutych w kajdany i rozbitych moralnie, pozostawało nadal zagadką. Nie byliśmy ani jeńcami wojennymi, ani zakładnikami. Należało tedy wnioskować, iż uważano nas za przestępców, na udowodnienie winy których było zbyteczne i śledztwo i sąd. Zresztą, dokonanie procedury

śledztwa i sądu nad nami było przecież niemożliwym z tego względu chociażby, że znajdowaliśmy się w odległości kilku tysięcy kilometrów od miejsca, skąd zostaliśmy wprowadzeni. Tu, w Indjach, nie posiadaliśmy przecież żadnych dowodów na swoją obronę. O jakiejś zaś pomocy, czy interwencji w naszej sprawie zzewnątrz, również nie mogło być mowy, gdyż znajdowaliśmy się w obcym dla nas kraju i jako więźniowie byliśmy pozbawieni możności porozumiewania się ze światem. Od czasu wpadnięcia w ręce „his majesty's service“ należeliśmy do kategorii ludzi „zaginionych bez śladu“.

Bezimienni, konwojowani przez wciąż zmieniających się dozorców, byliśmy jak gdyby stadem zwierząt, poganianych i pędzonych przed siebie, niewiadomo dokąd i w jakim celu. To też często stawały w mej pamięci opuszczone głowy i błędne, smutnie patrzące oczy stepowych wołów, których stada całe nieraz widywałem wiezionych na rzeź w specjalnie do tego celu przeznaczonych wagonach towarowych. Mimowoli nasuwało się porównanie obecnej naszej sytuacji do sytuacji tych biednych zwierząt, niegdyś przeze mnie ze współczuciem obserwowanych. Tak samo jak one byliśmy pędzeni i skuci i w dodatku nie wiedzieliśmy, czy kres naszej podróży nie będzie kresem naszego życia.

Stosunek do nas oficerów i żołnierzy angielskich nie różnił się chyba w niczem od stosunku zwyczajnych poganiaczy bydła do swego „towaru żywej wagi“. I ten właśnie ich nieludzki stosunek był dla nas

boleśniejszym od wszystkich cierpień fizycznych. Wprawdzie, od czasu umieszczenia nas w wagonach i transportowania koleją, stosowany względem nas rygor stał się nieco łagodniejszym: nie skuwano nas na noc po czterech razem, nie budzono już o świcie; pozwalano nawet porozumiewać się między sobą, lecz pozostawione na naszych rękach kajdany przypominały o tem, iż uważani jesteśmy za zbrodniarzy, wiezionych do nieznanego nam miejsca przeznaczenia, dla spełnienia nad nami jakiegoś zgóry postanowionego wyroku.

I tutaj, jak podczas całej drogi po przez Persję i Beludżistan, władze wyższe losem naszym pozornie nie interesowały się wcale; byliśmy pozostawieni, jak i przedtem, na opiece żołnierzy jedynie, którzy zapewne mieli co do nas jakieś instrukcje.

Od czasu przybycia na ziemię Indyj, konwojujących nas żołnierzy Hindusów zastąpiono Anglikami. Na ich surowych, tryskających zdrowiem, wygolonych twarzach, malowała się pogarda na widok naszych wynędzniałych postaci, mających w dodatku zakute ręce, owiniętych w strzepy brudnych łachmanów.

Pociąg posuwał się leniwo. Zatrzymywał się jedynie na bocznicach, aby przepuścić mijające się z nami pociągi. I w dalszym ciągu nikt się nie interesował nami. Nawet towarzysząca nam straż miała obojętne, znudzone twarze „poganiaczy bydła“. Przejechawszy Ind, kierowaliśmy się wciąż na

wschód. Dokąd podążamy trudno było orientować się w nieznanym kraju; bez mapy niepodobniestwem było określić, gdzie się znajdujemy. Nazwy stacyj kolejowych, które od czasu do czasu odczytywałem na migających w oknach wagonu budynkach stacyjnych, nie mówiły mi nic. Mogłem zorjentować się jedynie, iż wiozą nas w głąb kraju, do Indyj centralnych.

Pomimo wielkiego zmęczenia i nerwowego wyczerpania, a może właśnie na skutek tego, sen nie miał się moich powiek. Leżąc tak czasem w nocy, w męczącym stanie bezsenności, na twardej ławce wagonu, z podłożonemi pod głowę zakutemi rękami i przysłuchując się miarowym postukiwaniom kół naszego wagonu, na samą myśl, że jesteśmy w Indiach zdawało mi się, iż śnię na jawie. W takich razach musiałem sobie odtworzyć w pamięci po kolei cały przebieg aresztowania i uprowadzenia nas przez Anglików, by się przekonać, iż przyjazd nasz do Indyj nie jest snem. Kajdany zresztą były najlepszym argumentem, przekonującym ostatecznie, że była to naprawdę rzeczywistość.

Nie zdając sobie sprawy z celu naszej podróży, czułem, że musi się ona skończyć tu i że tu nastąpi roztrzygnięcie naszego losu. Mogło się to stać nawet lada dzień, lada chwila. Na każdym przystanku trzeba więc było być przygotowanym na wszelkie niespodzianki, których przewidzieć było niepodobna, a które, sądząc z doświadczenia czteromiesięcznych udręczeń, nie mogły daleko odbiegać od przeżytych już przez nas. Postanowiłem tedy — cokolwiekby mnie

oczekiwało w przyszłości — nie rozstawać się z kreślonymi przeze mnie notatkami, gdyż z dnia na dzień stawały się one dla mnie coraz droższymi. Prawdopodobnie dla wielkich trudności jakie miałem z ich ukrywaniem, a może i dla tego, że były jak gdyby moim powiernikiem, któremu zawierałem wszystkie swoje przeżycia.

W przewidywaniu nowych rewizyj po przybyciu na miejsce (jak można było przypuszczać, do jakiegoś więzienia), zabrałem się do porządkowania mego dziennika. Składał się on z szeregu luźnych kartek, różnej wielkości i różnego kształtu. Korzystając z panującej ciemności w wagonie, ukryłem je między podeszwami sandałów, zabezpieczywszy je uprzednio jak mogłem od zniszczenia. Nadzieja, że kiedyś będę w stanie skorzystać z tych notatek, kreślonych urywanemi zdaniem, ukradkiem, była jedyną moją otuchą w tej ciężkiej drodze, podtrzymującą we mnie energję do znoszenia wszelkich okrucieństw i jedyną nicią, łączącą mnie ze światem.

Wszelkie nowe rozporządzenia, dotyczące jakichkolwiek zmian naszej sytuacji, były czynione zazwyczaj nagle i z wielkim pośpiechem. Uniemożliwiało to nam uporządkowanie i zabranie z sobą w dalszą podróż najniezbędniejszych w tych warunkach nielicznych naszych drobiazgów. To też teraz, kiedy zaświtała nadzieja, iż zbliża się kres naszej podróży, postanowiłem być w stałym pogotowiu, to jest mieć wszystek swój „bagaż“ pod ręką i być gotowym w każdej chwili do opuszczenia wagonu.

11 listopada, koło godziny 6 wieczór pociąg nasz zatrzymał się na jakiejś większej stacji. Na peronie roіło się od publiczności, śród której przeważali oficerowie i żołnierze w najrozmaitszych uniformach angielskiej armji. Zaciekawiony, wyjrzałem przez okno. Na frontonie gmachu stacyjnego widniał napis „Delhi“. A więc znajdowaliśmy się w dawnej stolicy sławnego Mogoła, obecnie rezydencji vice-króla Indyj i naczelnych, kolonialnych władz angielskich. Mogliśmy zatem mieć nietylko nadzieję, ale prawie pewność, iż tu nareszcie wyższe władze angielskie, bodajby ze względów formalnych przeprowadzą śledztwo w naszej sprawie, zbadają nas, no i może wreszcie los nasz się wyjaśni.

Ożywienie, panujące na peronie, udzieliło się i nam. Okna wagonu od strony stacji zostały „obleżone“ przez tych, którzy znajdowali się bliżej okien. Reszta, tworzyła grupy, prowadząc ożywioną rozmowę na temat przypuszczalnego dalszego naszego losu. Robiono najfantastyczniejsze przypuszczenia. Niektórzy zaś, milcząc, nerwowemi krokami mierzyli przestrzeń ciasnego wagonu. Brzęk łańcuchów od kajdanów uzupełniał tę symfonię ludzkiej męki.

Stałem przy oknie. Patrzyłem na stojącą przed samem oknem grupę oficerów angielskich, ubranych „a quatre épingles“, eleganckich, mających wygląd, w przeciętnem znaczeniu słowa, ludzi cywilizowanych i kulturalnych. Uderzał tylko ich sposób patrzenia na tłum „cywilów“ z miejscowej ludności, gorączkowo tłoczących się na peronie. Były to spojrzenia,

pełne wyniosłości i pogardy, jak gdyby mieli przed sobą nie ludzi, lecz co najmniej płazów. A przecież z ziemi tych właśnie ludzi, tak okrutnie przez nich wyzyskiwanych, wydobywali i wydobywają niezliczone dla siebie bogactwa!

Przebiegając myślą wszystkie fakty okrucieństw, podczas całej naszej podróży stosowanych względem nas przez oficerów angielskich, również mających „kulturalne oblicza“, jak i ci, którym się teraz przyglądam przez matowā od brudu szybę okiennā, spostrzegłem, że zewnątrznie, t. j. w sposobie bycia, są oni dziwnie do siebie podobni; znać na nich jedną, że tak powiem, tresurę. A więc i czyny tak jednych, jak i drugich, muszą być chyba do siebie podobne.

...Myśli moje przerwało gwałtowne szarpnięcie drzwi. Weszło paru żołnierzy angielskich z rozkazem opuszczenia wagonu. Ustawiono nas „sznurem“ wzdłuż peronu. W ledwie trzymających się na nas strzępach łachmanów, z tobołkami z takichże łachmanów na plecach, wobec znajdującego się na peronie tłumu, wyglądaliśmy jak żebracy. I tu właśnie, na peronie, publicznie, dokonano nad nami ceremonji rozkucia kajdanów. Odbywała się dość powolnie z tego względu, że kajdany posiadały odmienne klucze, a było ich przeszło sześćdziesiąt par. Wszystkie zaś klucze miał konwojujący nas sierżant i on właśnie musiał dopasowywać je teraz do każdej pary.

Stojący w tylnych szeregach niecierpliwili się.

Dziesięć miesięcy pod grozą śmierci.



oczekując upragnionej chwili rozkucia. Niektórzy zaś, u których wskutek wycieńczenia w drodze, kajdany same zsuwały się z rąk, uwalniali się teraz bez pomocy sierżanta.

Do tych wyjątkowo wycieńczonych należałem i ja to też bez obawy narażenia się na jakieś przykrości z tego powodu, przystąpiłem sam do tej „operacji” samouwolnienia. Nie poczytywano nam tego za złe. Straż przyglądała się temu obojętnie, a nawet z pobłażliwym uśmiechem, nie rozumiejąc oczywiście, iż wolność ta okupiona była głodem, chorobą i ogólnym wycieńczeniem organizmu podczas podróży.

Po rozkuciu, zaprowadzono nas pod prysznic. Po wyjściu z kabin kąpielowych nie zastaliśmy już naszych brudnych łachmanów. Uprzątnięto je. Dostaliśmy natomiast czystą bieliznę i białe, bawełniane ubrania, składające się z krótkiej kurtki, zapinanej na jeden rząd guzików i takichże spodni. Do nakrycia głów dano nam ciężkie, białe hełmy. Z budynku kąpielowego wychodziliśmy grupami i przyglądając się sobie nawzajem na peronie nie poznawaliśmy się w tem nowem przebraniu. Pod rondami olbrzymich kasków ginęły blade, wychudłe twarze; po zdjęciu kajdanów, ciało nabrało prawidłowych, swobodnych ruchów, od których jużesmy byli odwykli. Z trudnością odszukiwaliśmy swych współtowarzyszów podróży, by połączywszy się w grupy, oczekiwać nowych, nieznanych nam zarządzeń.

Nie długo oczekiwaliśmy; kazano nam zająć po-

nownie miejsca w wagonach. Nadzieje tedy nasze, że wyższe władze angielskie zainteresują się bliżej naszym losem, spełzły na niczem.

Opiekowali się nami, jak dawniej, żołnierze. Automatycznie wypełniali ściśle dane im zgóry instrukcje.

Po zajęciu miejsc w wagonach ruszyliśmy w dalszą drogę. Następnego dnia rano, pociąg zatrzymał się na stacji Halparkur. Tu kazano nam wysiąść i poprowadzono za budynek stacyjny, gdzie oczekiwał już konwój. Okazało się, iż był to ostateczny punkt naszej podróży koleją. Dalej mieliśmy iść piechotą. Przed wyruszeniem w drogę, zjawił się lekarz, Hindus, by zbadać nasz stan zdrowotny i tych których uznał za słabszych umieszczał w jakichś dziwacznych wehikułach, ciągnionych przez wychudłe, zabiedzone konie.

Widząc, jak kilku młodych i zdrowych żołnierzy, po zbadaniu przez lekarza ich języków, dostało się na wehikuły, śmiało wyciągnąłem swój język przed lekarzem i ja, zrobiwszy przytem jak najboleśniejszą minę, w przekonaniu, że bodajby przez wzgląd na mój wiek, doktor umieści i mnie na jednym z wozów. Nie podobałem się jednakże widać owemu doktorowi; dość brutalnie odsunął mnie od siebie i kazał iść piechotą. Brutalność swoją przejawiał on nietylko w stosunku do mnie; obserwowałem go podczas trwania tych sanitarnych oględzin całej naszej partji; był on takim w stosunku do wszystkich. Uderzyło mnie to bardzo niemile, gdyż o Hindusach

byłem dotąd wysokiego zdania. Prawdopodobnie lekarz ten zdążył już przesiąknąć „wyższą, europejską” kulturą.

Uszykowaliśmy się czwórkami i ruszyliśmy w drogę dość szybkim marszem. Okolica, którą przechodziliśmy właśnie, nie odznaczała się roślinnością i tem bogactwem natury, w jakie obfitują brzegi Indu. Była to dość monotonna równina. Zadrzewienie było jedynie przy samej drodze, którąśmy szli. Egzotyczność wszakże tego cudnego kraju odczuwało się i na tej monotonnej równinie. Spotykaliśmy w drodze stada bawołów i kóz, pędzonych przez nagich, bronzowo-oliwkowych wyrostków, pastuchów, którzy z ciekawością przyglądali się naszemu orszakowi. Przyglądały się nam również i małpy, siedzące całymi stadami na gałęziach przydrożnych drzew. Świergot różnorodnego ptactwa, które po raz pierwszy oglądaliśmy w życiu rozbrzmiewał wokoło. Wszystko to robiło na nas dziwne wrażenie. Poza tem, wytwarzana przez promienie słoneczne, jakaś złocista mgła, otulająca cały horyzont, nadawała okolicy tak niezwykle charakter i taki urok, że zapomniawszy o wszystkich męczarniach dopiero co przeżytej podróży, poddałem się czarowi, płynącemu z tej cichej równiny indyjskiej.

W przeciągu dwóch i pół godzin przebyliśmy 10 kilometrów i zatrzymaliśmy się w miejscowości Ali-pur. Wprowadzono nas do obszernej, drewnianej szopy, znajdującej się tuż koło samej drogi i przeznaczonej prawdopodobnie na miejsce wypoczynku dla

wojska podczas przemarszów. Oznajmiono nam, iż zatrzymamy się tu na dłużej i że zaraz dostaniemy posiłek. Wkrótce zjawił się starszy sierżant w towarzystwie dwóch jeszcze żołnierzy, a za nimi niesiono duży worek, z którego zaczęto natychmiast wydobywać talerze, łyżki, noże, widelce, (przedmioty, o których użytkowaniu jużesmy niemal zapomnieli) i przystąpiono do ich rozdawania.

Dziwna radość malowała się na twarzach tych zahukanych w drodze „niewolników” na widok rozpakowywanych przedmiotów. Dostaliśmy po jednym komplecie. Oglądano je ze wszystkich stron; porównywano wartość różnych gatunków; próbowano ostrza nożów; zamieniano „gorsze” na „lepsze”; zrobiło się gwarno i wesoło, jak w szkole podczas paury.

Muszę tu zanotować pewien szczegół z procedury rozdawania sztuców. Mianowicie: razem z workiem, przyniesiono i parę kajdanów, które sierżant demonstracyjnie rozłożył przed sobą.

W jakim celu było to uczynione, nie wiedziałem. Można było domysleć się jedynie, że było to cyniczne przypomnienie, iż jesteśmy we władzy Anglików i że każdej chwili możemy być zakuci ponownie.

Dawno nie smakował tak nam obiad, jak tego właśnie dnia, z kulturalnemi przyrządami do jego spożycia!

Zjadłszy obiad i wypucowawszy starannie talerze i sztuce, pomaszzerowaliśmy dalej.

II.

Przybycie do Nowgongu.

Przed wieczorem zarysowały się przed nami w dali murowane budynki. W stronę tych budynków podążaliśmy właśnie.

Zawróciliśmy z drogi, wiodącej w stronę jakichś pałacyków, piętrzących się na tle przepięknych palm i poszliśmy na lewo. Niedługo szliśmy, bo oto wkrótce padł rozkaz zatrzymania się. Stanęliśmy pod olbrzymimi, rozłożystemi drzewami. Przed sobą ujrzelśmy duży, kilka ha. obejmujący plac, otoczony ze wszystkich stron podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego, wysokim na jakie 4 mtr. Przyczem, ogrodzenia te były w odległości jedno od drugiego o jakie 2 mtr. Przestrzeń zaś między ogrodzeniami przeznaczona była dla warty. Przyglądaliśmy się właśnie teraz z pewnym zaciekawieniem stojącym na warcie żołnierzom. Byli bowiem ubrani, jak nam się wydawało, dość dziwnie. Broń, wojskowe kепi i obuwie kazały się domyślać, iż mamy przed sobą żołnierzy, bo reszta ubrania składała się z koszuli, krótkich do kolan spodni i... szelek.

Na placu, po lewej stronie, widać było murowane budynki, jak gdyby koszary dla wojska; po prawej — inne jakieś zabudowania. Był to jak się okazało obóz koncentracyjny w miejscowości Nowgong.

Konwojująca nas straż przestała jakoś interesować się nami. Pozostawieni zostaliśmy samym sobie, na względnej swobodzie. Z tego wywnioskowaliśmy, iż ten właśnie otoczony drutem czworobok jest ostatecznym punktem naszej długiej i ciężkiej drogi. Zobaczyliśmy w obrębie ogrodzenia i naszych współtowarzyszów podróży, przybyłych tu wcześniej od nas, na wehikułach. Zajmowano się rozlokowywaniem ich w budynkach. Wreszcie przyszła kolej i na nas. Wprowadzono nas do koszar w pojedynkę i każdego przytem rewidowano. Była to raczej formalność tylko, gdyż rewidowanie ludzi, którym podczas kąpieli zabrano ich ubrania, a przebrano w odzież rządową, było conajmniej dziwnem. Rewizja odbywała się jednak dość pompatycznie, w obecności samego pułkownika Hovdinga. Byłem trochę zaniepokojony losem moich notatek; miałem je przecież ukryte w podszwach sandałów. Odetchnąłem, gdy obuwia nie poddano rewizji. Uratowałem je tedy szczęśliwie.

Po dokonaniu rewizji poprowadzono nas w kierunku stojących rzędem 10-ciu niezamieszkałych szop, wskazano jedną z nich, która od dziś miała służyć nam za pomieszczenie. Poczem, wydano ze składów pościel, składającą się z siennika, poduszki i koca i pozostawiono nas w naszym nowem locum, samych.

Pierwszy raz, od chwili uwięzienia nas, poczuliśmy się rażniej. Kajdany nie krępowały już nam swobody ruchów, straż nie stała nam nad głową; przestaliśmy nareszcie być zupełnymi niewolnikami. Odetchnęliśmy z ulgą.

Zaczeliśmy się rozglądać po naszym nowem pomieszczeniu. Była to najzwyczajniejsza, kryta dachówką szopa, przeznaczona dla jeńców-Turków, którzy ją zajmowali przed naszym tam przybyciem. Wysokość szopy równała się mniej więcej 4 mtr., przyczem, ściany od fundamentów dochodziły do wysokości najwyżej półtora metra. Szczelne bowiem ściany i takie europejskie urządzenia, jak okna, w klimacie Indyj są zbędne. Tak, że leżąc naprzykład na tapczanie można było rozglądać się na wszystkie strony; nic nie zasłaniało horyzontu.

Wybranie stałego miejsca w przewidzianej dla nas szopie było bardzo łatwem, ponieważ wszystkie miejsca były jednakowe. To też bardzo szybko rozlokowaliśmy się, zwłaszcza, że nie mieliśmy kłopotu z „ustawianiem mebli“. Jedyne bowiem umeblowaniem naszego locum były bambusowe tapczany.

Co rychlej zajęliśmy się przygotowywaniem sobie posłania, by móc wyciągnąć na niem swe, bardzo strudzone uciążliwym przemarszem, członki.

Po kilkuminutowem krzątaniu się przy tapczanach, zapanowała nagle cisza. Leżeliśmy już wszyscy. Nadeszła wreszcie upragniona chwila wypoczynku...

Leżąc, patrzyłem na roztaczający się przede

mną krajobraz i wchłaniałem w płuca ciepłe, podzwrotnikowe, balsamiczne powietrze.

Na horyzoncie rozciągał się różowy woal lekkiej mgły od blasku promieni zachodzącego słońca. Gromady ptactwa krążyły w powietrzu i głośnym świergotem przypominały o zbliżającym się wieczorze.

Po orzeźwiającej kąpieli, którą nas uraczono w Delhi i po pozbyciu się zagryzających nas literalnie pasorzytów oraz po dość forsownym przemarszu, leżąc obecnie na czystej pościeli, w czystej bieliznie i w dodatku bez kajdanów, wpadłem w jakiś dziwny błogostan. Nie byłem jednak w stanie analizować uczucia, jakie opanowało fizyczną stronę mego „ja“. Intelkt jak gdyby przestał funkcjonować. Zapadłem w stan rozkosznego odrętwienia. Zatrzymało w człowieku zwierze. Bezmyślnie wpatrując się w coraz bardziej ciemniejącą przestrzeń, nie zdając sobie sprawy, czy to sen, czy jawa, usnąłem.

Obudzono nas nazajutrz o świcie. Ustawiono następnie przed szopą w szeregu i zaczęto sprawdzać naszą obecność. Po wojskowemu. Czynności tej dokonał sierżant, nazwiskiem Kermak, niewiadomo skąd tu przybyły Czech. Jemu też była powierzona „piecza“ nad nami wogóle, według instrukcyj oczywiście władz angielskich. W gorliwości swej, usłużny Czech był często przesadnym, jak to później jednokrotnie stwierdzaliśmy ze smutkiem. O wszystkim, co miało miejsce w naszej szopie, składał on

raporty odnośnej władzy. Był więc, do pewnego stopnia, naszym nieograniczonym władcą. Z tem musieliśmy się liczyć.

Obsługiwanie całej naszej partji należało do nas samych, a więc musieliśmy się zająć i „kucharowaniem”. Artykuły spożywcze wydawano nam z intendentury Office'u¹⁾.

Po paru dniach, prawdopodobnie na wniosek Kermaka, budzenie nas rano powierzone zostało jednemu ze współtowarzyszów, mianowicie Stumpowi, (jako najlepiej władającemu językiem angielskim zapewne). Jako widomą oznakę władzy dano mu długą trzcinę, z którą on wobec nas tryumfalnie paradował. Po kilku jednakże dniach odebrano mu ją zpowrotem.

Posługiwanie się Anglików kimkolwiek z przedstawicieli obcych narodowości, w czynnościach, że tak powiem mniej zaszczytnych, jak w tym wypadku posługiwanie się Kermakiem i Stumpem, jest dla nich wielce charakterystycznym. Tak się rzecz ma przynajmniej w ich kolonjach. Anglicy są tam w roli tylko rozkazujących. Spełnianie ich rozkazów nie do nich już należy. Nawet żołnierz nie pełni tam wszystkich czynności, jakie, zdawałoby się, pełnić powinien. Tak naprzykład: czyszczenie broni należy do żołnierza, natomiast jegoż ubranie i obuwie czyści już Hindus, a nigdy on.

1) „Office” komenda angielskich wojsk kolonialnych.

Po paru dniach, sierżant Kermak oświadczył nam, iż przybył tu z Delhi oficer generalnego sztabu celem przeprowadzenia śledztwa w naszej sprawie. Jakkolwiek wydawało się mało prawdopodobnem prowadzenie śledztwa tu, w głębi Indyj, w oddaleniu o tysiące kilometrów od miejsca naszego aresztowania, bez możności stworzenia problematycznych bodaj warunków naszej obrony, to jednakże szczerze ucieszyliśmy się na wieść, iż w najbliższych dniach będziemy indagowani.

Jakoż istotnie, następnego popołudnia zaczęto nas wywoływać po jednym do kancelarji, czyli t. zw. Office.

Nie mogę nic powiedzieć o przebiegu indagacji moich współtowarzyszów, ponieważ na moje pytania odpowiadali przeważnie półgębkiem, zbywając ogólnikami, w obawie zapewne o swój dalszy los. Mogę jedynie opowiedzieć pokrótce moją rozmowę z owym oficerem, którego nazwiska nie mogłem się, niestety, dowiedzieć. Bardzo tego żałuję, gdyż był to niewątpliwie jeden z tych Anglików, co się nie godził z brutalnymi metodami swych współrodaków. Najlepszym tego dowodem jest fakt, iż po kilkudniowym jego pobyciu u nas, w Nowgongu, t. j. po przeprowadzeniu przezeń w naszej sprawie śledztwa i zapewne po przedstawieniu przychylnego dla nas wniosku, odwołano go. Kontynuowanie zaś śledztwa przeszło w ręce miejscowych władz. One zaś, celem ratowania swego prestige'u i usprawiedliwienia surowego z nami postępowania, w konsekwencji, musiały i nadal

utrzymywać o nas opinię, jako o niebezpiecznych przestępcach.

Przechodzę tedy do owej indagacji „oficera z Delhi”. Przyjęty zostałem bardzo uprzejmie. Poproszono mnie nawet usiąść. (Rozmowa toczyła się w języku francuskim). Na prośbę oficera, opowiedziałem mu przebieg aresztowania. Słuchał bardzo uważnie. Gdy skończyłem, odezwał się temi słowy: „Tak, panie Schmidt, to jest wielka pomyłka nasza. Co mam dla Pana uczynić, aby ją naprawić?”

Poprosiłem oczywiście, aby mnie co rychlej oswobodzono i odesłano do Polski.

„Dobrze”, rzekł, „postaram się”. „Niech Pan będzie dobrej myśli”. Zapytał następnie o mój wiek i jak się czuję na zdrowiu.

Po wyjściu od niego, poczułem, iż otucha nawiązuje we mnie. Nareszcie, pomyślałem, natrafiliśmy na ludzi, którzy będą nas może traktowali po ludzku. Sprawiedliwości stanie się zadość. Współtowarzysze moi, jak już powiedziałem wyżej, nie zwierzali się nawzajem z przebiegu indagacji, ale zauważyłem, że wszyscy mają już weselsze miny i że jest to w związku z nową iskierką nadziei na oswobodzenie nas wszystkich.

Jakież było nasze zdziwienie, gdy po kilku dniach dowiedzieliśmy się od Kermaka, iż „oficer z Delhi” został odwołany z Nowgongu.

A więc znowu jesteśmy wtrąceni w stan absolutnej beznadziejności. Znowu zdani na łaskę i niełaskę

bawiących się w bohaterów przedstawicieli kolonialnych wojsk angielskich. Tak jest, bawiących się. Bo czyż nie wyglądało to na zabawę (i to niezbyt inteligentną) uprowadzenie w charakterze jeńców z Aschabadu aż do Indyj, ludzi różnych narodowości, przypadkowo w tem mieście przebywających i już żadną miarą nie mogących uchodzić za bezpośrednich wrogów Anglii, czy też z jakichkolwiek bądź względów niebezpiecznych dla Imperjum Brytyjskiego. Podczas, gdy wojska innych krajów Europy walczyły na śmierć i życie, bądź co dądz, o sporne granice swych ziem, i uprowadzały w tym czasie z pola bitwy prawdziwych jeńców z okopów swego przeciwnika, — Anglicy, na rozległych obszarach zupełnie im obcej ziemi, korzystając z ogólnego ówczesnego zdezorientowania, gospodarzyli tam, jak we własnym kraju. To występowali jakoby w roli obrońców jakiegoś narodu, to znowu narzucali swą wolę ludności, chwilowo zajętej przez nich okolicy, to wreszcie aresztowując Bogu ducha winnych ludzi. Wieźli ich następnie w głąb swoich posiadłości azjatyckich i tam dopiero tworzyli z nich obozy jeńców, którzy mieli służyć za żywe trofea ich „waleczności” z okresu wielkiej wojny światowej.

Czyż nie zakrawało to istotnie na zabawę w wojnę?

Rozpoczęte śledztwo w naszej sprawie, jak powiedziałem, prowadziły teraz miejscowe władze. Byliśmy ponownie indagowani przez pułkownika Hor-

dinga. Przyczem, podczas naszych zeznań, pułkownik zaglądał do leżącego przed nim zeszytu i od czasu do czasu rzucał brutalnie: „to kłamstwo, to nie zgodne z prawdą, co Pan mówi”. Najwidoczniej miał przed sobą notatki Gordona ¹⁾, które, rzecz oczywista, odbiegały od naszej prawdy. Tak też było i ze mną. Gdy podczas mego zeznania pułkownik podał w wątpliwość jakiś opowiadany przeze mnie szczegół, dość stanowczo zaoponowałem temu, mówiąc, iż nie może on zaprzeczyć czemuś, o czym dokładnie wiedzieć nie może, gdyż proces aresztowania nas odbywał się o tysiące kilometrów od miejsca, gdzie znajdujemy się obecnie. Nadto, iż nie zna on stosunków tamtejszego kraju.

Zaznaczyłem pozatem, że wszystko, co opowiadam, jest prawdą, kłamstwo zaś zawiera się w insynuacjach człowieka, którego władze angielskie mają za swego zaufanego. Poczem oświadczyłem, iż uważam za zbyt cenne składanie dalszych zeznań, do których nie przywiązuje się żadnej wagi i wyszedłem. W kilka dni ponownie zażądano ode mnie zeznań. Złożyłem je na piśmie i przesłałem pułkownikowi przez Kermaka. Nie uczyniłem tego osobiście i ustnie, nie chcąc być narażonym na ponowne impertynencje pułkownika.

Na tem sprawa się skończyła. Nie byłem więcej zwywany do Office.

¹⁾ Ob. tom I Wspomnień.

Obóz, w którym nas ulokowano był obliczony na przeszło dwa tysiące osób. Na dużym placu stało ogółem, jak już wspomniałem wyżej, dziesięć szop. Każda z nich z łatwością mogła pomieścić dwieście kilkadziesiąt osób. Takich obozów, bardziej oczywiście zaludnionych, Anglicy posiadali w Indjach kilkanaście. W samym Nowgongu było parę. Wydawało się zatem dziwnem, że nas, sześćdziesięciu kilku jeńców, umieszczono nie z innymi jeńcami, gdzie dozór nad nami byłby mniej ambarasowny i mniej kosztowny, a umieszczono osobno, w niezajętym przez nikogo obozie. Nie pożałowano ani specjalnie przydzielonego plutonu, z oficerem generalnego sztabu na czele, ani kosztów zbyt cennych. Z tego można było wywnioskować, iż traktowani jesteśmy nie jako zwyyczajni „jeńcy wojenni”, lecz jako ci, których los przesądzony jeszcze nie został i którzy wobec tego znajdować się w pobliżu bezpiecznego elementu, zwyyczajnych jeńców, nie mogą. A więc musieliśmy się uważać i nadal za ludzi „zaginionych bez śladu”. Zwłaszcza, że nazwisk naszych nie wymieniano przy żadnej okazji. Byliśmy ponumerowani i figurowaliśmy oficjalnie jako numery takie a takie.

Przeglądając kreślone tu przeze mnie utyskiwania na okropne warunki, w jakich znajdowała się cała nasza gromada, 60-ciu ludzi, w ciągu czterech z górą miesięcy przebywająca już razem oraz narzekania na nieludzkie traktowanie nas przez Anglików,

u Czytelnika mimowoli może się nasunąć pytanie, dla czegoż ta gromada poddawała się z taką biernością wszystkim tym okrucieństwom? Czemuż nie wystąpiła solidarnie z jakimś protestem? Dla czegoż z taką rezygnacją znosiła szykany, zamiast stanąć mężnie w obronie siebie i sprawiedliwości?

Uprzedzając takie, słuszne skądinąd pytanie Czytelnika, muszę odpowiedzieć, iż jakakolwiek zbiorowa akcja samoobrony czy protestu z naszej strony była nie do pomyslenia. A to z tego powodu, że grupa nasza składała się z najróżnorodniejszego elementu, tak pod względem narodowości, jak środowiska, zawodów, wykształcenia, wychowania i t. p. Z takiej mozaiki ludzkiej nie można było ulepić jednolitej bryły, nawet w tak „sprzyjających” temu warunkach, jak wspólna, kilkumiesięczna niedola. Nie zżyliśmy się z sobą w przeciągu tego czasu. Przeciwnie, podejrzewano się nawzajem o jakieś przewiny któregoś z nas, za które wszyscy zmuszeni jesteśmy cierpieć obecnie. Byliśmy przecież gromadą, przypadkowo tylko schwytaną i wieszoną w niewiadomym nam wszystkim kierunku. Jeżeli ktoś z nas starał się dowiedzieć czegokolwiek o dalszym naszym losie, czynił to na własną rękę, nie porozumiewając się z nikim. Byli zaś wśród nas i tacy, którzy w celu przypodobania się Anglikom i w nadziei uratowania siebie, insynuowali nawet swoich współtowarzyszów. Niestety, tak było.

III.

Charakterystyka niektórych więźniów.

W tym tomie mych wspomnień wypadnie mi zając uwagę Czytelnika sylwetkami niektórych z moich współtowarzyszów podróży, którzy odegrali taką, czy inną rolę w naszej wspólnej niedoli. Dlatego uważam za konieczne podać tu ich charakterystykę, by Czytelnik mógł sobie tem łatwiej wyrobić pojęcie o tem, jak się układało życie sześćdziesięciu kilku nieszczęśliwców w obozie koncentracyjnym gdzieś w pustyniach Indyj. Nietylko oddalonych od swoich najbliższych, ale wogóle odciętych od całego świata, niewiadomo na jak długo; pędzących jednostajny żywot w obrębie ogrodzenia z drutu kolczastego, pod czujnym okiem wartowników.

O jednym z nich, mianowicie o Stumpie, pisałem już w poprzednim tomie. Mogę tutaj dodać, że był to kupiec, dostawca „Światiejszaho Sinoda”¹⁾ t. j. skupujący dla jego potrzeb воск na cerkiewne świece.

¹⁾ Najwyższa władza cerkwi prawosławnej.

Z pochodzenia był Szwajcarem, urodzonym w Li-bawie. Objechał był całą Europę wszerz i wzdłuż. Władał swobodnie pięciu językami.

Drugi **Tur-Muren**, Szwed. Masażysta, pracujący w Baku przy firmie B-ci Nobel. W Aschabadzie, podczas naszego tam aresztowania przebywał jako delegat niemieckiego Czerwonego Krzyża (nieoficjalnie).

Trzeci — **Kowenko**, Rosjanin. Typ aferzysty, starający się wykorzystać każdą okoliczność, by coś-niecoś zarobić. Kształcił się na handlowca, lecz w czasie wojny światowej wstąpił do rosyjskiej awjatyki wojskowej. Według jego słów, na Dźwińskim froncie został nagrodzony orderem św. Jerzego, zawieszonym na jego mundurze własnoręcznie przez generała Hurkę, o czym z dumą opowiadał. Wyleczony był w szpitalu z otrzymanych na froncie ran, też nie przez byle kogo, tylko przez samą Cesarzową Marię Teodorównę. W Aschabadzie w czasie aresztowania był przejazdem w drodze do Buchary, gdzie miał jakoby przyrzeczoną posadę w Banku Międzynarodowym.

Czwarty — **Smutny**, Polak, podporucznik austriackiego wojska, czyli t. zw. fendrych. Wychowanek znanej szkoły w Chyrowie. Był to typ zabawnego lekkoducha, awanturnika, gotowego na wszystko. Do Rosji los go zarzucił w czasie wojny światowej, jako jeńca z wojska austriackiego. Dostawszy się do tego ogromnego kraju po maleńkiej Austrii, człowiek ten nie tylko, że się nie przeraził jego obszarów, a przeciwnie, poczuł się, jak ryba w wodzie. Rozpo-

czął włóczyć się po całej niemal Rosji. Był na Syberji, w guberniach nadwołżańskich; poznał Taszkent, Baku, Kijów, Charków. Słowem wszędzie był, wszystko w Rosji było mu znane. Pozatem, według jego słów wszędzie miał jakieś romantyczne i nieromantyczne przygody. Przez ten czas zdążył parę razy ożenić się i miał w zapasie jeszcze kilka narzeczonych. No i oczywiście był ojcem kilkorga dzieci, rozrzuconych po całym szerokim świecie. Obchodził nawet potem, na wygnaniu, rocznice urodzin niektórych z tych dzieci, o ile sobie taką rocznicę przypominał. Opowiadane przezeń przygody, ze względu na ich ilość i niekiedy drastyczność treści, nie potrafiłbym opisać. A opowiadał barwnie i zajmująco, wplatając zwykle w tok swych opowieści dużo humoru i fantazji, tak że bardzo często nie można było odróżnić prawdy od kłamstwa. Był przytem dość muzykalny. Artystycznie gwizdał i wyśpiewywał przeróżne arje z oper i kuplety z operetek. I dziwna rzecz, pomimo kilkakrotnych rewizyj u nas i odebrania w Aschabadzie posiadanych przez nas pieniędzy, człowiek ten zawsze był „przy gotówce“. I trzeba oddać mu sprawiedliwość, często dzielił się nią ze współtowarzyszami. Posiadał przytem wyjątkową umiejętność porozumiewania się ze służbą, czy to byli Anglicy, Hindusi, czy Parsowie. Nie znając zupełnie języków, a tembardziej hinduskiego, zawsze wchodził ze służbą w układy i konszachty; pożyczając pieniądze, dostawał skądś nadprogramowe jedzenie i t. p. A nawet przekupywał czemś i wartę, bo i tu

potrafił wymykać się poza obręb drutu kolczastego na jakieś romantyczne nocne przygody.

Celem zaimponowania otoczeniu, a zwłaszcza Anglikom i Hindusom, zrobił sobie na obstalunek czerwoną, austrajcką, husarską czapkę, t. zw. **czaki** i paradował w niej w chwilach mniej-więcej uroczystych, to znaczy, podczas odwiedzin nas przez jakiegoś generała angielskiego, albo, gdy wyruszał na miasto. Nie omylił się co do Anglików. Istotnie musiał zaimponować im tą czapką, skoro naogół cieszył się ich zaufaniem.

Piąty — **Zeltin**, Łotysz. Oficer rosyjskiej armji. Wzięty do niewoli, jako podejrzany o sympatyzowanie z ruchem bolszewickim. Był to zdecydowany radykał, jak większość Łotyszów. Mało naogół mówiący. Bardzo zresztą porządny i sympatyczny człowiek.

Szósty — **Wagner**, Niemiec. Student ostatniego kursu medycyny. W Aschabadzie, podczas aresztowania, przebywał tam jako odkomenderowany z ramienia Czerwonego Krzyża. Aczkolwiek do uzyskania stopnia doktora medycyny pozostawało mu jeszcze zapewne około dwóch lat studjów, tem nie mniej kazał się tytułować doktorem. Wymieniając swoje nazwisko przy jakichkolwiek okazjach, zawsze mocno akcentował słowo **doktór**.

Wszystkich Niemców pocieszał tem, że doznane przez nich od Anglików krzywdy, wynagrodzi „Kajser“. Wogóle, Kajser w jego mniemaniu był wszechmocnym i nieskruszonym. On zaś, jako jeden z przedstawicieli swego narodu, posiadał też dużą butę. Do

wszystkiego się wtrącał, wszystkiemu chciał przewodzić. Zarządzenia co do kuchni, sprzętania, wszelkich innych zajęć musiały mieć jego aprobatę.

Siódmy — **Fajerman-Rozen**, Żyd. Gdzie było miejsce stałego pobytu jego, niewiadomo. Nie mówił o tem. Podróżował po całej Europie i znał ją dobrze. Do Rosji przybył robić karierę na rewolucji. Nie zrobił jej. Dostał się nieopatrznie w ręce Anglików. W początkowym okresie po naszym aresztowaniu, zachowywał się wyzywająco. Groził Anglikom (zaocznie oczywiście) sądem międzynarodowym. Rzucał się. Pienił się. Pomału jednakże oswoił się z rzeczywistością; przycichł i był nawet potem bardzo potulnym.

Ósmy — **Rölich**, Czech. Wędrowny dentysta. Ciemna to figura była na tem różnobarwnem tle całego zespołu. Aresztowany był w Persji, wraz z jakąś starszą znacznie od niego kobietą, właścicielką hotelu i dopiero tam przyłączony do naszej grupy. Jechał on do Indji w oddzielnym furgonie, a nie razem z nami. (Z tego względu zapewne, że był w mieszanem towarzystwie). I zakutym w „kajdany także nie był, jak również i jego towarzyska. Podczas całej podróży, pod pozorem roztaczania nad nami opieki, zajmował się „działem aprowizacji“ u nas. Przyczem, pamiętając o sobie i swojej towarzysce, zabierał sobie co lepsze kęski, a zwłaszcza marmoladę, konserwy (często z krzywdą reszty kompanów). I kiedy w Delhi, władze angielskie odłączyły od niego towarzyszkę, wysławszy ją jakoby do

obozu żeńskiego, przywiózł on do Nowgongu te zapasy konserw i ustawił je pod swoim tapczanem. Dożywiał się niemi w miarę potrzeby, nie kłępując się bynajmniej otoczenia. Posiadał przytem środki materialne. Ułatwiała mu to znakomicie pobyt w obozie. Z nikim jednak nie dzielił się i nikomu nic nie pożyczał. Wogóle, trzymał się zdaleka od wszystkich. Z jednym może Kowenko był w dobrych stosunkach. Zewnętrznie biorąc, był to typ Zołzikiewicza, z czarnemi wąsikami na głupkowato-pulchnej twarzy.

Dziewiąty — dr. med. **Rendorf** Duńczyk. Dopiero co przybyły do Rosji w charakterze instruktora przy Czerwonym Krzyżu. Wśród całego grona jeńców, wyróżniał się ogromnym wzrostem i prawie atletyczną budową. Nie znał zupełnie Rosji, ani stosunków tego kraju, ani jego języka. Dla tego miał przy sobie tłumacza, Emmicha, Niemca, rodem z Saratowa. Tłumacz znowu był małego wzrostu, tak, że obok swego „patrona“ wyglądał na liliputa. Razem zaś przypominali grupę Don Kichota i Sancho-Pancho.

Dziesiąty — **Bekier**, Niemiec. Ideowy pacyfista. W czasie wojny, chcąc uniknąć wojska, uciekł z Niemiec do Rosji. Stamtąd po wybuchu rewolucji rosyjskiej, uciekł do Persji, szukając schronienia u Anglików. Nie był jednak gościnnie przyjęty. Zakuto go w kajdany i popędzono razem z nami.

Jedenasty — **X.**, Polak z Poznańskiego.

Nadto, w Persji przyłączono do nas jeszcze

trzech ludzi, którzy mieli skute ręce i nogi. Niktby nie doszedł, czem ci ludzie zawinili wobec Anglii.

Jeden z nich był Turkmen, **Ali Kulijew**. Zupełny analfabeta.

Drugi — Tatarzyn, **Efendjew**. Kupiec, handlujący biżuterją.

Trzeci — Polak z Galicji, nazwiskiem **Cebula**. Sierżant wojska austriackiego. W Rosji przebywał jako jeńiec, wzięty do niewoli w Przemyślu i odesłany potem do Aschabadu.

Po przyłączeniu ich do naszej grupy, ludzie ci włączyli jeszcze za sobą czas jakiś kajdany na nogach (jako posądzeni o chęć ucieczki jakoby). Dopiero później im je zdjęto, pozostawiając kajdany tylko na rękach. Zrównano ich w ten sposób z nami.

Posadzanie tych ludzi o rzekomą chęć ucieczki było oczywiście nonsensem. Gdzież bowiem mogli oni uciekać, nie znając zupełnie rozległych stepów obcego im kraju, nie znając języka i nie posiadając tu żadnych znajomości, ani pieniędzy?

Pozatem było jeszcze czterech Rosjan, niedoszłych abiturjentów szkoły średniej w Aschabadzie, których sylwetki chciałbym tu skreślić ze względu na dość ciekawe okoliczności, w jakich zostali aresztowani i wywiezieni razem z nami.

Czterej ci ośmioklasiści, dowiedziawszy się, iż w Persji są Anglicy i że przyjmują oni ochotników do swego wojska z pośród obcokrajowców, oraz słysząc, że jakaś grupa aresztowanych w Aschabadzie, ma być odesłana w najbliższych dniach do Persji,

zgłosili swoje kandydatury eskortowania tej grupy. Uzyskiwali w ten sposób bezpłatny przejazd do Persji, gdzie mogli od razu zaciągnąć się do wojska. Zgłoszenie zostało przyjęte. Wydano im broń i powierzono ich pieczy całą partję aresztowanych. Młodzieńcy uszczęśliwieni, że w tak sprytny sposób dostaną się „na gapę” do Persji. Snują dalsze plany swoje: widzą się już w mundurach angielskich. Przyjeżdżają wreszcie na granicę Persji i udają się do komendy oddziału wojska angielskiego. Tu odebrano im broń i zakuto w kajdany. Przyłączywszy ich następnie do naszej partji, popędzono do Indyj. Nie pomogły ani protesty, ani lamenty, ani też zapewnienia, iż pragnęli być żołnierzami Jego Królewskiej Mości, Króla Wielkobyrtanji. Anglicy byli nieubłagani.

Odtąd musieli grać rolę „wziętych do niewoli” i dzielić wspólny z nami los¹⁾.

Reszta jeńców z naszej grupy składała się przeważnie z szeregowców różnych formacyj wojskowych

¹⁾ Ze słów jeńców, przyłączonych do naszej partji w Persji, na skutek rozkazu władz angielskich, dostarczenia do Jabłonówki (wioski na granicy rosyjsko-perskiej) 60-ciu jeńców, Rosjanie, przez pomyłkę widocznie, przysłali dwie partje po 60 jeńców, z dwóch różnych miejsc.

Jeńcom tym kazano stanąć w szeregu na placu i przydzielony do tego oficer angielski, wybrał sobie z nich potrzebną mu liczbę 60-ciu i popędzono do Indyj, jak również i nas. Ciekawem jest tu to, że nie wybierano bynajmniej ze spisu, a więc nie z nazwisk, któreby musiały zdawałoby się być zanotowane, jako danych przestępców; wybierano, wprost, jak koni na targu z zewnętrznego wyglądu, bo trzeba było zabrać tylko 60-ciu jeńców i basta.

armji austriackiej i niemieckiej. Nazwisk wszystkich tych osób, niestety, nie pamiętam; zresztą i tam, na miejscu nie znałem ich z nazwisk, ponieważ, jak już zaznaczyłem na wstępie, nie byliśmy wszyscy z sobą żyćci.

Odróżniali się oni od nas cywilów tem, że z większym stoicyzmem znosili wszelkie niewygody obozowego i więziennego życia. Byli na wszystko odporniejsi. Zazdrościłem im tego często, aczkolwiek sam nie należałem do narzekających.

Jak widzimy z podanych tu wyżej sylwetek, nie-licznej tylko grupy ludzi z całego zespołu, przedstawiała ona może i ciekawą mozaikę dla wnikliwego obserwatora i psychologa. Ale czem ta gromada ludzi, zbieranina z całego świata, zagrażać miała potędze Imperjum Brytyjskiego, z jego rozległemi kolonjami? Czyż naprawdę byliśmy aż tak dalece niebezpiecznymi wrogami Anglji, że wiezieni byliśmy aż do Indyj i to jeszcze zakuci w kajdany?

W stosunku do nas, bezbronych ludzi, jakże srodzy i mężni byli przedstawiciele wojska Jego Królewskiej Mości, Króla Wielkobyrtanji! Jak starano się na każdym kroku zamanifestować przed nami swoją siłę brutalną i swą potęgę! A w tymże samym czasie, jakże sromotnie uciekali ciż sami Anglicy od regularnych wojsk bolszewickich! I to uciekali beładnie, w strasznym popłochu. A przecież ta ekspedycja angielska, idąca wgląd Kaukazu, miała na celu

zajęcie krajów: Zakaukaskiego i Zakaspijskiego z Bucharą i Chiwą, zawładnięcie olbrzymimi bogactwami tej ziemi: naftą i minerałami! A moment był tak odpowiedni po temu: ogólne zamieszanie i dezorientacja; kłótnie w całej Europie o granice. I nawet ten, tak wyraźny dla każdego Anglika cel, nie powstrzymał od sromotnej ucieczki przed bolszewikami, synów Albjonu?

Jedynym profitem tedy tej sławnej ekspedycji i jedynymi trofeami wojska byliśmy my właśnie. Jeżeli więc „zwycięskie“ wojska kolonialne otrzymały wówczas jakieś odznaczenia i nagrody, to otrzymały je za nas. Bo tylko o zwycięstwie nad nami mogły iść raporty do Londynu.

Nie podejrzewaliśmy wtedy, iż będąc traktowani jako niebezpieczni wrogowie Anglii, równocześnie przyczyniamy się i do chwały angielskiego oręża, a tem samem i do chwały Imperjum Brytyjskiego. A tak jednak było.

W ciągu czteromiesięcznej mitręgi pod opieką Anglików, tyle szykan i udręczeń doznałiśmy od nich, że teraz, będąc nawet na względnej swobodzie w Nowgongu, a zwłaszcza po odwołaniu od nas „officera z Delhi“, nie wierzyłem już zupełnie w możliwość zmiany na lepsze w naszym losie. W jak najczarniejszych barwach wyobrażałem sobie naszą przyszłość. Z zupełną rezygnacją czekałem na jeszcze cięższe niespodzianki.

Do Nowgongu dojechaliśmy nie wszyscy. Jeszcze w drodze zabrano do szpitala Tur-Murena i jednego z jeńców wojskowych, Węgra (nazwiska nie pamiętam).

Szpital mieścił się w odległości dwóch kilometrów od naszego obozu.

W parę dni po naszym przybyciu, oznajmiono nam, że do obsługiwania tych dwóch chorych towarzyszy naszych wezmą jednego z nas, gdyż żołnierze angielscy, jak już wspomniałem, nie obsługują nawet siebie. Do pełnienia tych czynności zezwano Fajermana. Od tego czasu chodził on swobodnie, bez żadnych przepustek. Przesiadywał w Office. Słowem w krótkim czasie zrobił się wielkim. Wkrótce puszczono pogłoskę, iż został on zaangażowany przez Anglików na szpiega w naszym gronie. Nie wierzyłem temu. Zakrawało to istotnie na kpiny. Jakżeż mógł być bowiem szpiegiem wśród ludzi, których przed aresztowaniem zupełnie nie znał? Był przytem za naiwny i ograniczony, by pełnić funkcje, bądź co bądź, odpowiedzialne, chociażby i funkcje tak niezaszczytne, jak szpiega. Znał wprawdzie języki. I zapewne to było właśnie jego walorem w oczach Anglików.

Taką pogłoskę puszczono następnie i o Bekierze.

IV.

Izolowanie.

I tak, rozpoczęliśmy nowy okres naszej niewoli, izolowani nawet od takichże, jak i my niewolników-jeńców, których niemało tam było przecież w obozach angielskich.

Całodzienna bezczynność nasza oraz brak jakiegokolwiek literatury, czyniły nasz tam pobyt ciężki, nie do zniesienia. Energja zdrowych naogół ludzi musiała przecież znaleźć dla siebie ujście. I oto wkrótce zaczęły się między nami szerzyć intrygi i waśnie. Początek temu dali Niemcy (a było ich ogółem około dwudziestu). A, że było tam niemało Węgrów, Słowaków i Chorwatów, którzy dla Niemców nie mieli nadzwyczajnej sympatji, a raczej odwrotnie, przeto Niemcy zaczęli robić starania o przeniesienie Węgrów do innej szopy. Nie mogli być razem, jak mówili, „mit schmutzigen Madjaren“. I niewiadomo, czy na skutek starań Niemców, czy z innych jakich względów przeniesiono ich do sąsiedniej z nami szopy.

Węgrzy naogół byli zadowoleni z tego, ponieważ szykany i wstręty, jakie im czynili Niemcy, w bardzo niesmaczny sposób, stawały się coraz częstsze i mogłyby doprowadzić być może, do niepożądanych dla obu stron następstw.

Zostaliśmy tedy w jednej szopie z Niemcami.

Wypada zaznaczyć, że razem z Węgrami opuścili naszą szopę, demonstracyjnie, także i Chorwaci ze Słowakami (było ich kilku zaledwie) i zamieszkali wspólnie z Węgrami. Nawiasem mówiąc, byli to gorący patrioci słowaccy, jak mogłem się o tem przekonać potem.

Teraz dopiero zapanowała w naszym lokalu, niczem już niekrępowana, absolutna orjentacja niemiecka. Nic w tem zresztą nie było dziwnego. Ludzie chcieli się ratować. A na to, by się wydostać ze szponów Anglików, trzeba było mieć za sobą mocne oparcie. Należało powołać się na jakąś opiekę, konsularną, czy inną, na taką w dodatku, z którą Anglicy musieliby się liczyć. Otóż taką właśnie opiekę Niemcy niewątpliwie mieli. Pozatem, konsulaty niemieckie, jak wogóle wszystkie ich urzędy, znane są ze swej punktualności i obowiązkowości i dlatego każdy, kto tylko mógł, rad się przyznawał do narodowości niemieckiej, by tym sposobem wydostać się czempredzej poza sferę angielskiej opieki.

(Byli jednakże i tacy, którzy nie zważając na prerogatywy, jakie dawała przynależność do Państwa Niemieckiego, z możności tej nie skorzystali).

Oficjalnie, mieliśmy obecnie prawo komuniko-

wania się z szerokim światem za pośrednictwem poczty. I jakoby korespondencja nie podlegała kontroli władz angielskich. Trudno jednakże było temu wierzyć, gdyż na wysyłane przez nas wszystkich liczne listy, przez cały czas naszego tam pobytu odpowiedzi nie otrzymaliśmy. A powiadomiliśmy o sobie nie tylko swoje rodziny, ale i odnośne konsulaty w Bombay'u, jak Szwajcarski, Szwedki i Duński. Polskiego jeszcze nie było tam, niestety.

Wogóle, położenie nas, Polaków, było dość ciężkie pod względem oficjalnej, że tak powiem opieki. Nie liczone się z nami wcale. Dowodów osobistych, wydawanych Polakom przez Komitety Polskie, a zalegalizowane przez rządy zaborcze, uznawane nie były (jak to miało miejsce ze mną). Polska, jako zmartwychwstałe niespodziewanie Państwo, było dla Anglików zupełnem „quantité négligeable”. W kolonjach zaś angielskich zwłaszcza, nie zadawano sobie trudu, by zapoznać się wogóle z nowopowstałymi państwami i państewkami. Zaliczano nas albo do Rosjan, albo do Niemców. Tem się i tłumaczy, że większość Polaków, ratując własną skórę, garnęła się pod skrzydła Niemców.

W kłopotliwszem jeszcze, niż nasze, położeniu, znajdowali się Rosjanie. Przedstawicielei władz rosyjskich, do których ci zwracali się o pomoc, Anglicy nie uznawali ani z okresu caratu, ani tem bardziej bolszewików.

Najwyższe zainteresowanie się losem swych obywateli wykazał Konsulat Duński. Dzięki jego inter-

wencji opuścił nasz obóz dr. Rendorf, w kilka już dni po przybyciu do Nowgongu. A co najważniejsza, że wyjechał on istotnie zupełnie wolnym, bez żadnej eskorty angielskiej, z jaką później odsyłano nprz. niektórych z nas. Otrzymaliśmy nawet od niego list z Bombay'u, z zawiadomieniem, iż miał odczyt w tamtejszym Uniwersytecie. (Na jaki temat, nie wiedzieliśmy).

W dwa tygodnie później uwolniono i Emmicha, tłumacza jego. Jak przypuszczaliśmy, stało się to dzięki staraniom Poselstwa Duńskiego.

W krótkim czasie, na skutek prośby listownej Stumpa, przyjechał do obozu i Konsul Szwajcarski. Zbadał na miejscu warunki i przyrzekłszy interwencję, wyjechał, (nie odwiedzwszy przytem nikogo z władz angielskich).

Po uwolnieniu Rendorfa, zaświtała słaba nadzieja, że i o nas ktoś się przecież zatroszczy, ktoś będzie robił starania, by wyrwać nas stąd, zwłaszcza, że i Rendorf przyrzekł, wyjeżdżając, poczynić pewne w tym kierunku kroki. Spotkał nas tu zawód jednak. Może nic zrobić nie mógł, a może wprost zapomniał (rzecz to ludzka), dość, że nie dał więcej znaku życia o sobie.

Zostaliśmy znowu pogrążeni w stan beznadziejności. Zaczęła się zabójcza monotonia i jednostajność ciężkich, osowiałych, beczynnie spędzanych dni.

Pewnego dnia (było to niedługo po naszym przybyciu), doszła nas smutna wiadomość: zmarł w szpi-

talu jeden z naszych współtowarzyszów, Węgier, którego Tomson umieścił w drodze na furgonie, gdzie jego poprzednik przed chwilą zmarł był na dysenterję¹⁾.

Wyruszyliśmy wszyscy na smutne obrzędy odania ostatniej posługi zmarłemu. Kroczyliśmy parami za żałobnym orszakiem. Ponieważ był to katolik, nad grobem jeden z jeńców Słowaków zaintonował ostatnie pienia żałobne, według obrządku katolickiego.

Złożyliśmy prochy towarzysza w dalekiej i obcej mu ziemi i pożegnawszy go na zawsze, zwyczajowem rzucaniem grudek ziemi, wróciliśmy, bardziej niż kiedykolwiek smutni, do obozu.

I przez następnych dni kilka byliśmy jeszcze pod wrażeniem tego smutnego faktu.

Ja wpadłem w zupełne odrętwienie.

Na szczęście przyszły drobne kłopoty, które oderwały nas trochę od niewesołych myśli. Mianowicie: przywieziono z Delhi nasze dawne ubrania (o ile te strzępy łachmanów ubraniami nazwać było można) i bieliznę. Trzeba było doprowadzić to wszystko do porządku, a przedewszystkiem należało oczyścić od pasorzytów. Dezynfekcja była niesłychanie ułatwiona: kamerę dezynfekcyjną zastępowały tu promienie podzwrotnikowego słońca. Po rozłożeniu ubrań na piasku w godzinach południowych, insekty ginęły w przeciągu paru minut. Zsypywały

¹⁾ Ob. tom I Wspomnień.

się na piasek, niczem manna kasza. Ale odzież ta, poza oczyszczeniem od pasorzytów, wymagała doprowadzenia jej do możliwego stanu pod innym jeszcze względem; należało mianowicie, poprzyszywać brakujące, gdzie - niegdzie, guziki i pozacerowywać miejscami. Niektóre zaś części naszej garderoby, bardziej narażone na zniszczenie, były tak podarte, że trzeba było niekiedy zmysłu krawieckiego, by uczynić je możliwemi jeszcze do użytku. I tu, przyszedł nam z pomocą i „fachową radą” dwaj współtowarzysze, byli zawodowi krawcy. Oni też zaopatrywali nas w igły i nici.

Przez dobrych kilka dni, obóz nasz wyglądał na duży zakład krawiecki, gdzie młodych adeptów sztuki krawieckiej uczą narazie cerować. Tylko, że tu, ci brodaci i wąsaci „młodzi adeptci” byli w wieku od 22 do 60-ciu, a nie jak zwykle od 14 — 16-tu.

Przesiadaliśmy z tą robotą przeważnie na progach szopy, zwłaszcza, że pogoda była przepiękna. Tylko w godzinach południowych chowaliśmy się zwykle od strasznych upałów do wnętrza, kontynuując już łatanie siedząc na tapczanach.

Gdy reparacja ubrań miała się już ku końcowi, paru pomysłowych Węgrów sprokurowało szachy. Od tego czasu, dnie schodziły nam jako-tako. Gra w szachy z kilkoma dobrymi graczami odciągała nas od czarnych myśli, pozwalając na dłuższą chwilę zapomnieć o ciężkiej rzeczywistości.

Ale długie noce ciągnęły się bez końca...

Z wieczora, przeciągały nad naszemi głowami

niezliczone stada psów-nietoperzy, budzące w nas początkowo nieopisany strach; braliśmy je bowiem za wampiry. Są to zwierzątka, bardzo zbliżone do zwyczajnych nietoperzy, tylko dużo większe od nich.

W dzień śpią one na drzewach, wisząc głową w dół, uczepiwszy się pazurami gałęzi. Z nastaniem zmroku, kiedy zaczynają widzieć, zrywają się do lotu. Jak szarańcza, napadają całymi stadami na zasiane pola i niszczą je doszczętnie. Zapobiec temu można częściowo przez wypłaszanie tych szkodników. Najpewniejszym jest oczywiście kilka strzałów. Ponieważ jednak Hindusom zabroniono jest mieć przy sobie broń palną (zabraniają Anglicy), posługują się cni w tych wypadkach łukiem. I tego rodzaju broni używają naogół rzadko. Przeważnie Hindusi - rolnicy przez całą noc obchodzą swoje pola i monotonnym głosem wykrzykują „heu, heu”; w ten sposób odstrasza ją, jak mogą tych szkodników. Nie zawsze można wypłoszyć, co prawda, takie olbrzymie stada. Bardzo często bezradny rolnik jest tylko niemym świadkiem swojej kompletnej ruiny.

Zwierzęta te są prawdziwą plagą całych Indyj.

Od czasu opuszczenia Aschabadu, zarówno w drodze, jak i po przybyciu do Nowgongu, nie mieliśmy deszczu zupełnie. W Indjach była to zima; okres bezdżdżysty. Naogół, różnicy między latem a zimą nie widzi się prawie w tym kraju. Niektóre tylko drzewa (liściaste, bo iglastych niema tam wca-

lej tracą swe liście na ten zimowy okres. Reszta, ochrania wszelkie stworzenia przed panującymi upałami. I dziwnie było patrzeć na stojące obok siebie drzewa, niemal jednakowe, z których gdy jedno kwitło i owocowało, — drugie rozpoczynało swój zimowy wypoczynek. Mądrość natury zadziwiała tu na każdym kroku, z jej niezłomnym porządkiem i subordynacją.

Nad wyraz ciężkie warunki naszego tam pobytu pogłębiane były jeszcze i przez to, że większość z nas swoich pieniędzy nie posiadała już wcale, żołądu zaś w gotówce nie otrzymywaliśmy również i to nietylko jeńcy cywilni, ale i jeńcy wojskowi; byli oficerowie i żołnierze, nie dostawali ani grosza. Upominaliśmy się o to parokrotnie u swej najbliższej władzy, która ze swej strony skomunikowywała się jakoby w tej sprawie ze sztabem generalnym w Delhi. Nadeszła stamtąd jednakże kategoryczna odmowa. Żyliśmy i nadal „wewnętrznie” pożyczkami, bez pewności uiszczenia się z nich kiedykolwiek. To też drażliwsi z nas, unikali tego sposobu zaopatrywania się w monetę, odmawiając sobie w najniezbędniejszych nieraz przedmiotach.

Ze strony władz angielskich było to, powiedziałbym, okrucieństwem. Większość bowiem z nas byli to namiętni palacze. A Anglicy już chyba najlepiej mogli nas w tej namiętności zrozumieć, jako ci, co fajki z ust nie wypuszczają prawie. Byli konsekwentni jednak w systemie znęcania się nad swemi ofiara-

mi. Pozwolili jedynie na założenie kantyny, gdziebyśmy mogli nabywać niezbędne nam przedmioty po przystępniejszej, niż w mieście cenie.

Założeniem jej zajął się jeden z miejscowych Parsów, przedstawiciel plemienia, oddawna osiadłego w Indjach, t. zw. „czcicieli ognia“.

Mają oni tam w swoich rękach cały handel nie tylko wśród miejscowej ludności, prywatny że tak powiem handel, lecz przede wszystkim są dostawcami na szeroką skalę, wszystkich artykułów dla tamtejszych wojsk angielskich. Są tak zwanymi „kontraktorami“ (contractory) na usługach kolonialnych wojsk. Wogóle typ „kontraktorów“ jest bardzo rozpowszechnionym w wojsku angielskiem. Do nich należy naprzykład werbunek żołnierzy. Nawet oficerowie posługują się nimi dla odbywania w swem zastępstwie ćwiczeń z żołnierzami. „Kontraktorzy“, będący przy wojsku, noszą także uniformy wojskowe, do rangi pułkownika włącznie. Charakterystycznym jednakże jest na tamtejsze stosunki to, że pomimo, iż uniform takiego „kontraktora“ w niczem się nie różni od uniformu zwykłego oficera, żołnierze Anglicy nie oddają im honorów, przynależnych mundurowi. Do tego stopnia lekceważą ich sobie, że nawet nie ustępują im miejsca w wagonach tramwaju, w restauracji i t. p.

Co zaś do Parsów, to element ten, jako oddawna zamieszkujący Indje i doskonale znający Hindusów, pozatem, jako mający tylko własny interes i zyski na względzie, umie wyżyłować miejscową ludność

w chwilach najbardziej dla siebie odpowiednich. I do pewnego stopnia dopomaga Anglikom w rządzeniu tym krajem, pozbawiając ich kłopotów w regulowaniu potrzeb aprowizacyjnych zarówno wojska, jak i ludności. W stosunku zaś do samych Hindusów Parsowie są pijawkami, wysysającymi resztki sił z tego nieszczęśliwego narodu.

Posiadaliśmy tedy już własną kantynę. Dla urozmaicenia sobie dnia, chodziliśmy tam po kilka razy dziennie, po byle co i po nic. Byleby tylko tam pójść, zobaczyć jak inni coś kupują.

Ale bezczynność nasza jednak trwała w dalszym ciągu. Kantyna nie mogła wypełnić całego dnia. To też część jeńców z inteligencji wymyśliło sobie specjalną, ohydłą zabawę, wzbudzającą w niektórych z nas wstręt i odrazę.

Przy ostatniem łóżku jednego z nich, mianowicie Rölicha, kładziono przynętę dla kotów, które przywykły chodzić do baraków, szukając pożywienia. A trzeba wiedzieć, że w Indjach nikt zwierząt nie zabija. Przytem barak zamieszkiwany przez nas zajmowali przedtem muzułmanie, u których kot cieszy się wielkiem uznaniem.

A więc, biedne kocisko szło zwykle spokojnie, pewne, iż nic mu się złego nie stanie. W tym momencie padała komenda „łapaj“, „trzymaj“. Jeden z uczestników tej „inteligentnej“ zabawy chwycił kota na daną komendę, a ten, z największą ufnością

dawał się złapać. Wtedy to całe towarzystwo, z Rölichem na czele, wychodziło, z zawczasu przygotowanym sznurkiem i... wieszalo kota na jakiejś gałęzi.

Smutno to wyznać, ale ta okrutna zabawa sprawiała im wielką radość. Niektórzy amatorzy tych egzekucyj, nie mogąc z jakichkolwiek powodów wziąć w niej czynnego udziału, czuli się w takich wypadkach ogromnie pokrzywdzonymi.

Tak to wojna i niewola deprawuje człowieka.

Pewnego wieczora zakomunikowano nam, że wkrótce będziemy mogli zapisywać się do robót ziemnych. Władze angielskie postanowiły przeznaczyć jakieś nieużytki do założenia tam ogrodu i że za naszą w nim pracę mają nam płacić.

Wiadomość tę powitaliśmy z nieopisaną radością. Nareszcie będziemy coś robili i nawet zarabiali. Własne pieniądze będziemy mieli. Co za radość!

Znaleźli się wśród nas wszakże i tacy, (posiadający jeszcze gotówkę), którzy uważali za ubliżające ich godności podjęcie się tego rodzaju pracy. Na czele tych „arystokratów“ stał „doktor“ (!) Wagner.

Mnie zaś, jako urodzonemu i wyrosłemu na wsi, od dzieciństwa przywykłemu do życia wiejskiego, perspektywa pracy w ogrodzie uśmiechała się bardzo. Zachęciłem do niej Cebulę i jeszcze trzech Węgrów. I tak, w pięciu, oczekiwaliśmy z niecierpliwością pozwolenia przystąpienia do roboty.

V.

Obchód 29 listopada.

Był koniec listopada. Od paru dni temperatura spadła; zrobiło się pochmurno. Oczekiwaliśmy deszczu.

Budząc się rano, zakreśliłem w kalendarzu (zrobionym na deszczulce) 29 listopada. Na wspomnienie tego dnia, myśl moja pobiegła daleko... w rodzinne strony. Dzień ten, od czasów uniwersyteckich obchodziłem bardzo uroczyście, w gronie kolegów i przyjaciół. Pozostawił on po sobie w mej pamięci niezatarty urok. Łączył w sobie tyle wspomnień, czy to z pobytu w kraju, czy na obczyźnie... Czuję się tego dnia jeszcze bardziej osamotniony, niż zwykle, pomimo, iż w baraku naszym było ludno i gwarno.

Rozmawiając z Cebulą, wspomniałem mu mimochodem o dzisiejszej dacie i o znaczeniu tego dnia dla nas, Polaków. Powiedziałem to raczej do siebie, do swoich myśli, jak gdyby dla przypomnienia przeżywanego ongiś wzruszenia. Nie wiedziałem zresztą „na jaki grunt padnie ziarno“.

Tem miłszą dla mnie niespodzianką było, gdy towarzysz mój, w odpowiedzi zaczął nucić patriotyczne pieśni i dziękował mi za przypomnienie mu o tym dniu. Zaproponował nawet spędzić dzisiejszy wieczór we dwóch, na pogawędce o przeszłości.

Napotkawszy Smutnego, zapytałem i jego, czy pamięta o dniu 29 listopada? — ale ten, zbył mnie cynicznymi wierszykami o Chłopickim i śmiejąc się, pobiegł, jak zwykle, zajęty interesami handlowymi. Machnąłem więc nań ręką.

W czasie obiadu, podeszło do mnie dwóch jeńców-Węgrów, w towarzystwie Cebuli i oświadczyli, że gdybym się zgodził opowiedzieć o powstaniu 1831 roku, po rosyjsku, jako w języku zrozumiałym i dla Węgrów i dla Słowaków, to oni chętnie wezmą udział w obchodzie, który, zdaniem ich, należałoby urządzić i że przyjdą posłuchać odczytu. Byłem wzruszony zainteresowaniem się Węgrów i Słowaków świętem, które zdawałoby się tylko dla nas, Polaków, mogło mieć znaczenie. Zgodziłem się, rzecz prosta, jaknajchętniej na wygłoszenie przemówienia i umówiliśmy się, iż obchód odbędzie się po kolacji, w naszej szopie.

Ku wielkiemu zdumieniu memu, przyszło jeszcze do mnie dwóch jeńców z austriackiego wojska, Żydów, z zapytaniem, czy mogą i oni wziąć udział w obchodzie, gdyż są Polakami (!!) z okolic Lwowa i że jeden z nich jest byłym kantorem z synagogi i ładnie śpiewa polskie pieśni. Było to naprawdę bardzo wzruszające. Oczywiście, zaprosiłem i ich do wzię-

cia udziału w tak oryginalnie zainicjowanym obchodzie, zwłaszcza w tych, bądź co bądź, niezwykłych warunkach.

Zacząłem przygotowywać się do odczytu. Wydobywałem z pamięci różne szczegóły; notowałem je i porządkowałem, wybierając to tylko, co mogło istotnie zainteresować tak różnorodną „publiczność“, nieobebraną przecież z historją Polski.

Mając na względzie moich słuchaczy właśnie, pragnąłem nadać mniej-więcej uroczysty charakter brudnemu barakowi. Chciałem chociażby paru gałęziami go przybrać; zawiesić jakieś godło narodowe, słowem, przystroić nieco puste ściany naszej szopy. A tu, na pustym placu obozu, ani drzewka, ani krzewu; żadnych gałęzi, żadnych liści, choćby suchych. A więc, trzeba myśleć o sprokurowaniu jakiegoś emblematu polskości. Białego orła można wyciąć z papieru. Ale skąd wziąć amarantu na tarczę?

Rozmyślając tak, (spacerując przed barakiem) potrafiłem nogą jakiś przedmiot. Kopnąłem jeszcze raz i ku zdumieniu swemu, ujrzałem przed sobą starą, zniszczoną krymkę turecką, fezę. Nie był to wprawdzie amarant, w każdym razie dość zbliżony do koloru, który przy słabem, wieczornem oświetleniu, mógł ująć za amarant. Skwapliwie tedy podniosłem z ziemi tę brudną krymkę i wyciąwszy z niej tarczę, przypominającą formę używaną do herbów, przymocowałem na niej wyciętego z papieru orła.

Z wielką, prawie młodzieńczą radością, umocowywałem to godło narodowe nad improwizowaną

„katedrą”. Ożyły wspomnienia z lat studenckich... Poczuliśmy się nagle młodszym o dziesiątki lat...

Tymczasem, między Niemcami zaczęła się szereg kontragitacja przeciwko obchodowi. Wszelkimi siłami starali się uniemożliwić naszą uroczystość. Dzięki ich staraniom wydane zostało rozporządzenie przez sierżanta Kosturę (jednego z jeńców), aby nasz oddział o godzinie 8-ej „ułożył się do snu”.

Nie zważając na wydany rozkaz, część osób z naszego oddziału, mianowicie: Rölich, Stump, Wagner, poznańczyk X. poszli grać w karty do jednego z niezamieszkałych baraków. Zabrali z sobą i lampę. Pozostawili nas w zupełnych prawie ciemnościach, bo tylko przy małym kopcidełku, ściennej lampce, jakich używano niegdyś do oświetlania schodów.

O ósmej wieczór, wszyscy pozostali, zgodnie z rozkazem, poukładali się do snu. Smutny, czując się zapewne trochę niewyraźnie po rozmowie ze mną, udał chorego i obwiązawszy głowę chustką, położył się do łóżka też. My, we dwóch z Cebulą, ustawialiśmy ławki i tapczany dla spodziewanego audytorjum, zawiesiliśmy lampkę i... oczekiwaliśmy na przybycie naszej publiczności.

Tymczasem deszcz, który zaczął padać powolutku, zmienił się wkrótce w prawdziwą podzwrotnikową ulewę. Przejście z szopy do szopy było prawie niemożliwym.

Siedziałem, jak przystało na prelegenta, przed specjalnie przygotowanym stołem, podparłszy głowę rękami i... rozmyślałem, wsłuchując się w muzykę

padającego deszczu.... Siedziałem tak dość długo. Nikt nie przychodził. I któż mógł się odważyć iść tu w taką straszną ulewę? Byłem zły na siebie, że nieudanym obchodem narażam na śmieszność tak podniosły nastrój. I po co to wszystko zainicjowaliśmy? Dla kogo? Obca atmosfera, wrogie nastroje kliki niemieckiej, która jutro nie omieszka wykipić naszą nieudaną imprezę. Ach, ten nieszczęsny, polski romantyzm!

Spojrzałem na orła, którego dziś rano jeszcze z taką radością i entuzjazmem wycinałem z papieru: wydał mi się teraz, w oświetleniu kopczącej lampki i zawieszony na latarni, czemś małym i śmiesznym; parodją godła. Spojrzałem przed siebie: puste ławy i tapczany zdawały się śmiać i wydrwiwać ze mnie i z Cebuli. Zrobiło mi się niewypowiedzianie smutno...

Ulewa nie ustawała. Zdawało się, że nie ustanie już nigdy. Niemiłosiernie dudniło w dach baraku... Nie przyjdą... Złękli się deszczu... Zacząłem wreszcie pocieszać się... ulewą właśnie; całe niepowodzenie obchodu będzie przecież można „zwalić” na niepogodę, przed tymi, którzy z naszego niepowodzenia cieszyć się będą.

Poczekąłem jeszcze jakąś chwilę... Naraz, w momencie, kiedy zamierzałem opuścić swoje miejsce, z głębi ciemnej szopy wynurzyły się cztery postacie w wojskowych czapkach i barwnych mundurach. Miarowym, żołnierskim krokiem zbliżyły się ku mnie. Za nimi widniała druga czwórka, dalej trzecia, czwarta... Wszystkie grupy przechodziły do miejsc

im przeznaczonych, mijając mnie i salutując przed orłem, po wojskowemu.

Przetarłem oczy w obawie, czy to nie halucynacja... Nie, to nie halucynacja. Przede mną siedziało kilkudziesięciu jeńców wojennych. Byli to Węgrzy i Słowacy, którzy przyszli na tę uroczystość w swych mundurach wojskowych (chowanych przez nich jak relikwie w czasie naszej podróży), chcąc tem zamaniestować zapewne swe uczucia sympatji dla Polaków w tak uroczystym dla nas dniu.

Sposób ich wejścia i te mundury, mimowali na dały całemu obchodowi uroczysty ton, który też udzielił się całemu audytorjum, a przedewszystkiem mnie. Zacząłem mówić.

Nie będę tu powtarzał treści mego przemówienia; polski czytelnik słyszał podobne, wiele razy, w najrozmaitszych warjacjach. Powiem tylko, że ze względu na słuchaczy, nie zapomniałem powiedzieć im tego, com wiedział o działalności generała Bema i o jego wielkich zasługach, jako wodza. Czułem, że słuchano mnie z natężoną uwagą i że między mną a słuchaczami nawiązała się jakaś niewidzialna nić...

Kiedy na zakończenie powiedziałem, że obecnie, gdy żandarm Europy, Car moskiewski, runął, — Europa odetchnęła swobonie, że teraz właśnie, narody dążące do wolności będą w stanie urzeczywistnić wreszcie swoje ideały i zrealizować swoje dążenia. Polacy zatem mogą dziś zaśpiewać dawny swój hymn „Boże, coś Polskę“. I kiedy Cebula zaintonował tę pieśń, nastąpiła nigdy niezapomniana dla

mnie chwila: z czterdziestu kilku piersi Węgrów i Słowaków, którzy powstali ze swoich miejsc, jak na komendę, wyrwała się pieśń, tak dla nas droga i połała się szeroką falą po całym baraku. Z tytaniczną siłą wyszła poza jego mury i rozlała się po szerokiem przestworzu...

Nie mogłem zapanować nad sobą: łzy ciężkimi kroplami spadały mi z powiek, z radości, jaką czułem w sobie. Co za dziwny, niezwykły obchód! W Indjach — Węgrzy, Słowacy, Żydzi (i nas dwóch Polaków) śpiewają po polsku „Boże, coś Polskę“ i „Jeszcze Polska nie zginęła“. Salutują przed Polskim Orłem, rozpiętym na rozprutej tureckiej krymce, na czapce narodu, który jeden jedyny nie uznał rozbioru Polski. Odczyt zaś o tym drogim dla każdego Polaka, fakcie dziejowym, wygłoszony został w języku rosyjskim. W języku jednego z naszych wiekowych ciemniących!

Dziwny splot okoliczności!

Zasłuchani w dźwięki hymnu, nie wiedzieliśmy, że ulewa ustała już dawno, że cudne podzwrotnikowe niebo zajaśniało znowu tysiącami gwiazd. Zapomnieliśmy o tem, gdzie jesteśmy, kto nas słucha... Spiewaliśmy tak, jak gdyby nas słyszano tam, hen, daleko, w Polsce...

Było już po dziesiątej, kiedy moi słuchacze, ustawiwszy się znowu w rzędy i po wojskowemu odsalutowawszy, przeszli przede mną i zaczęli wychodzić, nucąc jeszcze po drodze piosnkę o Bemie.

Nastuchiwaliśmy czas jakiś, we dwóch z Cebulą,

ginących w dali dźwięków dziarskiej tej piosenki, później, ucałowawszy się serdecznie, jak dwaj przyjaciele, rozeszliśmy się szczęśliwi z udanego wieczoru, na spoczynek.

Pod nawalem wrażeń, przeżytych tego dnia, długo nie mogłem usnąć... Ci obcy mi dotąd ludzie, których głosy dźwięczały mi jeszcze w uszach, stawali się naraz tak bliskimi. Słyszałem przecież dużo o rzekomej przyjaźni Węgrów dla Polaków. Dzieckiem będąc jeszcze, powtarzałem często zwrotkę znanej piosenki „Węgier, Polak, dwa bratanki i do szabli i do szklanki“, ale nigdy tej przyjaźni nie miałem możliwości sprawdzić osobiście; nie miałem na to żadnych dowodów. I oto, na obczyźnie, w dalekich Indiach, czując się osamotnionym nawet w gronie kilku Polaków (w ogólnej liczbie kilkudziesięciu jeńców) — doznałem tyle dowodów współczucia i zrozumienia od Węgrów, że dziś nie mam już żadnych wątpliwości, co do szczerości ich uczuć serdecznych dla nas, Polaków.

Od tego pamiętnego dnia nie czułem się już tak samotnym.

Tymczasem, grupa Niemców i niemcofilów, dowiedziawszy się, że obchód nietylko urządziliśmy, ale że się on udał znakomicie, zaczęli prowadzić między sobą jakieś tajemnicze rozmowy. Z urywanych słów ich rozmów dochodziły do naszych uszów: „verboten, skandal, raport“ i t. p. Jakoż istotnie tegoż samego dnia, t. j. nazajutrz po obchodzie, został złożony raport na ręce Kermaka, który ze swej strony

złożył go jednostronnie władzom. Anglicy nie bardzo rozumieli, co prawda, z raportu, na czym polega wina Polaków i co to był za obchód. Jedyną przewiną, jaka w ich oczach wynikała z raportu, było to, że jeńcy śpiewali późnym wieczorem, w godzinach przeznaczonych do snu. W każdym razie, w południe otrzymaliśmy już rozporządzenie komendanta obozu, wzbraniające na przyszłość urządzania jakichkolwiek uroczystości narodowych. Brzmiało ono tak:

„ROZKAZ OBOZOWY DLA WIEŹNIÓW WOJENNYCH W NOWGONGU.

Wśród internowanych w obozie więźniów wojennych w Nowgongu znajdują się ludzie różnych narodowości, różnego wyznania i politycznych przekonań.

Uczyniono doświadczenia, że rozmowy na tematy narodowe, wyznaniowe i polityczne wywoływały przykre następstwa i dlatego komendant obozu zakazuje odąd tego rodzaju rozmów i życzy sobie, aby rozkaz ten ściśle był w obozie wykonywany“.

Rozporządzenie przyjęliśmy do wiadomości, zaś w swej pamięci zanotowaliśmy, że **29 listopada 1918 roku, na ziemiach Indyj, w miejscowości Nowgong, rozległa się pieśń — może po raz pierwszy na tej ziemi — „Jeszcze Polska nie zginęła“.**

VI.

Oddzielenie od całej grupy 8-miu jeńców.

Jakoś w pierwszych dniach grudnia, zostaliśmy zawiadomieni (za pośrednictwem oczywiście Kerma-ka), że ośmiu z naszej grupy, mianowicie, aresztowanych i wziętych do niewoli w Aschabadzie oraz Rō-licha i Zeltina, przeniosą do innego pomieszczenia.

Był to dość dziwny budynek. W niczem nie przypominał żadnej z dotychczas widzanych przez nas budowli i najwidoczniej przeznaczony tylko dla więźniów.

Składał się z dwudziestu małych celek, odgrodzonych jedna od drugiej dość wysokim murem, przy- czem każda cela posiadała własne podwóreczko, zamknięte od frontu również murem. Nawprost każ- dej celi były niewielkie drzwi. Frontowy tedy mur, łączący wszystkie te cele, tworzył fasadę owego bu- dynku.

Droga do niego od naszych szop prowadziła koło koszar wojskowych i koło „Office”. Sam zaś ów bu- dynek znajdował się na ogromnym placu, (większym

od naszego), który to plac, tak jak i nasz, był oto- czony dwoma ogrodzeniami z drutu kolczastego.

Przenieśliśmy się tam ósmego grudnia.

Uczyniliśmy to z dużym zadwoleнием. Każdy bowiem z nas spragniony był własnego kąta, po kil- kumiesięcznym przymusowym przebywaniu z obcymi sobie ludźmi. Przypuszczając, iż pobyt nasz tu może potrwać jeszcze długo, zajęliśmy się przygotowaniem, najniezbędniejszych dla nas w tych warunkach, sprzętów domowych.

Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu, pilnująca nas dotąd warta została zdjęta zupełnie. Wzięto tylko od nas słowo, iż bez pozwolenia władz nie będziemy wy- chodzili poza obręb ogrodzenia. A więc zniesione zo- stało wreszcie dzikie i niczem nieusprawiedliwione dotychczasowe postępowanie z nami władz angielskich; zaprzestano chodzenia po piętach; uznano w nas ludzi.

Do pełnienia czynności kucharza pozwolono nam nawet wziąć jednego z jeńców, według naszego wyboru, a za jego zgodą.

Ta zmiana „na lepsze” warunków naszego tam pobytu cieszyła i zasmucała nas jednocześnie. Do- wodziło to bowiem, że pobyt nasz tu zanosí się na dłużej, że nadzieje na szybkie uwolnienie nas zawio- dły zupełnie.

Nowe te warunki nie tylko umożliwiały nam ab- solutną swobodę ruchów. Dawały nam przedewszyst- kiem możliwość obcowania z naturą od świtu do póź- nej nocy. I to właśnie łagodziło częściowo nasze cier-

pienia moralne i do pewnego stopnia usypiało szarpiącą nas nostalgię.

To nasze więzienie obecne ze wszystkich stron otoczone było mnóstwem drzew, czego nie mieliśmy tam. Nawet podwórka posiadały po jednym dużym drzewie. Na drzewach roiło się od różnorodnego ptactwa. Nie brakło i wiewiórek. Mieliśmy więc możliwość obserwowania zbliżka życia tych zwierząt i ptaków i zbliżyć się niejako z nimi, a nawet spoufalić się.

Szczególnymi przyjaciółmi naszymi, odwiedzającymi nas codziennie, były drozdy. W oczekiwaniu naszego przebudzenia się czyniły one taki rwetes, tak przeraźliwie świergotały, że pomimo bardzo wczesnej nierzaz pory, niepodobna było nie wstać i nie otworzyć drzwi od swej celi, by dopuścić tych żarłoków do przygotowanych z wieczora okruszyn.

Wleciawszy do celi bractwo to nie zadawało się zazwyczaj przygotowanymi już okruszynami; pładrowało bez ceremonji po całej celi, szukając pożywienia po wszystkich jej kątach. Nie opuszczało jej aż do chwili przyniesienia nam śniadania, którem oczywiście należało się z nimi dzielić.

Wślad za drozdami zjawiały się szare, pręgowate wiewiórki, zamiatając puszystymi ogonami i wpatrując się dużemi, czarnemi oczami w gospodarza celi. Zjawiały się zwykle w kilka chwil po przybyciu drozdów, czyli po opanowaniu już przez nich sytuacji. (Zwierzątka te są naogół dość bojaźliwe i tylko pod osłoną drozdów czują się bezpiecznemi).

Uwijały się koło okruszyn razem z drozdami, dopóki siedziałem, czy leżałem nieruchomo; najmniejsze moje poruszenie się wywoływało wśród nich popłoch: uciekały przestraszone i kryły się w gałęziach drzew, by po chwili zjawić się znowu i wrócić do przerwane go śniadania.

Na podstawie obserwacji, przyszedłem do przekonania, że posiadają one bardzo słaby węch i taką orientację. Dla tego właśnie trzymają się towarzyswa drozdów. Tak naprzykład, kiedy czasem drzemałem po obiedzie, wyciągnąwszy się na tapczanie (rozzuciwszy uprzednio okruszki chleba na ziemi), wiewiórki wskakiwały na mnie i z ciekawością przyglądały się nawpół przymkniętym moim oczom. Przy silniejszym jednak oddechu, uciekały przerażone i płoszyły tem biednych drozdów. Tej śmiałości wskakiwania na mnie nie miały naprzykład drozdy, chociaż, jak powiedziałem, natarczywie dobijały się przecież do celi i bardzo śmiało w niej pładrowały.

Dwa tedy rodzaje tych stworzeń: drozdy i wiewiórki, były nierozdzielne. Szczególniej wiewiórek bez drozdów nie można było sobie wyobrazić.

Oprócz tych miłych ptasząt, (zastępujących nam rodzimych wróbli) całemi dniami przebywających z nami, zaczęły odwiedzać nas także orły, kruki i wrony. Ptaki te też towarzyszyły sobie stale, chociaż powód towarzyszenia orłom przez wrony był zupełnie inny, aniżeli powód, dla którego wiewiórki trzymały się drozdów.

W pobliżu naszego budynku było cmentarzysko, jednej z licznych sekt hinduskich, gdzie, według ob-
rządku sekty, wynoszono ciało zmarłych i pozostawiano do rozdziobania orłom i wronom. Stada tych ptaków unosiły się w powietrzu w oczekiwaniu swej zdobyczy. Zamieszkanie przez nas opuszczonego oddawna budynku, także nie mogło nie zwrócić uwagi drapieżnego ptactwa. Nad kuchnią naszą rozciągnęły one swoją szczególną opiekę. A zwłaszcza nad stołami, gdzie spożywano posiłek. Śmiałość i bezczelność tych ptaków wobec nas była wprost zadziwiająca. Podczas obiadów naprzykład, w razie chwilowej nieobecności któregoś z nas, przygotowany dlań posiłek był porywany przez orła w obecności wszystkich. Działo się to zazwyczaj z taką zręcznością i szybkością, że zapobieżenie temu było prawie niepodobnem.

Niezmiernie ciekawem było także obserwowanie zręczności orłów i przebiegłości wron przy chwytaniu rzucanych przez nas w górę odpadków obiadowych. Na rzucony kęs opuszczał się szary, duży orzeł, porywał zdobycz w powietrzu w swe szpony i unosił w górę. Wrony, rozsiadłszy się na okolicznych drzewach lub dachach, pilnie śledziły za orłami. Jeżeli tylko dostrzegły jaki kawałek mięsa na ziemi, którego orły schwycić nie zdołały, natychmiast były już przy nim i chwyciwszy go w dziób, uciekały na piechotę po pod mur, ciągnący się wzdłuż naszych zabudowań. Tu czuły się zupełnie bezpiecznie, ponieważ rozpiętość skrzydeł orła uniemożliwiała mu

dosięgnięcie wrony i odebranie jej łupu. Orzeł w takich razach latał wzdłuż muru, bezradnie trzepocząc skrzydłami, wrona zaś, wzdłuż tegoż muru skakała tam i zpowrotem, drażniąc orła trzymaną w dziobie zdobyczą, pewna w tym wypadku, swego zupełnego bezpieczeństwa. Reszta wron latała nad orłem, krącząc przeraźliwie, dopóki ten, zniecierpliwiony, nie zaprzestał pogoni za ich towarzyszką. Ta wyjątkowa solidarność wron wobec orła i niewątpliwy ich spryt, pozwalały im bardzo często dzielić ucztę z silnym i niepokonanym swym wrogiem.

Zabawy z ptakami i obserwacja ich życia, stały się codzienną naszą rozrywką i wypełniały pustkę naszego tam życia. Zajmowały mimowoli nasz umysł przez cały dzień.

W kilka dni po objęciu przez nas nowego pomieszczenia, otrzymałem pozwolenie na założenie ogrodu, o czem wspominałem już wyżej.

Przyrzeczono mi także i narzędzia do pracy, jak kilofy, łopaty, motyki oraz nasiona warzyw.

Przystąpiliśmy tedy w pięciu (z Cebulą i trzema Węgrami) do pracy. Dni się już nam, pięciu, nie dłużyły, jak dawniej. Przeciwnie, wydawały się często krótszemi, niż zwykle.

Z wyznaczonego mi terenu wybrałem miejsce na przyszły ogród takie, gdzie słońce dochodziło tylko z rana. W południe zaś było zasłonięte od słońca gęstemi, rozłożystemi drzewami. Teren ten, jak już powiedziałem wyżej, należał do t. zw. nieużytków.

Pokryty był grubą warstwą gruzu, cegieł i kamieni, pozostałych tu z czasów jakiejś budowy, czy przebudowy. Przed przystąpieniem tedy do robót ogrodowych, należało przedewszystkiem oczyścić ziemię od gruzu. Nie było rady; trzeba było to zrobić. I oto, po dwóch tygodniach nieprodukcyjnej tej pracy nas pięciu, przy pomocy kilofów i łopat, ziemię oczyściliśmy. Po dokonaniu tego i po sumiennem przekopaniu ziemi, przeprowadziliśmy t. zw. regulówkę.

Poprzeczaliśmy następnie nasz ogród ulicami i uliczkami, wzdłuż i wpoprzek. Niektóre wyłożyliśmy nawet tłuczoną cegłą i gruzem.

Zaciekawili się naszą pracą Anglicy. Odwiedzali nas nawet podczas pracy. Z właściwą im flegmą orzekali jednak, iż z ogrodu tego nic nie będzie; że słońce wypali wszystko, a posucha mu dopomoże. że ulewa zmyje mi wszystek ogród. Zgóry żalowali już nasion warzyw, które miałem przyrządzone.

Uwagi ich (słuszne skądinąd) zniewoliły mnie do obmyślenia specjalnego polewania ogrodu, bo to mnie najbardziej niepokoiło, gdyż od słońca, jak zazaczyłem, chroniły go drzewa. Porobiłem tedy zagony wąskie i wysokie. Liczyłem na to, że na wypadek ulewy, uchronię warzywa od zniszczenia, a dam możliwość wodzie zwilżać zagony z boków, od bród.

Do polewania ogrodu otrzymaliśmy beczkę na 100 wiader. Nadto, przydzielono nam kilku jeńców do przywożenia wody z dość odległej od ogrodu studni. Przesłano i nasiona.

Niezapomniane to dla mnie chwile!

Z jakąż radością szedłem do ogrodu w dni zasiewów!

Jak witałem potem serdecznie kielkujące roślinki na zagonach!

Odezwało się we mnie wówczas drzemiące uczucie miłości dla ziemi, jako człowieka wyrosłego na wsi.

Zrozumie mnie łatwo ten, co ziemię kocha, lub czuje radość w obcowaniu z naturą.

W ogrodzie była częśćka nas samych.

Po paru tygodniach, częściowo dzięki w swoim czasie nabytej praktyce mojej na roli, częściowo zaś urodzajności i żyzności samej ziemi, ogród zazielenił się. Po upływie paru miesięcy mogliśmy się już pochwalić wcale pokaźnymi rezultatami naszych mozolnych wysiłków. Obfitość i jakość warzyw wzbudziły pono zainteresowanie samego Office'u. Przychodzono oglądać co ciekawsze okazy. „Zaszczycono“ nawet mnie uznaniem dla mojej w tem „wiedzy fachowej“.

Jedna z takich wizyt była tem ciekawa, że sam Coughtry¹⁾ przyszedł obejrzeć ogród i to w towarzystwie „lady“ i zgłosił się do mojej celi, by uzyskać pozwolenie na zwiedzenie ogrodu. Było to, jak na oficera wojsk kolonialnych, szczytem uprzejmości, zwłaszcza w stosunku do jeńca. Niechcący przytem słyszałem ich rozmowę. Powiedział mianowicie do swojej towarzyszkii: „Dałem mu ten teren na założenie“.

¹⁾ Oficer gener. sztabu, ob. tom I Wspomnień.

nie ogrodu, myśląc, że nic z tego nie zrobi, tymczasem ten człowiek, przy pomocy czterech ludzi, osiągnął nadzwyczajne rezultaty na tych nieużytkach i w dodatku w naszym klimacie. Szkoda, niedługo wszystko to przepadnie, jak stąd wyjedzie. A jest to człowiek niebezpieczny (!?)". Przypadkowo dowiedziałem się tedy, iż jestem niebezpieczny i że prawdopodobnie niedługo mnie stąd wyślą. Czekałem więc na dalsze niespodzianki. A tymczasem w dalszym ciągu zajmowałem się zapamiętane ogrodem. Byliśmy z Cebulą i Węgrami, tak nim pochłonięci, że nie interesowaliśmy się, tak jak dawniej, wiadomościami, przynoszonymi z poza obrębu drutu kolczastego. A wiadomości były teraz jak gdyby bardziej pocieszające. Zaczęto jakoby interesować się nami cokolwiek. Od czasu do czasu zjeżdżał do nas jakiś generał z Delhi. W takich przypadkach zaczynały się oględziny naszego obozu. Były to oczywiście oględziny „pro forma”. Polegały przeważnie na sprawdzaniu stanu sanitarnego klozetów (dosłownie) i na oglądaniu (z pewnej odległości) nas wszystkich, ustawionych, dla porządku, w szeregu. Przytem jednego z grupy wywoływano przed oblicze generała. I dziwnym zbiegiem okoliczności, wywoływano zawsze Smutnego (podoobały się snąć opowiadane przez niego banialuki).

Sprawdzanie stanu sanitarnego ubikacyj odbywało się zwykle w ten sposób: jeden z przybocznych adjutantów owego generała, dotykał rękawiczką, sedesu klozetu i stwierdziwszy, że jest on błyszczący,

jak gdyby dopiero co wypolerowany, szedł meldować generałowi, że „wszystko znalazł w należyтым porządku”.

Rewizje tego rodzaju na poprawienie naszego lcsu, rzecz jasna, wpłynąć nie mogły i nie wpłynęły. Jedynym profitem, jaki z nich mieliśmy, było nadprogramowe sprzątanie i tak bez zarzutu idealnie czystych klozetów.

Sprawiedliwość nakazuje stwierdzić, że na stan czystości klozetów Anglicy zwracają wyjątkową uwagę. My, Polacy, nie możemy sobie wyobrazić w przybliżeniu nawet tej czystości, jaka jest przestrzegana w tych ubikacjach i w jakim znajduje się ona stosunku do polskich izb mieszkalnych nie tylko na wsi, ale częstokroć i w miastach.

Od czasu przeniesienia nas do nowego pomieszczenia, życie nas ośmiu nie było już tak monotonne, jak przedtem. Zabawy z ptakami stawały się codzienną zabawą nas wszystkich, a mnie najbardziej absorbowował ogród. Dni zaczęły teraz mijać bardzo szybko. Noce tylko były męczące.

Z nastaniem zmroku, rozpoczynało się nieznośne, przejmujące wycie i skomlenie szakali, przerywane niekiedy śmiechem hieny. Zastanawiała nas przytem szybkość, z jaką owe stworzenia przenosiły się z miejsca na miejsce; skowyt ich, słyszany przed chwilą z oddali, gdzieś w stepie, naraz rozlegał się tuż, za naszymi zdaje się, zabudowaniami.

Pragnęliśmy wszyscy zobaczyć szakali zbliżeni i na wolności. Przemyśliwaliśmy nad sposobem zrealizowania planu, któryby ułatwił nam to zadanie. Zdecydowaliśmy wreszcie, doczekawszy się nocy księżycowych, zanocować na dachu opuszczonego przez Turków meczetu i stamtąd, jako z najwyższego w tym punkcie budynku, obserwować te zwierzęta, narzucawszy im uprzednio przynęty.

Tymczasem wypadek zrządził inaczej.

VII.

Szakale i Orły.

Pewnego wieczoru, siedząc na ławce przed swoją celą, zauważyłem zbliżające się zwierze. Początkowo myślałem, że to zwyczajny pies; gdy jednakże zdradziłem swoją obecność lekkim poruszeniem się, zwierze to nagle znikło. Znikło bez najmniejszego szmeru i z niezwykłą szybkością, jaką żaden z rodu psiego pochwalić się nie może. Pozostawione przezeń ślady na piasku przekonały mnie ostatecznie, że był to niewątpliwie szakal. A więc był to pierwszy ich wywiad w naszym kierunku. Należało spodziewać się lada dzień napadu szakali na naszą sadybę.

Zawiadomiłem o tem wszystkich moich sąsiadów i nazajutrz byliśmy gotowi do przyjęcia tych niezbyt pożądanых gości.

Naprzeciwko mojej celi stała latarnia, oświetlająca dość dużą przestrzeń wokoło. Tu właśnie narzucaliśmy kawałków mięsa, jako przynętę i zajmwszy następnie miejsca za murem naszego budynku, niby za średniowiecznym wałem obronnym, czekaliśmy

na ich przyjście. Trwało to dość długo. Zdawało się chwilami, że czekamy napróżno, że był to z mojej strony alarm fałszywy. Zaczęły się nawet szemrania z tego powodu niektórych współtowarzyszów. Nagle, ujrzeliśmy szakala w oświetlonym kole. Przyczołgawszy się do przynęty na brzuchu, obejrzał się na wszystkie strony, obwąchał dokładnie mięso i nie tknąwszy go znikł w ciemnościach. Myśleliśmy, iż uciekł, spłoszony naszą obecnością (choć staraliśmy się zachować bezwzględna ciszę). Tymczasem, był to tylko rekonesans, gdyż po chwili zjawilo się już dwóch. Tak samo, jak i pierwszy, podczołgały się do mięsa na brzuchach, oglądając się przytem na wszystkie strony i one dopiero zaczęły jeść. Ciagle jednakże nasłuchiwały, czy nie grozi im jakie niebezpieczeństwo.

Zwierzęta te, lękliwe, wystraszone i jak nam się wydało, wygłodzone, wzbudzały w nas litość. Ten ich niepokój był wywołany częściowo i tem, że się znajdowały w miejscu oświetlonym i nie widziały nic, ani przed, ani za sobą, w otaczającej ich ciemności. Mogły być łatwo napadnięte, a zatem musiały być w ciągłym pogotowiu. Wreszcie zjawilo się całe ich stado. Dziesiątki par błyszczących ślepiów wpatrywały się przez chwilę z ciemności w leżące tuż koło latarni, kawałki mięsa, jak gdyby nie mając odwagi stanąć w oświetlonym kole. Głód jednakże zmusił je do nabrania odwagi i wkrótce zaroilo się od nich. Z niesłychaną żarłocznością i chciwością rzucały się na mięso; wyrzywały je sobie nawzajem.

Uprzątnawszy wszystko, co było dla nich przygotowane, znikły tak samo nagle, jak były przyszły.

Zadziwiająca przytem była cisza, jaką zachowywały te zwierzęta podczas swego przyjścia i odejścia, a nadewszystko podczas jedzenia; nie było słycać żadnego skomlenia, pisku, warczenia; nie słyszeliśmy nawet odgłosu ich kroków. Miało się wrażenie, iż widzi się przed sobą cienie, a nie stworzenia żywe.

Od tego dnia odwiedziny szakali stały się u nas codziennymi. Z początku bawiło to nas bardzo, aż wreszcie zaczęło zagrażać naszemu bezpieczeństwu. Wieczorami niepodobna było wychodzić w pojedynkę i bez latarni. Całe ich stado kręciły się koło naszych zabudowań. Zameldowaliśmy o tem Komendzie. Jeden z oficerów angielskich strzelał nawet do nich w nocy w nadziei odstraszenia, lecz nie pomogło to bynajmniej i odwiedziny szakali trwały w dalszym ciągu. Nie pozostawało nam nic innego, jak obmyśleć jakąś zasadzkę, dla paru bodajby szakali, żeby tym sposobem uwolnić się od niepożądanych wizyt.

Zabrałem się do tego ja jako stary myśliwy, rad, iż nadarza się sposobność schwytania, bądź co bądź, rzadkiego zwierza.

W miejscu, oświetlonym przez latarnię, dokąd szakale śmiało już przychodziły codzień, wykopałem podłużny rów, mający większe zagłębienie z jednego boku, w którym to zagłębieniu położyłem przynętę. Sam zaś dół przykryłem ciężką, kamienną płytą (zdjętą z nieużywanej już studni). Płytę tę z jednej strony podparłem kawałkiem drzewa, w ten sposób,

w jaki chłopcy robią u nas pułapki na ptaków. By ułatwić sobie dopilnowanie momentu, kiedy szakal wpadnie do dołu, przywiązałem do drewnianej podpórki sznur i przeciągnąłem go do mojej celi.

Zastanawiałem się wszakże nad niebezpieczeństwem, jakie mogłoby mi grozić w wypadku, gdyby szakal w jakiś sposób wydostał się z dołu. Bo aczkolwiek kamień był dość ciężki, aby otwór przywalić i dość duży, by go zasłonić, to jednakże zwierzę mógł przecież się wydostać, wydrapując ziemię z boków. Będąc rozjuszoną, mógł wyrządzić wiele krzywdy.

Lecz cofać się było za późno: dół był już przygotowany. Zresztą, trzeba było czemś odstraszyć przecież coraz bardziej zuchwałe zwierzęta.

Zasiadłem tedy na czatach.

Późnym wieczorem, jak zwykle, przyszło całe stado. Plądrowały wszędzie, lecz do dołu nie zajrzały żaden; obchodziły go zdaleka, jak gdyby instynktem wyczuwając grożące niebezpieczeństwo.

Towarzysze moi, widząc nieudaną próbę schwytania szakala, nie omieszkali wyśmiać mój plan urządzenia dołu. Nie dałem jednakże za wygraną i co noc czatowałem dalej, trzymając sznur w ręku i mając drzwi nawpół otwarte, by w każdej chwili być gotowym do walki. Drzwi do cel reszty towarzyszków były szczelnie zamknięte.

W czasie kilkudniowego mego czatowania miałem możność przekonania się, że szakale żyją w zgodzie z psami. Niejednokrotnie widziałem, jak jakiś przybłąda - pies zajadał wspólnie z niemi ochłapy mięsa,

rzucane przez nas dla szakali. A nawet niekiedy ustępowały mu lepsze kawałki. Psy więc indyjskie nie są na stopie wojennej z szakalami, jak nasze z wilkami i lisami, naprzykład.

Przez parę nocy, pomimo zmęczenia, byłem na swoim stanowisku. Widziałem i hienę. Nie podchodziła do oświetlonego miejsca; przeszła bokiem, chwyciwszy leżące w cieniu kawałki mięsa. Nie zatrzymała się na dłużej przy stadzie szakali, węszących pożywienia. Jeden z szakali, (którego odróżniałem już z całego stada, po jego sposobie zachowywania się) zaczął coraz częściej zaglądać do otworu mego dołu, obwąchując go najpierw ze wszystkich stron, lub też siadał naprzeciwko otworu, czując przynętę we wgłębieniu (podsmażaną nota-bene codziennie, by nie straciła apetycznego aromatu). Z każdym dniem ruchy tego śmiałka coraz bardziej zdradzały mocne zainteresowanie się, nęcącą jego powonienie, zagadką, kryjącą się w przygotowanym dole. Na jego też ciekawość i liczyłem obecnie.

Kilka niedospanych z tego powodu nocy i pewnego rodzaju podniecenie „myśliwskie“, wyczerpało mnie. Chciałem już zaniechać czatowania. Wtem, ujrzałem „mego“ szakala, który przyszedłszy, jak zwykle wieczorem, przyczołgał się odrazu do dołu i położywszy się nawprost otworu, pozostał tak nieruchomo, wchłaniając nozdrzami zapach przypalonego mięsa. Nie spuszczałem zeń oczu i trzymałem w ręku sznur na pogotowiu. Tymczasem, drugi szakal, zaintrygowany półotwartymi drzwiami do mojej celi, za-

czał się do nich skradać. Był już o parę kroków ode mnie. Nie tyle bałem się już w tym wypadku o siebie, ile chodziło mi o zachowanie jak największej ciszy, teraz właśnie, gdy tamten szakal mógł każdej chwili wpaść do dołu. Przeżyłem parę chwil bardzo nieprzyjemnych. A zwłaszcza w momencie, gdy skradający się do mnie szakal przycisnął się za framugą drzwi i prawdopodobnie przygotowywał się do skoku wewnątrz celi. W tej właśnie chwili spostrzegłem, jak siedzący przed pułapką szakal jednym susem skoczył do dołu. Z obserwacji nad nim wyczułem, że był to skok nerwowy, że zwierzę nie zagłębi się dalej, że będzie się starał wydostać na powierzchnię. Natychmiast więc pociągnąłem za sznurek; podpórka opadła i kamień przywalił szakala. Przywalił w chwili, gdy ten, wskoczywszy do dołu, obrócił się i szykował właśnie do ucieczki. Kamień przycisnął mu tylną część tułowia i uniemożliwił uwolnienie się. Zwierzę zaczęło się rzucać, warczeć, szczerząc zęby na wszystkie strony. Z lęklivego, w jednej chwili stało się groźnym i niebezpiecznym. Podbiegłem doń, wystraszywszy jednocześnie skradającego się do mnie i jedyną bronią, jaką miałem przy sobie, mianowicie, rydłem, zabiłem go.

Jak później mogłem stwierdzić, zabiłem go w momencie, kiedy tułów swój zupełnie już prawie był oswobodził i za parę chwil mógł być zupełnie wolny. I wtedy to mogłbym nie wyjść cało.

Było już po północy. Towarzysze moi dawno już spali. Rychło jednak powstawali, obudzeni hałasem

Z zadowoleniem przyjęli wiadomość o zabiciu szakala. Zaczęto radzić, co zrobić ze zdobyczą, tym prymitywnym sposobem, upolowaną. Niektórzy doradzali pozostawić trupa na miejscu, gdyż całe stado jakoby zwykło w takich razach poszukiwać swego towarzysza, aż do skutku. Nalegał na to zwłaszcza Röllich, uchodzący jakoby za znawcę szakali i ich zwyczajów. Oparłem się temu stanowczo. Nie dowierzałem opowiadaniu Röllicha. Chciałem zresztą pozostawić sobie na pamiątkę skórę szakala. Pomimo więc protestów większości współtowarzyszów, obawiających się napadu szakali, postanowiłem zabrać do swej celi zabitego zwierza i tam go nazajutrz oprawić. Co też i uczyniłem.

Byłem jednak ukarany za nieusłuchanie rad towarzyszy. Szakal wydawał z siebie tak okropny fetor, iż przez całą noc nie mogłem usnąć. Pozostawić go zaś poza drzwiami nie chciałem ze względu na tchórzliwych sąsiadów. Musiałem cierpieć. O świcie, przewyciężywszy wstręt i panując nad sobą, by nie zemdleć od tego okropnego zapachu, zdarłem zeń skórę i posoliłem ją, celem zabezpieczenia od zepsucia. Trupa odniosłem poza ogrodzenie, daleko od zabudowań i położyłem na jakimś pagórku, w nadziei, iż służba, robiąca codzienne porządki na naszym placu, zajmie się uprzątnięciem padliny. Tymczasem, nikt jej nie uprzątnął i w czasie mojej poobiedniej przechadzki, zauważyłem na kadłubie całą gromadę orłów. Tych samych, oczywiście, które zlatywały się do nas podczas obiadów i kolacyj. Wokoło zaś, na

drzewach, rozsiadły się wrony i kruki, wyczekując na sposobność skorzystania z możności połakomienia się padliną.

Siedząc opodal, pod drzewami, przyglądałem się uczcie orłów. Szarpały swoją zdobycz, zapuszczając dzioby w kadłub i rwały mięso na kawałki, a nie dziobały go, jak inne ptaki drapieżne. Po jakimś czasie, wrony, siedzące dotąd cicho poczęły nieśmiało zbliżać się do orłów. Wtem, wszystkie orły zerwały się naraz i rozleciały, jak gdyby czemś spłoszone.

Zanim zdołałem zorientować się, gdzie mam szukać przyczyny takiego popłochu, nagle zgóry spadły dwa białe orły i usadowiły się na ciele szakala. Przyglądałem się im z wielką ciekawością. Pierwszy raz w życiu widziałem na własne oczy żywego, białego orła. Przy nieskazitelnej bieli ich upierzenia, raziły mnie żółte dzioby i szpony; nie pasowały do królewskiego ich majestatu.

Niezwykle wrażenie wywarła na mnie ta para orłów, racząca się we dwójkę, po ucieczce orłów szarych.

Wrony, zaczęły znowu pomału zbliżać się do padliny. I korzystając z tego, że orły jedząc zapuszczają głęboko swe dzioby w kadłub, podskubywały szakala zboku. Przemyślnie te ptaki, dziobały mięso, przechyliwszy głowy w bok, by mieć na oku orła, od którego każdej chwili mogły się spodziewać ciosu. (Sposób ten stosowały zawsze, jak to niejednokrotnie mogłem zaobserwować).

Jedną z wron, najzuchwalszą i najbardziej do-

kuczliwą, odpędził srogi orzeł, mocno ją dziobnąwszy w czub. Wrona, zachwiałszy się na chwilę od doznanego ciosu, wleciała w górę i na pożegnanie stuknęła orła dziobem w głowę. Poczem wszystkie wrony, bojąc się zapewne gniewu orlego, odleciały.

Orły tymczasem pożerały mięso z wielką chciwością. Musiały być bardzo głodne. Zachowywały przytem wielką ostrożność: gdy jeden z nich jadł, drugi bacznie rozglądał się naokoło, i patrzył w górę, słowem miał się stale na baczności. Śnać spodziewał się jakiejś napaści. A może już słyszał, im tylko znane, szmery w powietrzu, zwiastujące szybkie przybycie kogoś, komu wypadnie ustąpić z drogi. Jak się potem okazało, czynił to nie bez słuszności, bo oto w pewnej chwili, orły wyciągnęły szyje, spojrzwały w górę i rozwinąwszy skrzydła, majestatycznie wzniosły się do góry, ginąc mi z oczu.

Nagle, jak gdyby rzucony z wyżyn niewidzialną ręką, spadł na kadłub szakala ogromny ptak, aż się ten ugiął pod jego ciężarem. Patrząc zdala na tego ptaka zdawało się, iż od największego orła jest większy przynajmniej o połowę.

Stanął nad zdobyczą, wyprcstowawszy się i począł rozglądać się wokoło. Po jego źle opierzonej szyi, poznałem w nim kondora, a zatem jednego z największych drapieżnych ptaków.

Przypadkiem chyba tylko zjawił się w tych stronach. Równiny i pustynie w pogardzie są u tych ptaków; góry są ich stałym miejscem pobytu. Może w przelocie z Himalajów do Afganistanu zauważył on

z wyżyn leżącą zdobyczą i postanowił skorzystać z niej. Nie tknął jej wszakże. Stał w dalszym ciągu nad kadłubem, prawie nieruchomo. Może odpoczywał.

Wrony, siedziały teraz na gałęziach pobliskich drzew, zachowując ciszę i wpatrując się w olbrzyma, jak gdyby podziwiając jego majestat.

Mijały minuty, kwadransy... wspaniały ten ptak nie zmieniał w niczem swojej postawy.

Naokoło panowała absolutna cisza. Przewspaniały był to widok. Nagle, ponad drzewami przeleciał drugi, takież ogromny ptak i usiadł na gałęzi drzewa, dość oddalonego od miejsca, gdzie leżał kadłub szakala. Sądziłem, że to „kompan” tego pierwszego i że teraz może nastąpi raczenie się zdobyczą, we dwójkę. Ale cisza niczem nie została przerwana i ptak, stojący nad szakalem wciąż stał bez ruchu. Byłem już trochę znacierpliwiony tą, nieco przydługą trwającą, pantomimą. Niepokoiło mnie również i to, że słońce miało się ku zachodowi. Mógłbym nie dostrzec po zachodzie słońca rozwiązania tej, nader ciekawej dla mnie, zagadki. Postanowiłem jednak uzbroić się w cierpliwość i czekać. By urozmaicić sobie monotoność czekania, poszedłem do swej celi po papirosy. Nieobecność moja trwała najwyżej dwie — trzy minuty. Gdy wróciłem, nie zastałem już na swem miejscu ani szakala, ani kondora. Nie widziałem także i drugiego ptaka. Pobiegłem tedy na pagórek, gdzie przed chwilą jeszcze leżał kadłub i stamtąd dopiero zobaczyłem, (w odległości może trzydziestu

kroków od siebie), dwóch kondorów, unoszących z nad ziemi ciało szakala. Po chwili jednak, opuściły się ze zdobyczą na ziemię, i stanęły znowu oba, nieruchomo.

Obmyślały, widać sposób dogodniejszego ujęcia w swe szpony dość ciężkiej dla nich zdobyczy. Wreszcie, jak na komendę, chwyciły ją równocześnie i poszybowały z nią w dal, w asyście olbrzymiego stada wron, które kracząc, protestowały przeciwko prawu silnego.

Jak przypuszczałem, ta para kondorów musiała przybyć tu razem; jednym i tym samym szlakiem. Drugi z nich był może nieco słabszy od pierwszego, leciał wolniej i odpoczywał w drodze. Dla tego nie zjawił się równocześnie z pierwszym na trupie szakala i dla tegoż zapewne pierwszy kondor tak cierpliwie czekał na towarzysza. Odpocząwszy zaś, ptaki, pewne swojej przewagi nad innym ptactwem, śmiało zabrały zdobyczą, unosząc ją na niebotyczne szczyty gór, gdzie są absolutnymi władcami.

Takie oto przygody, wynikłe z naszego zbliżenia się z przyrodą i obserwacje życia ptaków i zwierząt, urozmaicały nam pobyt na dalekiej obczyźnie. To wszystko nie mogło jednakże zagłuszyć zupełnie nostalgji i zmusić do pogodzenia się z rzeczywistością. A rzeczywistość wszak wesołą nie była. Jak i dotąd, władze angielskie trzymały w tajemnicy przed nami swe plany, co do dalszego naszego losu. Nie wiedzie-

liśmy, czy będziemy tu rok, dwa, czy też skazani jesteśmy dokonać tu naszego żywota.

Pomimo pozorów łagodniejszego w stosunku do nas, régime'u, byliśmy nadal niewolnikami, pozbawionymi jedynie kajdanów. O najdrobniejszych szczegółach z naszego tam życia, usłużny Czech donosił władzom. Od spełnienia idjotycznych nieraz rozkazów nie uwalniała nawet choroba.

W okresie szerzenia się malarji, byliśmy badani przez lekarza. (Tego samego, który opiekował się nami podczas podróży z Delhi). Napuszony ten Hindus, ślepo naśladowający sposób bycia Anglików, nie cieszył się wśród nas zbyt dużą sympatją. To też podczas jego oględzin każdy z nas chętnie „wywalał” mu język, a on mówił przytem stereotypowe: „oll rigt”. Razu pewnego, Kowenko skarży mu się na jakąś dolegliwość. Doktor ów, rad popisać się swą wiedzą lekarską, zapisuje mu miksturę. A trzeba wiedzieć, że zamówienie, zrobienie i przyniesienie lekarstwa, wymagało tam dwóch — trzech dni czasu. Gdy wreszcie chory lekarstwo otrzymał, przestał być już chorym. Wobec tego, flaszkę z lekarstwem, nie otwierając jej wcale, postawił na murze przed swym tapczanem. Lekarz, przy następnej wizycie, zobaczywszy lekarstwo nietkniętem, obruszył się strasznie na Kowenkę, zwymyślał go najokropniej i kazał mu natychmiast wypić jakąś jego część. Zapowiedział przytem, że jeżeli tego nie uczyni, to czeka go za to surowa kara.

Cóż miał czynić ten człowiek, wobec takiego po-

stawienia sprawy i wobec donosicielstwa Kermaka? Wolał wypić niepotrzebne mu już lekarstwo, niż ponieść zapowiedzianą karę.

W tym też okresie, wszystkich nas zmuszano połykać codziennie chinę. Odbywało się to w następujący sposób: ustawiano nas w szeregu ze szklankami wody w rękach, a Kermak wsypywał nam do szklanek chinę.

Zdarzyło się kiedyś, że w nieobecności Kermaka zastępował go w tych czynnościach Kostura. I przy nim właśnie, jeden z Węgrów, nazwiskiem Hodosz, wody z chiną nie wypił, a nieznacznie wylał ją na ziemię. Kostura doniósł o tym fakcie Kermakowi, a ten — odnośnej władzy. W rezultacie, wezwano Hodosza do Office'u. Za karę, kazano mu przenosić kamienie z jednego miejsca na drugie. W tym celu, przed kancelarją ułożone były dwie piramidy z dużych kamieni. Podlegający tej wyrafinowanej, a zarazem głupiej karze, osobnik, przenosił te kamienie z jednej piramidy na drugą. Czynił to na oczach wszystkich przechodniów. Wyznaczanie tego rodzaju kar odbywało się zaocznie, tak, że skazany dowiadywał się dopiero wówczas, gdy przyprowadzono go do tej bezmyślnej roboty. Podczas tej „czynności” częstowano go nadto chiną!

Oto, do czego dochodziło posługiwanie się Anglików jakimś mało inteligentnym sierżantem, na którego łaskę i niełaskę byliśmy zdani. Żaden protest z naszej strony, żadne wyjaśnienie sprawy przez nas

wszystkich nie mogło w takich wypadkach ani uchylić kary, ani jej złagodzić.

Więzień, który wie zgóry na jaki termin został zamknięty do celi, może znosić upokorzenia, a nawet tortury z większym stoicyzmem, aniżeli ten, co jest skazany na te męczarnie bezterminowo. Gdy pierwszemu, podczas najokropniejszych udręczeń przyświeca myśl, że skończą się męczarnie za rok, za dwa, czy później, — drugi, nie mając i słabej iskierki tej nadziei, przestaje w końcu panować nad sobą. Chyba jest obdarzony wyjątkową siłą woli, powstrzymującą go od jakiegoś szalonego kroku i nie dającą opanować go rozpacz.

A myśmy należeli do tej drugiej właśnie kategorii ludzi, nie wiedzących nic zgoła o tem, co nas czeka w najbliższej przyszłości.

Na pomoc zzewnątrz przestaliśmy już liczyć też.

Wielka wojna przytępiła wszelkie uczucia litości i współczucia. Miljony ofiar, czy to zabitych na froncie, czy pomarłych wskutek odniesionych ran, opłakiwano wówczas niemal w każdej rodzinie w Europie. Ogół zubożał na niedolę ludzką, widząc ją na każdym kroku w postaci setek kalek i inwalidów wojennych.

Wszystkie komitety i organizacje takie, jak Czerwony Krzyż i inne, były zajęte rannymi i chorymi. Któż zatem był powołany do zajmowania się losem takich, jak my, nieszczęśliwców? Chyba tylko naj-

bliższa rodzina każdego z nas? Ale rodziny nasze były przecież bezsilne wobec brutalnej przemocy Anglików, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę odległość, jaka dzieliła nas od nich. Anglicy, aż nadto dobrze zdawali sobie sprawę z tego stanu rzeczy i odpowiednio wykorzystywali te warunki. Nie obawiali się żadnej odpowiedzialności przed nikim, za okrucieństwa, stosowane do bezbronnych ludzi. A rozkucie nas z kajdan po przyjeździe do Indyj, nie było niczem innym, jak pewną dyplomacją w stosunku do tamtejszej ludności. W jej oczach, Europejczyk musi uchodzić za coś wyższego, lepszego od Hindusa (jak tego chcą Anglicy). A więc nie „dobremu sercu“ Anglików, czy roztkliwieniu się nad nami, zawdzięczałiśmy oswobodzenie nas od oślich pęt.

I tak, zdenerwowanie nasze, jako tych, co nie byli pewni jutrzejszego dnia, dochodziło do najwyższych granic. Sprzeczki wynikały między nami coraz częstsze i o byle co. Wspólne spożywanie posiłków było dla nas ciężkie, ale niestety, nieuniknione. To też po jedzeniu, które odbywało się teraz w głębokim milczeniu, każdy z nas, rad chował się do swojej celi, by uniknąć nowej jakiejś sprzeczki. Zamieniało się tylko słów kilka z najbliższym sąsiadem, zazwyczaj.

Za jadalnię, początkowo służyło nam ogromne drzewo, pod którego rozłożystymi konarami stały stoły i ławy. (W cieniu tego drzewa swobodnie mogło stanąć trzysta osób). Później, w miarę wzmagania

się upałów, przeniesliśmy się z jadalnią do kuchni. Uczyniliśmy to i z tego jeszcze względu, że mieściła się ona dość daleko od tego drzewa i nie chcieliśmy narażać służby na noszenie nam tam jedzenia podczas dużych upałów.

Jak przemożny był wpływ kilkunastu Niemców na nasze otoczenie, o czym już parokrotnie wspominałem wyżej, świadczy choćby taki drobny przykład: Wagner wystąpił z propozycją, aby każdy z nas, wchodząc do jadalni, mówił po niemiecku: „malzeit“. I dziwna rzecz, pomimo, iż w naszym szczupłym obecnie gronie, bo tylko 8 osób, był jeden Niemiec, wszyscy się na to zgodzili. Ja jeden tylko, demonstracyjnie mówiłem po polsku „smacznego“, aczkolwiek i nie otrzymywałem niczyjej na to odpowiedzi.

W pierwszej połowie grudnia wezwano do Office'u Kowenkę, skąd powrócił on rozpromieniony i zakomunikował nam, że jest zwolniony i że w najbliższych dniach wyruszy do Bombay'u, a stamtąd do Rosji. Starał się przytem dać nam wszystkim odczuć, iż niema on nic wspólnego z całym naszym gronem i że tylko przez złą ironję losu z nami przebywać musiał razem. Istotnie, następnego dnia po tem oświadczeniu wyjechał, pożegnawszy się mniej więcej serdecznie z Rölichem tylko, z którym do końca pozostawał w dość dobrych stosunkach.

Wyjeżdżał pełen wdzięczności dla władzy angielskiej za darowaną wolność, (jak sądził, za jego względem Anglików służalczość) i w przeświadcze-

niu, że wyjeżdża zupełnie wolny. Nie podejrzewał wówczas jaką przykrą niespodziankę gotowała mu perfidyjna polityka „życzliwych“ mu Anglików.

Zabiegając tu naprzód, muszę opowiedzieć Czytelnikowi o dalszych jego losach. Spotkałem go w kilka miesięcy potem we Władywostoku, dokąd został odesłany przez władze angielskie i przekazany rosyjskiej władzy bezpieczeństwa (?!), jako rzekomo schwytany przez nich w Aschabadzie niebezpieczny bolszewik. I byłby zginął z ręki tej władzy ów kawaler liczących orderów, gdyby nie wstawienie władywostockiej firmy Stachiejew i S-ka, która poręczyła za niego przed żandarmerją rosyjską.

Tak oto Anglicy ocenili go i odwzięczyli mu się za jego dla nich oddanie.

Mniej więcej w tymże czasie powrócił ze szpitala Tur-Muren. Po półtoramiesięcznym tam pobycie wrócił on tak zmienionym, że narazie nie poznaliśmy go wcale. Młody ten względnie człowiek w ciągu tego czasu osiwił zupełnie. Był przytem tak wygłodzony, tak wynędzniały, że wzbudzał powszechną litość.

Z jego opowiadań dowiedzieliśmy się o szczególnych sposobach leczenia, stosowanych w tym szpitalu względem jeńców. Codzienny posiłek chorych, czy rekonwalescentów, bez względu na stan ich zdrowia, składał się z kilku szklanek herbaty z dodatkiem odrobiny mleka. Dozoru sanitarnego nie było wcale, jeżeli nie liczyć paru Hindusów, sprzątających zgruba sale szpitalne i podających pokarm. Opowiadał przytem, że codziennie niemal prosił, aby go

wypuszczono ze szpitala, w obawie by nie umrzeć tam z wycieńczenia. Zbywano go wszakże milczeniem i dopiero po sześciu tygodniach wypisano.

Słaniający się ten szkielet ludzki otoczyliśmy wszyscy staranną opieką naszą, stopniowo przyzwyczajając go do coraz większych dawek pokarmu, by się nie rozchorował nam ponownie. I tak, powoli siły zaczęły wracać biedakowi.

Wielką atrakcją było dla nas chodzenie na targ do Nowgongu, po zakupy prowizji.

Wszystkim naraz chodzić nie pozwalano. Ustaliśmy tedy kolejkę i wyruszaliśmy zwykle we dwóch, we trzech, w towarzystwie nieodstępnego żołnierza angielskiego.

Mieścina ta, (choć niełatwo da się ją odszukać na mapie), zasługuje na krótki bodaj opis, że względu na osobliwy jej charakter, jaki zresztą posiadają wszystkie miasta Wschodu.

Najciekawszą jest ona w dni targu, gdy przybywa tu ludność z rozmaitych pobliskich okolic.

Rzecz prosta, że z całego miasta, największą rolę odegrywa tu rynek, a zwłaszcza w dni targu. Pomimo wielkiego ruchu, jaki panuje przez cały dzień oraz różnorodności sprzedawanych przedmiotów, zadziwia tu wyjątkowa czystość, jak na wschodnie miasteczko. Sprzątanie targu odbywa się kilka razy dziennie; brudna woda od straganów z artykułami spożywczymi, odprowadzana jest za pomocą specjal-

nych ścieków. (To jest już niewątpliwą zasługą Anglików).

Rynek jest dość duży. Nad wszystkimi artykułami, wystawionemi na sprzedaż dominuje niesłychana wprost ilość łakoci. Na tle straganów, a właściwie na tle piramid ze słodczy rozrzuconych po całym targu, lśnią na słońcu brązowe nagie ciała (różnych odcieni) Hindusów, niczem olbrzymie, czekoladowe lalki w witrynie europejskiego sklepu. Słodyczne robione są tam przeważnie z mąki i trzciny cukrowej; rzadziej z mąki i miodu. Sądząc z różnorodności i dziwaczności kształtów i form tych łakoci, właśnie te cechy są zachętą dla kupujących, a nie ich jakość i smak.

Osobliwością tych targów były także misterje ze „świętymi“ węzami. Opodal straganów siedzi stary, nagi Hindus. Otoczony jest garstką ciekawych. Powolnymi ruchy i poruszając wargami, jak gdyby się modlił, wydobywa z łubianego kosza węża, rozkłada go przed sobą, jak linję i po chwili zaczyna wygrywać jakąś monotonna melodję na instrumencie, przypominającym flet. Wąż z wolna podnosi głowę, zagląda w oczy grającemu i pozostaje w tej pozycji dość długo, jak gdyby zasłuchany w miłe jego ucho dźwięki melodji. Widzowie przyglądają się temu, siedząc w kucki z obydwóch stron wyciągniętego węża i po pewnym czasie ustępują miejsca innym, składając na grzbiecie węża drobne monety dla grajka. Gdy zmniejsza się ilość ciekawych w tem miejscu, Hindus, schowawszy węża zpowrotem do kosza, wędruje z nim

dalej, w inny koniec targu i ta sama procedura z wę-
żem rozpoczyna się da capo.

Cudzoziemiec, nie znający tamtejszych zwyczaj-
ów, będąc w tłumie Hindusów, może się narazić
niechcący na niepożądaną dla siebie awanturę.
A właśnie nas to spotkało. Kiedyś, jeden z nas pod-
szedł do straganu i chcąc kupić trochę słodyczy, wziął
z lady jakąś słomkę, oblepioną miodem i czemś tam
jeszcze. Za chwilę, kiedy zamierzał płacić, był oto-
czony kilku Hindusami, którzy wymachując nad nim
rękoma, po hindusku coś wykrzykiwali. Na ten ich
krzyk zbiegł się tłum z całego targu. Postawa tłumu
stawała się coraz groźniejszą.

Byliśmy w wielkim kłopotcie, bo nie wiedzieli-
śmy, co mamy czynić. Wyratował nas będący z nami
żołnierz i wmieszawszy się w rozjuszony tłum, trzy-
maną, jak zwykle trzcina, rozpędził go, niemiłosiernie
bijąc trzcina wszystkich kto się pod rękę podwi-
nął. Jak się okazało, Europejczykowi nie wolno doty-
kać artykułów spożywczych, dopóki leżą one na stra-
ganie. Dopiero po zapłaceniu przez kupującego i po
wręczeniu mu towaru do ręki, należy on do niego.
Nawet wypożyczone Europejczykowi przez Hindusa
naczynie, po użyciu, są zazwyczaj niszczone natych-
miast.

VIII.

Anglicy w roli poskromicielei.

Przytoczone wyżej zachowanie się żołnierza an-
gielskiego (aczkolwiek i uchronił on nas od zemsty
tłumu), świadczy wymownie, że w stosunku do Hin-
dusów nie są oni „kulturtregerami“, lecz raczej „po-
skromicielami“. Anglik, w Europie nawet daje odczuć
swoją rzekomą wyższość Europejczykom, innej niż on
narodowości; pogardliwie traktuje wszystkich. Cóż
dopiero w Azji, w stosunku do żółtej rasy, która jest
jego wasalem. Tu nie jest już tylko pogardliwy stosu-
nek; poprostu jest potworna brutalność.

I jak dotąd, nie napotkali oni, niestety, stanow-
czego odporu.

Odgłosy nowych idei i nowych prądów, jakie zro-
dziła wielka wojna, przedostają się pomału do naj-
bardziej głuchych zakątków naszego globu. Gnębione
i wyzyskiwane przez Europejczyków, do dziś dnia, lu-
dy, dopiero teraz przejrzały nieco. Zaczęły oto pod-
nosić głowy coraz śmielej i śmielej. Słuszny głos pro-
testu, skierowany do odwiecznych ich ciemniży-

cieli, staje się coraz potężniejszym i groźniejszym. Protest ten jest tem groźniejszy, że zawiera w sobie nie potęgę brutalnej siły fizycznej, lecz potęgę Ducha.

Wielki człowiek, a nawet powiedziałbym śmiało, nadczłowiek i prorok, Gandhi, przewyciężywszy wszystkie trudności, jakie piętrzyły się na drodze, w postaci licznych sekt i religij, dzielących naród hinduski, potrafił zjednoczyć swój naród i w krótkim stosunkowo czasie, zdołał go natchnąć wielką ideą, mianowicie, ideą wyzwolenia się narodu od przemocy wroga.

Uczył to bez użycia jakichś demagogicznych haseł, a tylko wielkością swego ducha. Nie nowoczesna technika wojskowa zadecyduje tu o zwycięstwie Gandhi'ego nad wrogiem, lecz wyłącznie siła moralna jego narodu. A do zwycięstwa tego dojść musi. Niedługo może nadejdzie chwila, gdy spełnią się jego prorocze słowa, wypowiedziane w przeddzień kongresu w Delhi, w dniu 13 lutego 1922 roku: „Dokąd lew brytyjski będzie groził swemi pazurami, nie wolno nam wchodzić w żadne kompromisy. Jest sprawiedliwy Bóg, który rządzi światami. Imperjum Brytyjskie, zbudowane na brutalnym ucisku ludów i ras słabszych fizycznie, trwać nie może. Anglja musi zrozumieć, że bezkrwawa walka, wypowiedziana jej w roku 1920, to bunt, który nie da się już odwołać, aż do zwycięskiego końca doprowadzi, bez względu, czy walka trwać ma miesiące, czy lata całe. My już ustąpić nie możemy”.

Wszelkie wiadomości o tym potężnym ruchu

wyzwoleńczym, jakie stamtąd przedostają się do Europy, są zazwyczaj nie zupełnie zgodne z prawdą. Celowo pomniejszane jest jego znaczenie. O samym Gandhi'm w Europie prawie się nie mówi przecież. Ze świata ludzi, zdawałoby się niezależnych (przynajmniej formalnie) od wszelkiej polityki, czy dyplomacji, mianowicie, ze świata nauki i literatury europejskiej, dotychczas tylko jeden Romain Rolland napisał o tym olbrzymie-człowieku. Napisał pięknie i szczerze. Ale czy dużo osób, z tak zwanej inteligencji, zna tę książkę? Czy interesuje ich sylwetka Gandhi'ego? Czy znają jego myśl przewodnią?

Bo dziś, Gandhi nie jest już prorokiem tylko narodu hinduskiego. Jest apostołem nowej idei dla całej ludzkości.

A ludzkość, jeżeli nie chce zginąć wśród powodzi małych idejek, drobnych sprawek we własnych podwórczkach, musi pójść za głosem Gandhi'ego.

Stopniowe zwycięstwo trzystumiljonowego narodu hinduskiego, walczącego z Imperjum Brytyjskiem bez użycia broni w przeciągu kilku lat, czyż nie jest najlepszym dowodem słuszności głoszonych przez Gandhi'ego, prawd?

Odbiegłem od właściwego tematu niniejszej książki. Stało się to pomimo mojej woli. Ilekroć bowiem przyjdzie mi na myśl wielki ten prorok, opanowuje mnie młodzieńczy wprost entuzjazm; widzę przed sobą jaśniejszą przyszłość całej ludzkości, co, wierzę, musi się stać dzięki tej wielkiej idei.

Pozwolono nam wreszcie zwiedzić i okolice Nowogongu; zapoznać się z tym pełnym cudów krajem i jego mieszkańcami. Nie rozumieliśmy wprawdzie ich języka. To nam utrudniało bliższe zapoznanie się z ludem. Nie mogliśmy się dowiedzieć czegokolwiek ciekawego dla nas od samych Hindusów. Musieliśmy korzystać w tych wypadkach z pomocy żołnierzy-Anglików, jako tłumaczy. Jednakże samo przyglądanie się zbliżeniu wsioł, a w nich i mieszkańcom dawało możność wyrobienia ogólnego pojęcia o całokształcie panujących tam stosunków.

Na jednej z wycieczek, zorganizowanej przez Smutnego (z powodu rocznicy urodzin jednego z rozsiansych po całym świecie jego dzieci), zwiedziliśmy siedzibę jednego z maharadzów.

Wyruszyliśmy w drogę na wozach, t. zw. „Tango”. Jechaliśmy długo, gęsto zadrzewioną, szeroką aleją, prowadzącą właśnie do pałacu owego maharadzy.

Orszakowi naszemu przyglądały się z wielką ciekawością rdzenne mieszkanki tego kraju, małpy, siedzące na gałęziach przydrożnych drzew i natrętnie zaglądające nam w oczy.

Po drodze mijaliśmy wioski hinduskie, przypominające raczej tabory cygańskie, a nie izby stałych tego kraju mieszkańców. Nędzne te, chwiejące się w swych posadach chałupki, mogą jeszcze jako-tako chronić mieszkańców od słońca, od upałów, ale na wypadek ulewy, nie wyobrażam sobie co się z nimi wtedy dzieje i co czynią ci nieszczęśliwi ludzie.

Bieda ludności wyziera zewsząd. Bije w oczy przechodnia. Większość Hindusów chodzi tam nago i wcale nie dlatego, że to jest tam w zwyczaju, czy też z powodu gorąca; prawdziwa nędza zmusza ich do tego.

Częstokroć widzi się starszych ludzi (mężczyzn i kobiety), którzy nie mogą sobie sprawić nawet tak zwanej „wstydlivej” przepaski na biodra.

Wszystko to chude, wymizerowane, wygłodzone. Tylko oczy płoną jakimś blaskiem, jak gdyby ludzi nie z tego świata. I niema w tych oczach ani cienia zawiści, zazdrości, lub co gorsza, nienawiści. Twarz takiego nędzarza opromieniona jest dziwnie dobrym, pogodnym uśmiechem.

Patrząc na ich straszłą nędzę wydaje się wprost niezrozumiałem, dlaczego ten naród nie wybuchnie jowiszowym gniewem przeciwko tym, co wyciskają z niego i jego świętej ziemi wszystkie soki, nic wzamian nie dając? Przecież rolnik tamtejszy dotąd posługuje się narzędziami domowego użytku i rolniczymi, z przed kilku wieków. W XX-m stuleciu, w okresie rozkwitu techniki i wszelkich wynalazków, Hindu-rolnik własnoręcznie robi potrzebną mu motykę czy przedpotopowe żarno. I to się dzieje na oczach gospodarzących tam Anglików, dla których byłoby nic nie znaczącym drobiazgiem przyjść im w tem z pomocą, przez nadesłanie tu chociażby najniezbędniejszych narzędzi rolniczych.

Nie czynią jednak tego rozmyślnie. Leży w ich interesie utrzymanie tego kraju na jak najniższym po-

ziomie kultury. Stamtąd czerpią tylko surowce. Im dłużej w tym stanie utrzymają ten kraj, tem dłużej będą go mogli „doić“.

Płace za robociznę są tak niskie (około 20 groszy dziennie), że absolutnie nie wystarczają Hindusowi na życie. A są oni przecież tak mało wymagający pod względem jedzenia i odzieży.

Rok rocznie umiera tam z głodu dziesiątki tysięcy Hindusów. Ubywa zatem dużo rąk roboczych. A pomimo to, nędza szerzy się tam z zastraszającą szybkością. Rolnik najnieprodukcyjniej w świecie traci czas i zdrowie na to, co mógłby za małe stosunkowo pieniądze nabyć, chociażby do spółki z sąsiadem.

Kto żyw, idzie tam na zarobki: starcy, niedołężne staruszki, wiek średni i podlotki. W domach pozostają tylko dzieci pod opieką... małp, które są tam bardzo śmiałe, do tego stopnia, że nawet w obecności ludzi przychodzą do izb. Sekundują im w tem wieiórki.

Jeżeli do tego dodamy jeszcze dwie plagi tego kraju, jak psy-nietoperze i szakale, o czem wspomiałem już wyżej, będziemy mieli dokładny obraz, ilustrujący życie Hindusów, w ciągłej niepewności jutra i w ustawicznej nędzy.

Ciężko wprost o tem pisać, doprawdy. Człowiek, mający się za Europejczyka, patrząc na tę straszna nędzę Hindusów, czuje się jak gdyby współwinowajcą wyzyskiwania ich przez Anglików.

Mało jest o tem mówić. Krzyczeć trzeba. Wołać o pomstę.

Czyżby cała Europa i świat cały, były aż tak głuchy na cierpienia tego szlachetnego narodu, że nikt dotychczas sprawy tej nie poruszył?

Po drodze spotykaliśmy duże, murowane budynki-oberże, przeznaczone dla podróżników. Nie są przez nikogo zamieszkane i przez nikogo nie strzeżone. Podróżny znajdzie w nich wszystko, co mu jest niezbędne dla wypoczynku przed dalszą drogą. I nie tylko dla siebie, bo i o sile pociągowej, o zwierzętach, pomyślano tam również. Z tylnej strony budynku, w pewnej odległości od ściany domu, umieszczone są wykute w kamieniu żłoby do pojenia zwierząt, są również w pobliżu wygodne pomieszczenia dla nich i studnia dla trzody.

Całe podwórko, okalające dom, obsadzone jest gęsto drzewami, chroniącemi ludzi i zwierzęta od upałów.

Budowa tych oberż sięga conajmniej kilkuset lat wstecz, a zatem jest to dziełem Hindusów, a nie Europejczyków. Jakże się obniżyła, wobec tego, kultura tego kraju od owych czasów. Co wpłynęło na to? Czy nie kryje się przyczyna tego częściowo w najściu tam Europy?

Podjeżdżamy wreszcie do widniejącego w dali pałacu maharadży. Mijamy pięknie utrzymany kwiet-

nik, okolony okazałym murem. Za kwietnikiem wysiadamy z naszych Tango. Na spotkanie nam wychodzi stary Hindus w asyście dwóch jeszcze Hindusów, młodych i zgrabnych, jak posąg.

Pięknym gestem wskazuje schody i lekkim ukłonem zaprasza do wnętrza pałacu.

Wchodzimy.

Rezydencja ta, czasowo niezamieszкана przez jej właściciela i pozbawiona z tego powodu wszelkich ozdób, nadających ciepło i przytulność najszywniejszym pałacom, a zwłaszcza pozbawiona dywanów i makat, które na Wschodzie stanowią podstawową ozdobę mieszkań, czyniła wrażenie przewspaniałych dekoracyj raczej, niż domu mieszkalnego. Kamienne ściany i takież posadzka potęgowały jeszcze wrażenie tego chłodu i pustkowie, jakie się odczuwało przy wejściu do pałacu. W budowie swej przypominał on budowlę antyczne. Panującą wewnątrz ponurość ożywiały trochę promienie słoneczne, wdzierające się tu przez olbrzymie otwory w ścianach, które to otwory zastępowały okna.

Kroki nasze odbijały się donośnym echem po całym pałacu.

Tak przeszliśmy wszystkie komnaty, znużeni trochę temi wspaniałościami. Człowiek bowiem przyzwyczajony do pomieszczeń zwykłych, choćby i bardzo przestronnych, czuje się tu, jak zagubiony. Wciąż szuka wzrokiem jakiegoś mniejszego, przytulniejszego pokoju, gdzieby mógł odpocząć i uporządkować doznane przez się wrażenia.

Wyszliśmy wreszcie z tego labiryntu i stanęliśmy na tarasie, przeciwległym frontonowi pałacu.

Tego, cośmy naraz przed sobą ujrzeli, najsmielsza nasza fantazja nie mogła wyimaginować.

Pałac ten, jak to tu dopiero, z tarasu mogliśmy zauważyć, był zbudowany nad urwiskiem. Gdy się podjeżdżało od frontu, tych ukrytych dla przybysza niespodzianek, oczekujących nań z tylnej jego strony, nie można było się nawet domyśleć.

Oczom naszym przedstawił się teraz niezwykle wprost widok.

Przed tarasem rozciągała się piękna, pokryta bujną trawą, dolina. Z boków była zamknięta skrzydłami pałacu, co nadawało jej szczególny charakter i urok.

Za doliną, nawprost pałacu, widniało wzgórze, a na niem ruiny budowli, malowniczo odcinające się na tle zieleni, w promieniach zachodzącego już słońca.

Do stóp tarasu chyliły się kornie wierzchołki rosnących tuż, przed nim, drzew, a między innymi drzew tak zwanych wędrujących. Stojącym na tarasie, zasłaniały one nieco część doliny od strony pałacu, jak gdyby chroniąc coś zazdrośnie przed okiem przybysza. Ale to, cośmy już widzieli teraz, było tak piękne, tak wspaniałe, że zdawało się, iż nic równie pięknego zobaczyć tu nie możemy już więcej. Tymczasem, gdy na dany znak przewodnika-Hindusa zaczęliśmy schodzić ku dolinie, po mistrzowsko ułożonych między korzeniami drzew schodach ka-

miennych, ogólny widok zmieniał się jak w kalejdoskopie. Korony drzew, pomiędzy którymi szliśmy wdół, pozostawały za nami, w górze; nad nami, jeszcze wyżej — pałac, a przed naszymi oczami roztaczał się nowy, przewspaniały widok.

Dolina, widzana już przez nas częściowo z góry, wydała się nam obecnie czemś zupełnie nowem, w innym niż w górze oświetleniu, przy innym łamaniu się promieni słonecznych. Najwspanialszem zaś upiększeniem doliny było jezioro, któreśmy ujrzeli u swych stóp po zejściu z tarasu. Głęboka, ciemno-zielona oprawa, wznoszącego się wokoło amfiteatrem, trawnika, nadawała mu przedziwny urok, jakiegoś zakłętego, śpiącego jeziora i uwypuklała przez to piękno nie tylko jeziora, lecz i całego, niezwykłego wprost krajobrazu. W szmaragdowej jego toni odbijał się pałac, niebo i przeciwległe wzgórze wraz ze spoczywającymi na niem ruinami. Nieruchoma zaś tafla jeziora, była jak gdyby umyślnie rzuconem tu zwierciadłem, w którym miał się codziennie przeglądać pałac i lubować się swoim widokiem.

Po obu stronach jeziora stały małe, piękne świątynie, według objaśnień naszego przewodnika — mieszczące groby rodzinne maharadzy.

Całość, przy blasku zachodzącego już słońca, tworzyła widok z tysiąca i jednej bajek Szecherezady.

Patrząc na to dziwne skojarzenie piękna samej natury ze sztuką architektoniczną, podziwiałem ogromne poczucie artyzmu tych, co obrawszy to miejsce na swoją rezydencję, nie tylko że nie naruszyli w niczem bogactwa natury, lecz przeciwnie, jak gdyby ją nawet uzupełnili.

Gdy uprzytomniłem swoją tu obecność, poczułem się naraz jakoś nieswojo. Obecność nas, Europejczyków, w boskim tym zakątku, wydała mi się rażącym dysonansem w harmonijnej całości krajobrazu. Więcej nawet, bo sprofanowaniem piękna, jakie królowało tu wszechwładnie.

Spacerujący naokoło jeziora współtowarzysze moi, idący „gęsiego“ po dziewiczej murawie, wydali mi się operetkowemi postaciami z „Pięknej Heleny“, kroczącemi w dziwacznej „procesji“ na tle dekoracyj Parnasu. Tak nie pasowały one do tych wspaniałości, przeznaczonych chyba dla bogów tylko.

Przyglądałem się siedzącemu obok mnie Hindusowi, wpatrzonemu z zachwytem w roztaczający się przed nami widok. Byłem zdumiony. Należał on przecież do stałych tego pałacu mieszkańców. Całemi dniami napawał się tem pięknem; zdawałoby się zatem, że mógł już trochę zobojętnieć na te cuda. A jednak tak nie było. Gdy na migach chciałem wyrazić mu mój zachwyt dla oglądanego przeze mnie piękna, zrozumiał mnie wlot; wzniosłszy ręce w górę, wyrzekł, jak gdyby z religijną czcią dla natury: „hubas India, hubas India“, co oznaczało — piękne Indje.

Poczucie piękna natury i wielkie umiłowanie

swego kraju cechuje wszystkich Hindusów, od najprostszego i biedniejszego do najkulturalniejszego i najbardziej wykształconego.

Tego stosunku do natury nie wyczuwa się nigdzie w Europie, wśród ludu, nawet we Włoszech, gdzie zdawałoby się byłoby to tak naturalnem. Zachwycanie się pięknem natury pozostawia się tu zwiedzającym, cudzoziemcom. Przewodnicy europejscy mają najczęściej miny znudzone, obojętne na wszystko, z wyjątkiem „pour-boire'ów”. W Indjach zaś, prosty Hindus, swym cichym, bez słów zachwytem, zdolny jest uwagę najbardziej nawet zblazowanego Europejczyka zwrócić na bogactwo i piękno natury Indyj.

Na nieruchomej dotąd tafli śpiącego jeziora zakolysała się fala, jak gdyby od rzuconego z brzegu kamyka. Gdy chciałem zapytać Hindusa, co by to znaczyć miało, z głębi wód wyskoczył mały, czarny ptaszek i zatoczywszy w powietrzu koło, z chyżością jaskółki skrył się w gałęziach drzewa, obok którego siedziałem. Dla mnie było to dziwnem zjawiskiem. Widziane dotąd przeze mnie ptaki wodne nie siadały na drzewach. A ten ptak niczem się nie różnił od zwyczajnego ptaka. Obserwowałem go tedy w dalszym ciągu. Posiedziawszy krótką chwilę na drzewie, znowu jak strzała wzbil się nad jeziorem i z dużym rozpędem zanurzył się w głębie. Po pewnym czasie widziałem go ponownie wylatującego, a za chwilę siedzącego na gałęzi tegoż drzewa.

Sąsiad mój, zapytany o ptaka, powiedział mi, że jest to nadjeziorny ptak i dodał z uśmiechem, że jedyny to „rybak”, któremu wolno zajmować się połowem ryb w tem oto jeziorze. A ryb, jakoby jest tu dużo. Stanowią one oczywiście własność maharadży, mieszkającego w danej chwili w innej swej rezydencji.

W niespełną godzinę doczekałem się powrotu swoich współtowarzyszów. Wrócili, jak przystało na Europejczyków, z przedmiotem „wziętym na pamiątkę”. A właściwie jeden z nich, Rölich, Czech, trzymał ukrytą w kieszeni płaszcza statuetkę, „wziętą na pamiątkę” z jednej ze świątyń, o których wspomniałem wyżej. I jakżeż mogło być inaczej? Europejczyk nie może przejść obojętnie koło czegoś, co nie jest strzeżone. Weszło już niemal w zwyczaj, a przynajmniej w nałóg, obładowywanie się różnymi drobiazgami, braniami „na pamiątkę” zewsząd, co się tylko zwiedza ciekawego na świecie, a mówiąc trywjalnie, rozkradanie fragmentów cennych nieraz zabytków dawnych kultur. Otrzaskaliśmy się z tym wandalizmem do tego stopnia, że nie poczytuje się tego nawet za coś godnego potępienia.

Pomijam już to, że wzięty przez Rölicha posążek wyobrażał być może kogoś ze zmarłych członków rodziny maharadży, a zatem stanowił pamiątkę rodzinną tego, z czyjej gościnności korzystaliśmy w danej chwili, ale sam fakt, że posążek ów stał tu zapewne kilkaset lat i nikt z tybulców wziąć go nie śmiał, świadczy wymownie o ujemnych, niektórych cechach europejskiej kultury.

Wyraziłem Fölichowi z tego powodu moje oburzenie. Podtrzymali mnie w tem i współtowarzysze. W rezultacie, po dłuższym namyśle i acz bardzo niechętnie, przyrzekł nam odnieść posążek zpowrotem. Zaręczyć jednak nie mogę że słowo zostało dotrzymane.

Po skończonych oględzinach pałacu i całego otoczenia, pokrępiwszy się przywiezionym z sobą posiłkiem, przyrządzonym tu na miejscu przez towarzyszącego nam żołnierza Anglika, (który, jak się okazało, w cywilu był zawodowym kelnerem w barach londyńskich i chętnie zajął się odkorkowywaniem butelek i puszek z konserwami), wyruszyliśmy dalej. Pojechaliśmy mianowicie, zachęceni do tego przez przewodnika-Hindusa, oglądać ruiny świątyń, leżących również nad brzegiem jeziora, oddalonego od pałacu o jakie 7 klm.

I tu byliśmy zachwyceni pięknem, jakie ujrzeliśmy przed sobą. Jezioro, choć nie miało tak pięknego kształtu, jak tamte, przed pałacem, posiadało nie mały urok wszakże. A co najdziwniejsze, brzegi jeziora wyłożone były schodami marmurowymi. Zrobione one były zapewne ku wygodzie okolicznych mieszkańców, korzystających z rytualnych w niem kąpielei. Niemalą też wygodę mają z tych schodów kobiety, piorące na tym pięknym marmurze bieliznę. I dziwną wydała mi się rozrzutność tego narodu, idąca w parze z jego straszną nędzą.

Na leżącym opodal wzgórzu stały ruiny wyku-

tej z kamienia pięknej świątyni, ozdobionej licznymi posążkami, wyobrażającymi bożków.

W każdym pociągnięciu dęta zaniedbanego tego cacka wschodniej architektury, istnego poematu z ciężkiej bryły kamiennej, czuje się rękę prawdziwego artysty. Przedziwna forma świątyń, nigdzie poza Indjami nie spotykana, mimowoli przykuwa do siebie wzrok przechodnia i zniewała zastanowić się nad obecnym stanem zupełnego zaniedbania i jak gdyby lekceważenia tych zabytków starej i mocnej kultury.

Całość robi wrażenie opuszczonego cmentarzyska, z pięknymi niegdyś pomnikami, zmurszałemi obecnie. Marmurowe schody tylko nad jeziorem, mocno i trwale zbudowane, opierają się zniszczeniu.

Większa część podobnych świątyń, rozrzuconych po całych Indjach, znajduje się w podobnym, a nawet w gorszym stanie.

I nic jakoś nie słychać, aby powołani do tego badacze naukowci zabierali głos w sprawie konieczności konserwacji tych zabytków. Jak nic się też nie robi w kierunku, jeżeli nie rozwinięcia, to przynajmniej utrzymania w obecnym choćby stanie, przemysłu ludowego Indyj. A przecież kraj ten jest istną skarbnicą niewyczerpanych przebogatych motywów „najczystszege” Wschodu. Od bardzo dawna, wschodnie kobierce i makaty, najdelikatniejsze materiały jedwabne i szale oraz przeróżne utensylja domowego użytku zachwycały Europę swoim przedziwnym bogactwem barw i egzotyzyzmem. I dziś nie przestały

one być również piękne. Mogłyby i dziś jeszcze zadowolnić najwytworniejszy gust kulturalnego Europejczyka, poszukującego pewnego „stylu“ i „charakteru“ przy doborze przedmiotów do ozdobienia swego domu.

Anglicy inicjatywy w tym kierunku, rzecz jasna, nie dadzą. Nie leży to w ich interesie rozwijać przemysł ludowy w Indjach w uszczerbek fabrykom manchesterskim, zatrudniającym ludność angielską. Hindusi mogą sobie wymierać z głodu tysiącami; jest ich przecież koło 300 milionów. A z nimi może ginąć i ich kultura. To Anglii nie wzrusza. Grunt, to pieniądze, płynące do skarbu szerokim korytem z rozsprzedaży angielskich fabrykatów, rozchodzących się na całej kuli ziemskiej, jako towar niewątpliwie prima-gatunkowy.

Pałace i piękne wille przedstawicieli klas posiadających w Indjach (maharadzów, kupców i t. p.), które zachowały do pewnego stopnia dawny, wschodni charakter, są obecnie rzadkością. Przeważnie wnętrza tych rezydencji są potwornie zeszpecone przez różnego rodzaju wyroby największych fabryk angielskich i przez wątpliwej wartości artystycznej kopje jakichś obrazów, zamiast precudnych makat wschodnich.

Nie brak tam również i wyrobów ze znakiem „Made in Germany“.

Opuszczałem ten piękny zakątek pod bardzo przykrem wrażeniem. Kraj, który przez naturę wyposażony jest w nieprzebrane wprost bogactwa i dzięki temu, mówiąc bez przesady, mógłby się stać istnym rajem na ziemi; którego kultura niegdys, przed wiekami, uzupełniała niejako sobą piękno Indyj, — obecnie jest umierającym kolosem, tratowanym w dodatku przez mocnego i dobrze uzębionego brytana.

I kto wie, czy religijnie wymawiane przez Hindusów słowa zachwyty dla swego kraju: „Hubas India“, nie jest li tęsknotą do przeszłości Indyj, przeszłości, która znikła może bezpowrotnie, dzięki najściu na ten kraj Europy.

Ex oriente lux!

Jeżeli nie uznajemy dziś materialnej kultury dawnego Wschodu, to przypomnijmy sobie choćby tylko proroków samych, których dał właśnie Wschód. Ilość ich jest chyba wystarczająca, by uznać wysoką wartość duchową narodów Wschodu, a między innymi narodu hinduskiego, podnoszącego dziś, pełne pokory, a zarazem dumne czoło, dzięki potężnej sile nowego proroka, Gandhiego.

Doznane przeze mnie wrażenia, podczas ostatniej wycieczki, wywołały smutne refleksje na temat warunków, jakie się układają w tym dziwnym kraju.

Indje, dające przytułek w dżunglach i na całym obszarze kraju najrozmaitszym gatunkom egzotycznej fauny: całym stadom dzikich słońców, lampartów, wszelkiego rodzaju drapieżnym stworzeniom, zmijom

i różnorodnemu ptactwu, nie mogą wyżywić jednego tylko stworzenia, mianowicie — człowieka. Tylko człowiek, na urodzajnej tej ziemi, cierpi głód i nędzę. Choroby, wywołane nędzą, robią tam straszne spustoszenia. Śmierć zbiera obfite żniwo. Przeciętnej zamożności (a właściwie biedy) Hindus, nigdy nie je tyle, by zaspokoić swój głód. Według oficjalnych danych statystycznych, w Indjach wymiera z nędzy dziesiątki tysięcy osób rocznie. Każde następne pokolenie oddziedzicza coraz słabsze zdrowie po swych przodkach. Wydajność pracy przeciętnego robotnika-Hindusa (z powodu ogólnego wycieńczenia organizmu) w stosunku do wydajności przeciętnego robotnika w Europie, jest jak 1 do 3-ch.

W kraju, którego nieprzebrane bogactwa natury zwabiły w swoim czasie Europejczyków i który dotąd jest najpotworniej przez nich eksploatowany, gdzie fortuna jednego maharadży równa się zapewne bogactwu niewielkiego państewka powojennego, ludność jego wymiera stopniowo z głodu.

Przed kilkunastu jeszcze laty, Hindusi żyli jakotako, z zarobków przy rozległych posiadłościach bogatych maharadzów. Dziś zaś, gdy większość tych magnatów trwoni swoje olbrzymie fortuny na bruku paryskim, londyńskim, lub w Monte-Carlo, gdy wyrugowali oni ze swych pałaców wszystkie utensylja miejscowych wyrobów, zastąpiwszy je wyrobami fabrycznymi Anglii, Francji i Niemiec, przesypując tym sposobem swoje złoto do kieszeni Europejczyków, Hindusi zostali pozbawieni okruchów i z tego nawet źró-

dła. Nad ich straszną nędzą przechodzą do porządku zarówno eksploatujący ich Anglicy, jak i współrodacy, maharadzowie.

Na tle przebogatej natury Indyj, lśniącej wszystkimi barwami tęczy, jakże ciężkie wrażenie robi sylwetka wiecznie smutnego Hindusa, z niezmiennym, pełnym rezygnacji, uśmiechem na ustach!

IX.

Przygnębiająca bezczynność.

Po wszelkiego rodzaju atrakcjach, w rodzaju wycieczek do miasta lub w jego okolice, powrót do szarej rzeczywistości był jeszcze cięższym dla nas. Nie znajdujemy sobie miejsca. Bezczynność doprowadzała do rozpacz. W tym stanie, przesiadywanie we własnych podwórkach, przed celami, było męczarnią. Dusiliśmy się. Pragnęło się przestrzeni, a przede wszystkim jakiegoś ruchu, życia. Wydostawszy się poza drzwi, na otaczający nas plac, chociaż i widzieliśmy wdali budynki Office'u i mieliśmy przed sobą trochę przestrzeni, ale była ona ograniczona, gdyż od bocznych ścian naszego więzienia ciągnęło się właśnie ogrodzenie z drutu kolczastego, tworząc przed nami, opisany już wyżej, czworobok. Obejście więc więzienia naokoło, z tej strony, od frontu, było niemożliwym. A tamta właśnie strona, przeciwległa frontonowi budynku, nęciła nas bardzo. Był tam trakt, prowadzący

z okolic do Nowgongu i tamtędy przechodziły tłumy ludzi na targ do miasteczka i zpowrotem.

Na szczęście, cele nasze posiadały po jednym, małym okienku od strony traktu właśnie. Zaczęliśmy tedy używać tych okien zamiast drzwi i codnia siadywaliśmy teraz przed swymi oknami, zzewnątrz cel i przyglądaliśmy się przechodniom. Zdarzało się czasami widzieć i słoniów, prowadzonych z posiadłości okolicznych maharadzów. Wielkość niektórych z nich, była zadziwiająca. W żadnym z europejskich ogrodów zoologicznych nie widziałem podobnych.

Przed naszymi oczami przesuwają się zwołna tłumy Hindusów, w różnym wieku. Prawie wszyscy, bez względu na wiek i płeć trzymali na swych głowach jakieś kosze lub tłumoki, niosąc coś na targ lub wracając z zakupami do domu. Zadziwiali nas przytem starcy i staruszki, noszący ciężary narówni z młodymi, w wyciągniętej, jak struna, postawie. Być może, iż dzięki temu właśnie, zachowują oni do późnej starości elastyczność ruchów i wiotkość postaci. Starców zgarbionych, jak u nas, nie widziałem tam wcale.

Kobiety, według panującego tam zwyczaju, bodajby najbiedniejsze, posiadają bransolety na nogach, z różnych metalów: od najszlachetniejszych, do najpospolitszych. Kształtem przypominają one nieco obroże, ze ztercząciami na wszystkie strony obwódkami. Bransolety te darują im mężowie w dowód swych uczuć dla nich. Niektóre kobiety posiadają do

pięciu par. Większość jednakże ma po 2 — 3 pary. Noszą je nie zdejmując nigdy.

Hindusi, mijając nas starali się nie patrzeć w naszą stronę. Niektórzy zaś zauważywszy nas zdaleka, zrównawszy się, spluwali.

Nad wieczór, gdy ruch na trakcie ustawał, wracaliśmy do cel, tąż samą drogą oczywiście, mianowicie przez okna i wychodziliśmy już przez drzwi na podwórka.

Patrzyliśmy stąd w stronę Office'u, skąd zwykliśmy byli oczekiwać dobrych, czy złych dla nas wieści. Lub też wychodziliśmy nazewnątrz i spacerowaliśmy na placu wokoło ogrodzenia, w pobliżu Office'u.

Na jednym z takich spacerów, przechodząc dość blisko koło tego gmachu, zauważyliśmy siedzącego w celi (w tymże gmachu) Hindusa Makurełę, którego Czytelnik pamięta z pierwszego tomu niniejszych pamiętników.

Miał on złamane obie nogi podczas nieszczęśliwego z nim wypadku w drodze do Indyj, gdy jechał, wieziony razem z nami. Został on wtedy przygnieciony wozem, na którym jechał.

Za jakie przewiny więziono jeszcze tego nieszczęśliwca i teraz, nie dowiedzieliśmy się. Pozdrowiliśmy go tylko ukłonami i rzuciliśmy mu za kraty garść papierosów.

Od Fajermana dowiedzieliśmy się, że w naszej sprawie prowadzi się jakoby ożywiona korespondencja. I zapewne w związku z tem, byliśmy ponow-

nie indagowani przez nasze władze. Dopytywano się zwłaszcza o szczegóły naszego pobytu w Meszhedzie, gdzie odebrano nam pieniądze i różne posiadane przez nas rzeczy. Przyczem oświadczono, że wszystko, co nam zabrano otrzymamy zpowrotem.

I istotnie w krótkim czasie nadeszły, aczkolwiek nie wszystkie; część z nich albo zniszczono albo rozkradziono. Przy ich odbiorze na żądanie Coughtry'ego złożyliśmy wszyscy w Office oświadczenie na piśmie, co z zabranych nam w Meszhedzie rzeczy otrzymujemy, a czego jeszcze brak.

I z jego ust usłyszeliśmy ponowne zapewnienie, iż brakujące rzeczy, ewentualnie ich równowartość, jak również pieniądze otrzymamy bezwzględnie oraz iż oficerowie, którzy dopuścili się odebrania tych rzeczy będą surowo ukarani.

Tu, muszę zająć na chwilę uwagę Czytelnika moją osobistą przykrością, jaka mnie spotkała w końcu stycznia. Podczas pracy w ogrodzie stłukłem ostatnią parę binokli. Musiałem przerwać pisanie moich wspomnień, niestety. Notowałem już tylko ważniejsze wypadki, stenograficznie niemal, nie widząc nic prawie.

Przy odrobinie życzliwości ludzkiej można byłoby temu zaradzić. Mianowicie, Rölich posiadał zbywającą parę binokli, pasujących dobrze do mego wzroku. Nie zaproponował mi ich jednak. Przeciwnie, wiedząc o mojej stracie, głośno opowiadał kolegom o zbytecznej mu parze okularów, jak gdyby drażniąc mnie tem, celowo. Ja zaś, w ciągu tylu mie-

sięcy wspólnego pożycia ze współtowarzyszami, takem się był przyzwyczaił do nieuczynności niektórych z nich, że nie tylko żem się doń nie zwrócił o wypożyczenie binokli, alem musiał udawać jeszcze, że bez nich doskonale się obchodzę. Postanowiłem jednakże zwrócić się z tem do doktora. Doktor przyrzekł mi, że binokle sprowadzi. Uzbrowiwszy się tedy w cierpliwość, czekałem.

Zbliżała się wiosna. Okres ten w Indjach oczekiwany jest z wielką niecierpliwością i z pewnym niepokojem zarazem. W tym okresie, który Hindusi nazywają „momzun“, bywają straszne burze i ulewy, powodujące wylew rzek, a co za tem idzie i wielkie spustoszenia. Silny prąd niezliczonych potoków wyrwa z korzeniami stuletnie drzewa, unosi inwentarz i niszczy nieraz doszczętnie całe gospodarstwa. W tymże też czasie zjawia się duża ilość węzów i wogóle wszelkich gadów i padalców. Najwięcej pojawia się żmij, zwanych przez Hindusów „Tszinta-negu“, po polsku znanych pod nazwą „kobry“. Długość jej waha się między 104 — 181 cm. Kolor łuski jasnożółty. Zależnie jednak od oświetlenia, kolor ten przechodzi w szaro-niebieski.

Charakterystyczną cechą kobry jest to, że przy pionowej postawie górnej części ciała zdolna jest rozszerzyć swoją szyję do rozmiarów dużego kapelusza. Czyni to przy pomocy ośmiu górnych żeber, gdy czuje w pobliżu wroga. Głowę zaś trzyma poziomo. Wte-

dy, na tylnej stronie szyi uwypukła się rysunek, przypominający okulary. Oglądając kobrę w tej pozycji, zdala, ma się wrażenie, iż stworzenie to siedzi pod rondem dużego kapelusza i na oczach ma olbrzymie okulary. Łuska kobry od spodu, na brzuchu, ma kolor brudno-biały.

Ten rodzaj żmij znany jest w południowych Chinach, w całych Indjach, w Afganistanie, w niektórych okolicach Persji, aż do morza Kaspijskiego. W Himalajach znajdują ją na wysokości 2500 mtr.

Najchętniej zamieszkuje ona ruiny budowli, kupy kamieni i wszelkiego rodzaju zbiorowiska rupieci. Ukąszenie jej jest śmiertelne.

Największym i prawie niepokonanym wrogiem kobry w Indjach jest małe zwierzątko, „mungo“.

Miejsce na swe nory wybiera w zaroślach i przeważnie nad wodą, albo na plantacjach i w lasach; rzadziej wśród skał.

Nie bacząc na to, iż jest znacznie mniejsze od kobry (długość tułowia mungo sięga najwyżej 40—50 cm.), prawie zawsze wychodzi zwycięsko z walki z kobrą. Jego niezwykła zręczność odegrywa tu największą rolę. Pozatem dość szorstka sierść i bardzo gruba skóra służy mu niejako za pancerz przed możliwym ukąszeniem kobry.

Stworzenie to jest naogół dość łagodne, bardzo czyste i dające się łatwo oswoić. A nawet zdolne jest przywiązać się do swego pana, niczem pies.

Posiadając ogólne te wiadomości o kobrze i mungo, nie wiedzieliśmy wszakże jak należy zabezpie-

czyć się od kobry, na wypadek, gdyby pojawiły się w pobliżu naszego obozu. Zwróciliśmy się tedy do naszej władzy z prośbą o odnośną literaturę. Anglicy, nietylko, że odmówili nam w tej prośbie, ale nie pozwolili za własne nasze pieniądze nabyć jakiegokolwiek książki, traktującej o Indjach.

Z pewnym tedy strachem czekaliśmy zbliżającej się wiosny. Mnie niepokoiło zbliżenie się okresu ulew i burz z innego jeszcze powodu; bałem się o dojrzałe już zupełnie warzywa w mym ogrodzie. Poszedłem do „Office“ po informacje, co zamierzają zrobić z warzywami i upomniałem się jednocześnie o zapłatę za naszą pracę w ogrodzie, zgodnie z ich przyrzeczeniem. Ku memu zdziwieniu oznajmiono mi, że zapłaty żadnej nie otrzymamy; pozwalają nam natomiast spieniężać warzywa, na własną rękę. Niezmiernie przykra była moja sytuacja wobec „spólników“, Cebuli i trzech Węgrów, którzy w nadziei otrzymania obiecanej zapłaty, tak gorliwie pracowali ze mną. Ale cóż było robić? Snadź Anglików nie obowiązywało dotrzymanie słowa wobec bezbronnych jeńców! Musieliśmy się i z tem pogodzić.

Od czasu do czasu, zwiedzały nasz obóz żony oficerów angielskich. Na żadnej z twarzy tych „lady“ nie zauważyłem nigdy jakiegoś żywszego zainteresowania się naszym życiem. Dziwny chłód i obojętność cechowały wszystkie te panie. Odtwarzając w mej pamięci sylwetki kobiet polskich, wrażliwych bardzo na niedolę ludzką i porównywując je z Angielkami, obojętnie przyglądającemi się naszemu nieszczęściu,

jakże zyskiwały w tem porównaniu kobiety-Polki! Byłoby nie do pomyślenia przecież, aby Polki przechodziły koło jeńców jak głązy i mając możność ulżyć czemś ich ciężkiej doli, niczy nie uczyniły.

Z taką obojętnością przechodzą setki różnych „lady“ i koło strasznej nędzy Hindusów. Niektóre, mieszkając w Indjach od lat kilkunastu, opowiadają naprzykład z pewną dumą nawet, że w dzielnicach, zamieszkiwanych przez tubylczą ludność, nie były nigdy. Nietylko nie chcą zapoznać się bliżej z warunkami, w jakich Hindusi żyją, ale nie chcą nawet widzieć zbliska tej nędzy.

X.

Wymuszona deklaracja i pobyt w szpitalu.

Od pewnego czasu zauważyliśmy wzmożony ruch w budynku Office'u. Nie wiedzieliśmy co jest tego powodem, ale instynktownie wyczuwaliśmy w tem zapowiedź zmiany naszego losu. Coraz częściej zaczął odwiedzać nas Coughtry, odbywając jakieś tajemnicze rozmowy ze Smutnym.

Pewnego dnia za pośrednictwem Stumpa, najniespodziewaniej zażądał od nas złożenia wspólnej deklaracji na piśmie, iż jesteśmy jeńcami wojennymi. Po naradzeniu się, przyszlismy do przekonania, że takiego oświadczenia złożyć nie możemy, gdyż jeńcami wojennymi przecież nie jesteśmy.

Gdy przez delegata (był nim Stump) zakomunikowaliśmy mu naszą decyzję, zagroził natychmiast ponownem zakuciem nas w kajdany. Żądanie swoje powtórzył, dając nam parę godzin do namysłu. Ponowne nasze narady do niczego nie doprowadziły.

Najgroźniejsza bowiem postawa nas wszystkich nie dałaby nam w tym wypadku, zwycięstwa. Anglicy mieli dość siły, by nas istotnie nanowo zakuć w kajdany i zrobić następnie z nami wszystko, co się im tylko podobało. Nie pozostawało nic innego, jak poddać się i oświadczenie takie napisać. Co też i uczyniliśmy, aczkolwiek i wbrew swoim przekonaniom. Składając podpisy na owej deklaracji, każdy z nas pocieszał się tylko nadzieją, że ten papier umożliwi nam być może szybsze wydostanie się na wolność.

Wkrótce po złożeniu przez nas deklaracji oznajmiono nam, że będziemy wysłani niedługo do innego obozu, w Achmed - Nagarze.

Teraz dopiero zrozumieliśmy w jakim celu żądano od nas podpisania owej deklaracji. Przenoszono nas do obozu, gdzie byli jeńcy wojenni, a zatem musieliśmy tam figurować i my, jako tacyż.

Przeniesienie zaś nas do Achmed-Nagaru, położonego na południe Indyj było ze strony Anglików pewną ostrożnością, gdyż w okolicach Nowgongu rozpoczynały się wówczas rozruchy, o czem dowiedzieliśmy się oczywiście znacznie później.

5 marca powiedział mi Coughtry, że mnie wyślą do Władywostoku, skąd po załatwieniu pewnych formalności będę mógł wyruszyć do kraju.

Mówił to tak przekonywująco i na pozór tak szczerze, że uwierzyłem zupełnie w szczerść jego słów. Uwierzyłem, iż będę zwolniony. Korzystając ze sposobności poprosiłem Coughtry'ego o ofiarowanie

mi na pamiętkę pobytu w Indjach, kajdanów, w których byłem zakuty.

Coughtry, jak gdyby zaskoczony tą dziwną dla niego prośbą, długo się namyślał, poczem kazał żołnierzowi odszukać je. Nie było to tak prostem, ponieważ wszystkie kajdany przechowywano w składach, wśród różnych rupieci. Po godzinnem szukaniu mojem wspólnie z żołnierzem, wróciłem do celi z „upominkiem” Coughtry’ego.

7 marca Kermak zaproponował mi udać chorego i pójść do szpitala. Nie miał na myśli jakiegos, płynącego stąd, dobrodziejstwa dla mnie; bynajmniej. Chodziło o to, że ordynator szpitala, (Anglik), zamierzał wyjechać do Bombay’u. A wyjechać mógł tylko z określoną ilością wieszonych tam przez niego chorych. Na wakujące zatem miejsce chorego upatrzono mnie, jako zapewne starszego wiekiem, a zatem mogącego od biedy ująć za chorego. Chętnie przystałem na to, by choć w ten sposób urozmaicić sobie monotonię mego życia. Nie przypuszczałem jednakże, że pobyt w szpitalu będzie stokroć cięższym, niż w dotychczasowej celi. Brud tam panował okropny, poczynając od samego lokalu, kończąc na pościeli i bieżni. Chorzy nie mieli ani mydła, ani nawet umywalk. Mycie się chorych odbywało na podwórzu. Nic dziwnego, że w tych warunkach roiło się od much i komarów.

Był to raczej rozsądnik chorób, niż szpital.

Dozoru sanitarnego nie było żadnego. Uwijało

się tylko paru Hindusów, sprzątających pokoje. A sprząkanie, jak na zwyczaje szpitalne, było szczególnie; polegało ono na zamiataniu zwyczajnymi miotłami podłogi przy otwartych na przestrzał wszystkich oknach. Chorzy narażeni byli przytem na niemożliwe wprost przeciągi.

Jedynym naszym tam „opiekunem” i dozorcą oraz kucharzem w jednej osobie był Fajerman. Ponieważ przesiadywał on prawie całymi dniami w Oficy, więc i ta „opieka” równała się zeru. Kulinarne zaś jego zdolności były tego rodzaju, że przygotowana przezeń strawa mogła tylko zaszkodzić choremu.

Pod wieczór przychodził zwykle doktor (Anglik, o którym już wspominałem). Jeżeli zatrzymywał się na dłużej w sali, to tylko po to chyba, by zagrać ze mną w partję szachów. Grał przytem marnie, tak, że przegrałszy jedną partję, podążał do domu. Stan zdrowia chorych interesował go mało.

Opisane wyżej porządki, panujące w tym szpitalu, w którym przebywałem i informacje, podane przeze mnie wyżej, na str. 91 — 92, ze słów Tur-Murena o szpitalu, w którym on przebywał, dotyczą oczywiście szpitali dla jeńców tylko. Nie do pomyslenia, rzecz jasna, aby w podobnych warunkach leżeli chorzy Anglicy. Można być przekonanym, że szpitale na terenie Indyj, a przeznaczone dla Anglików, odpowiadają wszelkim nowoczesnym wymogom higieny i porządku.

Nie mogłem wytrzymać tam długo i już 10 marca na wieczór wypisałem się, nie wiedząc, że wychodzę

zeń chorym: komary obdarzyły mnie malarją. Na drugi dzień zaczęły się symptomy tej przykrew choroby, ale do tego osobliwego „domu zdrowia” wrócić nie chciałem; wolałem wyjechać z Nowgongu będąc chorym.

Czułem się bardzo źle; wysoka temperatura wyczerpywała mnie. Jak przez sen słyszałem straszny tumult w sąsiednich celach. Dowiedziałem się później, że pod poduszką Smutnego znaleziono kobrę. Że narobiła pono dużo strachu, ale na szczęście nic się nikomu nie stało. Możliwym jest, że było to nawet przywidzenie czyjeś. W każdym razie samopoczucie nas wszystkich po tym wypadku nie było do pozazdroszczenia.

Prawie przed samym naszym wyjazdem, otrzymałem sprowadzone mi przez lekarza, okulary. Obiecano mi dwie pary szkieł: słabsze i silniejsze (do czytania). Optyk, przez pomyłkę zapewne, przysłał tylko jedną parę i to właśnie słabszych szkieł, nie nadających się zupełnie do czytania i pisania. Przykrość to była dla mnie wielka, z uwagi zwłaszcza na zapowiedziany szybki nasz wyjazd. Dzięki jednakże uprzejmości w tym wypadku lekarza, który dał mi odpowiedni list do optyka w Bombay’u, (o zamianę tych na inne), pocieszałem się tem, że będę mógł na miejscu dobrać sobie szkła odpowiednie do mego wzroku.

XI.

Zamach na mój dziennik.

O tem, że ja piszę mój dziennik wiedzieli wszyscy. Robić tego w tajemnicy nie mogłem przecież w żaden sposób. A zatem, wiedzieli nie tylko współtowarzysze, ale i pilnująca nas straż, najbliższa nasza władza — sierżanci, no i oczywiście musiały o tem wiedzieć od Kermaka władze angielskie. Donosił im przecież o najbliższych wypadkach na terenie obozu.

Nie wiedziałem jednak w jakim stopniu władze angielskie tem się interesują i czy przywiązują jaką wagę do moich notatek, a tem bardziej nie przypuszczałem, iż mogą knuć na nie „zamach” i to w podstępny sposób.

Chowałem je wprawdzie od niepożądanych rąk i oczu bardzo starannie, tak, iż bez obawy poddałbym się rewizji, u siebie w celi. Pragnąłem bowiem uchronić je za wszelką cenę, na wieczną pamiątkę mego pobytu w rękach Anglików, aczkolwiek i nie

byłem pewny swojego tam jutra. Iskierka nadziei uratowania się, którą ludzi się każdy człowiek w najgorszych sytuacjach, podtrzymywała we mnie pragnienie ocalenia tych niemych świadków mych cierpień.

W przeddzień zapowiedzianego naszego wyjazdu musiałem powyciągać je z różnych kryjówek celi i zebrać razem, by ukryć znowu bezpiecznie w pakowanych przed wyruszeniem w drogę nielicznych mych tłomoczkach.

Nie zważając tedy na wysoką temperaturę i duże osłabienie, (z powodu męczącej mnie malarji), wstałem z łóżka i slaniając się na odmawiających mi posłuszeństwa nogach, zabrałem się do tej właśnie czynności.

Zebrawszy wreszcie wszystkie notatki, rozłożyłem je na stole i stojąc nad nimi, obmyślałem sposób bezpieczniejszego ukrycia ich przed drogą.

Wtem, znienacka otwierają się drzwi i na progu ukazuje się postać Kermaka, jak gdyby czatującego na ten właśnie moment.

Nie podejrzewając go jednakże o jakieś złe zamiary, przywitałem go jak zwykle i zabrałem się do grupowania notatek. Naraz, Kermak szybkim skokiem zbliżył się do stołu, położył rękę na plice notatek i wykrzywiwszy usta w złośliwy uśmiešek powiedział: „a teraz my będziemy to czytać”.

Krew uderzyła mi do głowy. Rzuciłem się, aby uniemożliwić mu schwycenie notatek. Odepchnął



Ryc. 1.
Grupa jeńców w Nowgongu.
Od lewej strony: Stump, Wagner, Poznańczyk X., Tur-Muren, Smutny i Schmidt;
siedzą u nog officerów: Rölich i Zeltin.
Officerowie angielscy: Coughtry (kpt.) i Harding (pułk.). (Do str. 131).

mnie brutalnie, uderzywszy przytem w pierś tak, iż potoczyłem się do ściany. On tymczasem sięgnął po rewolwer. Zanim zdążyłem podnieść się, ochłonać nieco i zorientować się, co mam czynić, Kermak schwycił ze stołu notatki i pobiegł z niemi do Office'u.

Ja, odzyskawszy naraz siły, zapewne na skutek podniecenia, wybiegłem z celi i jak tylko mogłem najszybciej podążyłem za nim, nie zastanawiając się zupełnie jakie skutki pociągnie za sobą moje wyjście bez pozwolenia poza obręb ogrodzenia.

Wpadłem do Office w chwili, kiedy Kermak kładł papiery na stole przed siedzącym tuż Coughtry'm.

Stałem przed Coughtry'm oko w oko.

Nie panując już nad sobą, podniesionym nieco głosem zapytałem go na jakiej zasadzie Kermak odebrał mi moje notatki, w dodatku w tak brutalny i niewłaściwy sposób? Czy uczynił to na jego zlecenie? Coughtry czas jakiś milczał. Wreszcie, wziąwszy leżące przed nim notatki, wręczył mi je ze słowami: „niech się pan uspokoi, proszę, zwracam je panu“.

Stojący opodal Kermak zbladł i burknął pod nosem jakieś przekleństwo.

Nie wiem, co wpłynęło na taką decyzję Coughtry'ego. Być może moje słuszne oburzenie przekonało go, iż popelnia bezprawie, a może i mój wygląd ówczesny, wzburzonego do najwyższego stopnia, gotowego wówczas na wszystko, przeraził go nieco.

Pozatem, znajdowałem się przecież w ich władzy

absolutnie. I dopóki tak było, mógł on być spokojnym, że notatki nie ujdą ich rąk w żadnym wypadku.

Dość, że do celi swojej wróciłem tryumfalnie niosąc najdroższy mi w tym czasie skarb, mój dziennik, który był mi najwierniejszym przyjacielem i powiernikiem, wtedy.

Przygotowując się do drogi, zdwoiłem moją ostrożność przy ukrywaniu notatek. Jak się potem okazało, czyniłem to nie napróżno, bo w drodze, zatrzymano nas w polu i jacyś dwaj sierżanci, których przedtem nie znałem, najdokładniej przetrzęśli moje zawiniątka. Na szczęście wszystkie notatki przezornie miałem pozaszywane w ubraniu i obuwiu i dla tego w tłumokach nie znaleźli nic. Na osobistą zaś rewizję nie pozwoliłem, gdyż nie posiadali oni na to specjalnego upoważnienia władz.

Tym sposobem notatki uratowałem.

Ostatni epizod, który mi utkwiał w pamięci, z pobytu w Nowgongu, było nasze pożegnanie z sierżantem, Anglikiem. Obchodził on każdego z nas, natarczywie dopraszając się upominku. Kilkakrotnie przychodził i zanudzał literalnie swem stereotypowym „giw souvenir“. Tym sposobem wyłudził on od każdego z nas dużo dość wartościowych upominków. Śród nich nie brakło pierścionków i innych kosztowniejszych przedmiotów, no i oczywiście trochę gotówki. Nie sposób było odczepić się od tego natrętnego i bezczelnego łapownika, którego nazwisko niech będzie tu uwiecznione. Nazywał się Tommi.

Przed samym wyjazdem, na pożegnanie udało się nam wyjednać zgodę dwóch oficerów angielskich, Coughtry'ego i pułkownika Hardinga, sfotografowania się razem z całą naszą grupą. Uczyniliśmy to w tym celu, by mieć jakiś niezbity dowód naszego pobytu w Indjach, pod ich właśnie opieką. A zarazem w ich na to zgodzie chcieliśmy się dopatrzeć prawdziwości ich zapewnień, iż istotnie zamierzają nas uwolnić i umożliwić powrót do ojczyzny. (W pokryciu kosztów fotografii oficerowie udziału nie brali).

XII.

W drodze do Achmed-Nagaru.

13 marca o godz. 6 po poł. wyruszyliśmy z Nowgongu. Ośmiu z nas, między innymi i mnie, umieszczono na wozach. Reszta szła na piechotę. Na wozie obok mnie usadowił się Coughtry.

Od chwili, gdy dowiedziałem się, iż wyślą nas z Nowgongu, cieszyłem się bardzo. Z radością snułem projekty na przyszłość, przypuszczając, że zmiana miejsca naszego pobytu przyniesie nam i zmianę naszego losu. Pośpiesznie pakowałem swe rzeczy, byle prędzej wyruszyć w nieznaną mi drogę. Gdy tymczasem znalazłem się na wozie, uczułem pewien lęk przed nieznanem, co mnie czekało w najbliższej przyszłości. Czułem jednocześnie, że Nowgong opuszczam z prawdziwym żalem, pomimo doznanych tu udręczeń. Ze wzruszeniem żegnałem teraz wzrokiem otoczony drutem plac i nasze więzienie, gdzie, jak mówi poeta „częstkę swej duszy zostawiłem”.

Dziwna natura ludzka!

Gdy minęliśmy miasto, Coughtry zszedł z wozu i jak przystało na sportowca, szedł na czele całej naszej kolumny.

Jechaliśmy tą samą drogą, którąśmy już znali z naszej w tę stronę wędrówki, z Halparkuru do Nowgongu.

O godz. 10 byliśmy już w Halparkurze. Rozlokowano nas w wagonach i ruszyliśmy w drogę.

Jechaliśmy na południo-wschód, (jak to mogłem określić o świcie następnego dnia).

Nie odrywając oczu od okien wagonu, wpatrywałem się w migające przed oczami gęste zarośla dżungli, którą pociąg nasz przebiegał właśnie. Tor, na całej przestrzeni ogrodzony był drutem kolczastym, bardzo gęsto, dla uniemożliwienia zwierzętom podchodzenia na bliską odległość do pociągu. Nie zauważyłem przytem nigdzie przerwanego drutu, a więc zwierzęta, albo nie odważają się przeskakiwać wcale, albo też silniejsze i zręczniejsze z nich, przeskakują bez uszkodzenia drutu.

Ciekawem było obserwowanie niektórych zwierząt, jak nprz. tygrysów i lampartów, uciekających od zbliżającego się pociągu, zupełnie tak, jak to czynią u nas zające i sarny. Niektóre z nich bardzo niechętnie i leniwie nawet uciekały. Być może, jadący pociągiem rzucali niekiedy jakieś ochłapy jedzenia i zwierzęta te czekały teraz na to.

Mijane przez nas stacje odznaczały się czystością i schludnością. Nie widziało się przytem na żad-

nej z nich wałęsających się gapiów, których się widzi u nas na wszystkich dworcach, dużych i małych i o każdej porze dnia i nawet nocy.

Obsługi stacyjnej też się nie widziało. Na spotkanie pociągu wychodził tylko jeden człowiek, zapewne dyżurny zawiadowca.

Na jednej ze stacyj zatrzymaliśmy się na trochę dłużej, niż zwykle. Przyglądając się tej stacyjce, zauważyłem w pobliżu dość ciekawą robotę. Doprowadzano do porządku podwóreczko jednej z nowowybudowanych jakichś budek stacyjnych.

Trzeba było wyrównać ziemię i nanosić jeszcze pewną jej ilość, by wygładzić nierówności gruntu i następnie utrambować t. zn. ubić ziemię. Tę pracę wykonywało 10-ciu robotników (w tej liczbie i dzieci) w następujący sposób: w maleńkich tacach, wielkości zwykłych talerzy, nosili oni ziemię do tego podwórka z pewnej nieznacznej wprawdzie odległości i rzucali ją następnie tam, gdzie nierówność gruntu tego wymagała. Trambowanie zaś samo odbywało się przy pomocy trzymanej w ręku cełły.

Zrazu myślałem, że to dzieci urządziły sobie taką zabawę, (bo jak powiedziałem, między robotnikami były i dzieci). Chciałem już podziwiać wynalazczość dzieci hinduskich, gdy wtem ujrzałem stojącego tuż przy nich Anglika z trzcina w ręku (a jakże), który z olimpijskim spokojem przyglądał się tej „robotocie”, jako że był postawiony tu do pilnowania „darmozjadów”, jak nazywają robotników-Hindusów Anglicy.

I tak, robota ta, która mogłaby być wykonana w ciągu jednego dnia przez jednego robotnika, (gdyby oczywiście zaopatrzyć go w taczkę i inne niezbędne do tej pracy narzędzia), trwa kilka dni, przy udziale 10 ludzi i nie jest i nie może by wykonana tak dokładnie, jak przy pomocy koniecznych do tego narzędzi.

I jakże można wobec tego wierzyć opinii Anglików, co do niezdolności, czy lenistwa Hindusów, a zwłaszcza małej wydajności ich pracy? W tych warunkach o określeniu wydajności pracy mowy być nie może. A nie zapominajmy, że Hindus-najmita, czy to na roli, czy w fabryce, pracuje od wschodu do zachodu słońca, z godzinną przerwą na spożycie pokarmu, zarabiając przeciętnie 20 — 30 centimów dziennie. Tylogodzinna praca w ciągu dnia wyczerpałaby chyba i wołu.

Nikt tu nie zadaje sobie trudu, by zaznajomić Hindusa z techniką pracy i z nowoczesnymi narzędziami do jej wykonania.

Częściowo dzieje się to dla tego, że Anglik uważa za uchybienie swojej godności pracować fizycznie w swych kolonjach, wobec niższej od siebie rasy, (jak to on uważa). Przedstawicielom zaś innych narodowości wstęp do Indyj dla osiedlenia się na stałe jest wzbroniony. A pozatem, podnoszenie kultury tego narodu, a co za tem idzie i podnoszenie jego dobrobytu, nie leży bynajmniej w interesie Wielk Brytanji.

Tolerując natomiast taką właśnie bezmyślną i nieprodukcyjną pracę wśród tubylczej ludności,

przyzwyczajają się ją do tego systemu, jako koniecznego zła, które wygłodzona ludność znośić musi, a jej wyczerpanie fizyczne jest do pewnego stopnia gwarancją dla władzy angielskiej, że do powszechnego buntu przeciwko nim nie dojdzie, przynajmniej narazie.

Dla charakterystyki panujących tam stosunków, nie od rzeczy będzie przytoczyć jeszcze jeden drobny szczegół.

Mieszkający w pięknej willi Anglik (niekoniecznie zaraz jakiś dygnitarz kolonialny), którego rodzina składa się choćby tylko z dwóch osób, posiada służby nie mniej 12 ludzi. Jeden do noszenia wody czystej, drugi do wylewania brudnej; trzeci do noszenia dajmy na to węgla, czwarty — do wyrzucania popiołu; piąty do karmienia konia, szósty — do jego czyszczenia i t. d. Pełniącemu jakąkolwiek czynność, zgóry określoną przez jego pana, nie wolno jest zajmować się czem innym.

Może to się wydać w naszych stosunkach dziwnem, a nawet śmiesznem, ale tak tam jest niestety.

W niektórych takich domach angielskich pracuje cała rodzina Hindusa, od świtu do późnej nocy i z zarobionych pieniędzy nie jest w stanie wyżywić się. Bo przecież nie jest żywiony na miejscu, gdyż potraw, używanych przez Europejczyków nie jadają Hindusi. A więc zapłatę za jego pracę otrzymuje w gotówce i z tego dopiero musi opędzić wszystkie swoje i swojej rodziny potrzeby.

A obojętność Anglików dla nędzy i cierpień tej ludności wogóle jest zadziwiająca.

Bardzo często, koło pięknej willi dygnitarzy kolonialnych widzi się więzienie, w którym odsiadują karę za różne przewinienia Hindusi. To (zdawałoby się niemiłe) sąsiedztwo nie psuje bynajmniej nastroju i humorów mieszkańcom i gościom willi. Najspokojniej grają w tenisa czy krokieta, pod oknami więzienia niemal i popijają tuż herbatę ze smacznym keksem. Wesołe rozmowy i śmiech rozbrzmiewają wokoło i drażnią uszy siedzących za kratami Hindusów.

Na jednej z następnych stacyj, gdzie pociąg nasz zatrzymał się na kilkanaście minut, wyszedłem na peron i zbliżyłem się do spacerującego tuż Coughtr'ego. Uderzyła mnie nadzwyczajna uprzejmość, z jaką zaczął ze mną rozmawiać. Powiedział między innymi, że odsyłają już nas wszystkich do domu, jako repatriantów i że pojedziemy prawdopodobnie przez Władystok, a to z tego powodu, że nie mają oni dostatecznej ilości okrętów, by odesłać nas bliższą drogą, morzem. Zaznaczył przytem, że uczynili oni wszystko, by odnośne konsulaty zaopiekowały się nami i zaopatrzyły we wszystko, co będzie niezbędne dla nas na drogę. Że narazie jedziemy do wielkiego obozu, gdzie jakiś czas będziemy musieli poczekać na pierwszą możliwość wysłania nas okrętem dalej.

Mówił to tak przekonywująco i na pozór tak szczerze, że znowu uwierzyłem wszystkiemu, co mówił. Otucha nanowo wstąpiła we mnie, że teraz, to już wszystko ułoży się jak najpomyślniej.

16 marca wieczorem przybyliśmy do Achmed-Nagaru. Wyprowadzono nas z wagonów, ustawiono w szeregi i otoczeni zostaliśmy przez wartę. Poprowadzono następnie jakimiś alejami w stronę widniejących w oddali koszar.

Przed koszarami znowu ustawiono nas w rząd i kazano czekać. Staliśmy tak dość długo. Sposób obchodzenia się z nami warty, składającej się z nieznanym nam przedtem żołnierzy, nie wróżył zmiany na lepsze. Przeciwnie, brutalność niektórych z żołnierzy napawała nas strachem, co nas mogło czekać w tych warunkach.

W pewnej od nas odległości stała grupa oficerów angielskich, a między nimi i Coughtry i o czemś żywo rozmawiali. Spoglądali przytęm w stronę jakiegoś budynku, jak gdyby oczekując na kogoś.

Wkrótce wyszedł stamtąd oficer w czerwonym mundurze i szybkim krokiem począł zbliżać się ku nam, mówiąc coś do siebie i gestykułując.

Widać było, że się spóźnił i że właśnie czekano na niego, bo oto stojący z oficerami pułkownik przywołał go do siebie i coś mu tam „basował“.

Niezadowolone swoje z powodu otrzymanej wypowiedzi oficer ten skrupił na nas. Ochryplym od krzyku głosem zaczął pośpiesznie wydawać jakieś rozkazy konwojującym nas sierżantom. Ci, w oka mgnieniu zwrócili się z takimże krzykiem do nas i trzymanymi w rękach trzcinami dopomagali sobie dzielić nas na odpowiednie grupy i następnie podzielonych już na nie, popędzając, niczem bydło, gnali szybkim mar-

szem do koszar; każdą grupę w inną stronę. Z takim pośpiechem wszystko to się odbywało, że czy z powodu zmęczenia drogą, czy ze strachu, niektórzy z nas nie mogli utrzymać w mdlejących rękach niesionych tłumoków. Wtedy sierżanci puszczali w ruch swe trzciny, albo mocnymi szturchańcami zmuszali do „trzymania się szeregu“. Dostałem i ja kilka szturchańców przy pomocy kija. Wiek nie miał tu żadnych względów.

Zatrzymano nas wreszcie koło jakiegoś składu. Tu wydano nam wypchane słomą sienniki i ruszyliśmy dalej. Teraz zauważyłem dopiero z kim ze współtowarzyszów idziemy; był nim Kulijew.

Pomimo dodania nam do naszego bagażu jeszcze i siennika, pędzono nas także szybko, jak i przedtem i nie pozwalano nawet poprawić na plecach niesionych tłumoków, by ulżyć sobie nieco w ciągnięciu tego ciężaru. Zacisnąwszy zęby, resztkami sił trzymałem swe pakunki i siennik, by nie upaść i nie być znieważonym przez żołdaka angielskiego.

Jakaż ironją brzębiały mi teraz w uszach zapewnienia Coughtry'ego, że „jedziemy do domu“. To, co nas spotkało tu, nie zapowiadało bynajmniej szybkiego uwolnienia.

XIII.

Obóz w Achmed-Nagarze.

Przed barakiem, do którego zbliżaliśmy się, padła komenda „stop”. Nareszcie. Kazano nam wejść do baraku i wskazano dwa, stojące obok siebie łóżka.

Natychmiast zostaliśmy otoczeni gromadą ludzi; cisnących się do nas, aby przyjrzeć się nowoprzybyłym towarzyszom. Od nich też dowiedzieliśmy się, że znajdujemy się w dużym obozie koncentracyjnym w Achmed-Nagarze. Istniał on od początku wielkiej wojny i był przeznaczony głównie dla Niemców, przeważnie jeńców cywilnych, pozabieranych z różnych kolonij angielskich, jak również i połapanych na okrętach przypadkowych pasażerów tychże.

Po doznanych tego dnia wrażeniach i wyczerpani zupełnie, zasnęliśmy z Kulijewym mocnym snem tej pamiętnej nocy.

Rozproszoną naszą grupę, przybyłą z Nowgongu, zebrano na drugi dzień po przybyciu i poprowa-

dzono do Office'u. Przed frontonem gmachu ustawiono nas w szeregi i pozostawiono tak na jakie dwie godziny. A było to w godzinach południowych. Upał był straszny. Kapaliśmy się literalnie we własnym pocie, ściekającym z nas całymi strumieniami. Ale nie było rady; musieliśmy czekać na przyście komendanta obozu (tego w czerwonym uniformie), który, swoim zwyczajem, spóźnił się i dziś.

Jak dowiedzieliśmy się później, był to Czech, nazwiskiem Botril (czy Botryl). Zrozumieliśmy wówczas dla czego tak się różnił od oficerów angielskich, spokojnych a nawet flegmatycznych, swoją rażącą gestykulacją i swoim niepomowaniem względem jeńców.

Ustawieni tak, w dwa szeregi, musieliśmy stać i czekać. Niewolno było wychodzić z szeregu pod żadnym pozorem. Niewolno było i palić, ani też usiąść, by choć trochę odpocząć.

Po parugodzinnem staniu doczekaliśmy się wreszcie „groźnego” komendanta, który zarządził tę rewję poto chyba tylko, aby obejrzeć nas przy świetle dziennem, ponieważ po przybyciu z Nowgongu przyjmował naszą grupę wieczorem.

Przeszedłszy wzdłuż obu szeregów i zapytawszy, gdzie stoją Rosjanie, gdzie Niemcy i gdzie Węgrzy, dał rozkaz rozejść się.

Tu powtórzyła się wczorajsza brutalność. Ci sami sierżanci popędzali nas znowu trzcinaми w stronę baraków.

Rezultatem tej rewji było przeniesienie do lep-

szego obozu pięciu Rosjan oraz Łotysza Zeltina i Smutnego, jako uprzywilejowanych. Reszta pozostała na miejscu.

Tegoż dnia nastąpiło wzajemne zaznajamianie się z nowymi współtowarzyszami.

Jak się okazało, w obozie było około 1000 osób. Przeważał element inteligencki; dużo osób posiadało akademickie wykształcenie. Ale niemało było i rzemieślników różnego rodzaju.

Z uwagi na osobliwy charakter wewnętrznego życia tego obozu, oraz stosunek do jeńców tegoż, władz angielskich, pozwolę sobie nieco dłużej zatrzymać uwagę Czytelnika na jego opisie, aczkolwiek nie miało to bezpośredniego związku ze sprawą, o której zobrazowanie chodziło mi w niniejszej książce.

Przyglądając się w ciągu miesięcznego tam pobytu mego panującej w obozie wzorowej organizacji i porządkowi, byłem wprost zdumiony.

Na każdym kroku odczuwało się niewidzialną rękę, która tu wszystkim kierowała. A co najdziwniejsza, nie widziało się zupełnie prawie Anglików. Wszystkimi rządzili Niemcy. I dzięki ich właśnie zdolnościom organizacyjnym panował tu ten wyjątkowy ład i porządek, zaprowadzony przez nich, a przestrzegany przez wszystkich, bez wyjątku.

Dozór nad każdym poszczególnym barakiem (mieszczącym w sobie około stu ludzi) należał do wybranych z pośród grona jeńców danego baraku

ł. zw. starszych, których zarządzenia ściśle przestrzegali wszyscy jeńcy, a nawet bardzo się z nimi liczyli także i sierżanci angielscy.

Darżono ich absolutnem zaufaniem i szacunkiem. Ale należy oddać im sprawiedliwość: zasługiwali na to pod każdym względem. Ich zarządzenia obmyślane były w najdrobniejszych szczegółach, by ułatwić współżycie sprzęgniętych ze sobą ludzi różnej kultury i rozmaitych środowisk.

Na pierwszym miejscu należy postawić organizację działu aprowizacyjnego. A więc: władze angielskie dawały racje żywnościowe w surowych produktach. Ponieważ ilość tych produktów nie była w zasadzie wystarczającą, dokupowywano ze wspólnej na ten cel kasy, brakujące jeszcze artykuły, na rynku. Drogą przymusowych składek i dobrowolnych ofiar zamożniejszych jeńców utworzono coś w rodzaju zapasowego kapitału na bieżące potrzeby, pozwalającego na pewne nawet rzeczy zbyt kosztowne w warunkach obozowego życia.

Kucharze byli płatni i rekrutowali się z tychże jeńców.

Kuchnie były trzech kategorii, a właściwie klas: I, II i III. W kuchni I wydawano obiady luksusowe, w II bardzo dobre, dla ludzi mniej zamożnych i w III zwyczajne, koszarowe, za dopłatą wszakże dwóch rupij miesięcznie, gdyż były one jednak lepsze od obiadów z kuchni koszar angielskich.

Nie od rzeczy tu będzie zaznaczyć, że i niemiec-

ki Czerwony Krzyż rozciągał swą opiekę nad tym obozem i nie szczędził pomocy materialnej na dożywianie tych jeńców, którzy płacić nie mogli.

Po przyjeździe do Achmed-Nagaru ja nie miałem już ani grosza. Martwiłem się tem trochę, gdyż nie wiedziałem, co będę musiał uczynić, żeby korzystać jednak z obiadów, bez pomocy niemieckiego Czerwonego Krzyża, której przyjmowanie nie uważałem dla siebie za możliwe.

Gdy tak rozmyślałem, podszedł do mnie „starszy” naszego baraku i w najuprzejmiejszy sposób oznajmił mi, że za najskromniejszy obiad dopłaca się 2 rupji miesięcznie, za lepszy tyle to, za luksusowy tyle to i zapytał mnie, jakie obiady życzyłbym sobie. Przedstawiłem mu mój stan finansowy, zaznaczając, iż jako Polak nie będę korzystał z pomocy niemieckiego Czerwonego Krzyża i prosiłem o znalezienie jakiegoś wyjścia dla mnie. Po dłuższem naradzeniu się, postanowiliśmy, iż najlepszem wyjściem z tego będzie jeżeli jakakolwiek moją pracą ureguluję należność za obiady. A więc pracą przedewszystkiem w kuchni, obieraniem kartofli na przykład. Stało się więc na tem, że dwa razy tygodniowo będę obierał kartofle. Praca ta w ciągu miesiąca, według najściślejzego obliczenia, równała się sumie dwóch rupij.

Odtąd, dwa razy na tydzień, o ściśle określonej godzinie z rana, zjawiał się w naszym baraku wysłaniec kucharza i stojąc na progu baraku wołał tubalnym głosem: „herr Schmidt, kartofel schellen”. (Ta moja praca w kuchni nie trwała zbyt długo; znaleźli

się w tym obozie rodacy, którzy złożyli się za mnie i uwolnili od tego zajęcia).

Jak zaznaczyłem wyżej, wśród jeńców było dość dużo rzemieślników wszelkiego rodzaju. Byli wśród nich i tacy, którzy posiadali znacznie większe fundusze. Ci więc, nie tracąc tu po próżnicy czasu, zakładali własne przedsiębiorstwa. A więc była wędliniarnia, piekarnia, (wyrabiająca nawet i ciastka) i kawiarnia, które to instytucje dla braku odpowiednich lokali były przedsiębiorstwami wędrującymi, to znaczy: o ściśle określonych godzinach wchodziły „przedstawiciele” danych „przedsiębiorstw”, lub sami „przedsiębiorcy” i zachęcali do kupna ich wyrobów. Niektórzy z nich zwłaszcza czynili to w tak pomysłowy i dowcipny sposób, że niepodobna było oprzeć się pokusie i nie kupić czegoś z zachwalanych smakołyków. (Nieposiadającym gotówki udzielano kredytu). Roznosiciel kawy, której aromat punktualnie o godzinie 5 po południu mile łechtał nasze powonienie, odznaczał się ogromnym wzrostem i atletyczną budową. Potężnym głosem, zbliżonym do dźwięku syreny fabrycznej, krzyczał „heu, heu”, co miało oznaczać przyniesienie kawy. Wyrzucane z jego piersi dźwięki przelatywały po całym baraku niczem trąba powietrzna. Gdyby tam były muślinowe firanki, toby napewno fruwały, jak poruszane wiatrem.

Roznosiciel ten był bardzo lubiany i z niecierpliwością wyczekiwany.

Inni znowu rzemieślnicy, sprowadziwszy sobie niezbędne narzędzia do pracy oraz materiały, praco-

wali, każdy w swoim fachu, w pojedynkę, lub tworząc odpowiednie grupy różnych zawodów.

Intensywna, a nawet powiedziałbym gorączkowa praca wrzała w każdym kącie każdego baraku. Nie widziałem tam ludzi znudzonych, wałęsających się, próżniaków. Każdy z jeńców był czemś zajęty, od rana do późnego wieczora.

Ludzie pracujący umysłowo, o ile ich fach mógł mieć zastosowanie w warunkach obozowych, jak na przykład: lekarze, nauczyciele, muzycy i t. p. pracowali w miarę możliwości w swym zawodzie, resztę wolnego czasu poświęcając dalszemu samokształceniu się. Ci zaś z inteligentów, jak na przykład: prawnicy, inżynierowie i t. p. zajmowali się przeważnie literaturą, tłumacząc różne dzieła z jednego języka na drugi, lub udzielając sobie nawzajem lekcyj jakiegoś obcego języka. A wielu z nich uczyło się nawet jakiegoś fachu u kolegów-jeńców, rzemieślników, by zapełnić sobie dzień dodatkową pracą, albo też oddając się temu z zamiłowania.

Jak już wspomniałem wyżej, każdy barak był zajęty przez mniej więcej sto osób i składał się z jednej dużej sali. Praca tedy „lokatorów” takiego baraku, z których każdy zajmował się przeważnie czem innym, byłaby bardzo utrudnioną, gdyby nie pomysłowość Niemców i w tym wypadku. Mianowicie: porobili oni drewniane składane przegrody, tworząc w dzień prowizoryczne pokoiki, (a właściwie kojce), a na noc i na wypadek rewizji, rozbierane, ponieważ

porządek wymagał, aby barak miał wygląd koszar. (Nic dziwnego, był to przecież obóz dla jeńców).

W każdym takim „kojcu” starano się rozmawiać możliwie ciszej, aby nie przeszkadzać w pracy swemu sąsiadowi. Były nawet w tym celu rozwieszane wszędzie plakaty z przepisami, co do zachowywania ciszy, porządku i t. p. I przepisy te musiały być ściśle przestrzegane. Na drzwiach zaś poszczególnych prowizorycznych tych pokoiów widniały napisy: „jestem zajęty, proszę nie przeszkadzać”, lub „szanownych gości przyjmuję od godz... do godz...”, albo „interesantów przyjmuję w godzinach... z wyjątkiem dni...” i t. d. i t. d.

Przyglądając się temu wszystkiemu, byłem pełen podziwu dla tych ludzi i pełen szacunku.

Pomoc lekarska była również zorganizowana znakomicie. Sprawnie funkcjonowało ambulatorjum, obsługiwane przez lekarzy różnych specjalności, których także nie brakło wśród jeńców. Zaopatrzone przytem było we wszystkie potrzebne utensylja. Lekarze ci, poza pracą w ambulatorjum, zajmowali się także i praktyką prywatną, (śród jeńców oczywiście).

Nie zapomniano też i o potrzebie kulturalnych rozrywek. Istniała orkiestra smyczkowa, organizująca dość częste koncerty. A już podziwu zaiste było godne to, że wszystkie te instrumenty były wykonane przez tychże jeńców, bez żadnych specjalnych urządzeń technicznych i warsztatów. Wyrabianiem ich zajmowali się oczywiście ci, którzy, albo na sztuce lutniczej znali się oddawna, albo też ci, którzy dla za-

bicia monotonnie wlokącego się czasu wprawiali się w tem pół-rzemiośle, pół-sztuce, pod kierunkiem mistrzów lutnictwa. Niektóre z instrumentów były wykonane tak artystycznie, z taką precyzją odrobioną, że naprawdę mogły służyć za modele w pierwszorzędnych wytwórniach. Zwraçały powszechną uwagę zwłaszcza niektóre egzemplarze mandolin i gitar przepięknie inkrustowanych.

Było pozatem kółko amatorów gry scenicznej, urządzające od czasu do czasu przedstawienia w jednej z szop. Grano przeważnie komedje i farsy. Role kobiece odtwarzane były przez mężczyzn oczywiście. Niektórzy, mówiąc nawiasem, czynili to z prawdziwym artyzmem, do złudzenia naśladowując głos i ruchy kobiece, do tego stopnia, że wzbudzało to zgoła niezdrowe zainteresowanie się temi „aktorkami” u niektórych z widzów. Dochodziło nawet do nieporozumień między rywalami.

Nie mogę pominąć tu jeszcze jednej „instytucji” tego obozu, która miała rolę odegrywała w życiu więźniów. Był nią, znany aż nadto dobrze na naszym gruncie, tak zwany „handeles”, handlarz starzyzną, jeden z jeńców. Oczywiście był to Żydek i w dodatku z Małopolski. Nie gardził najlichszym i najbardziej zniszczonym łachmanem, proponowanym mu przez więźniów do nabycia i posiadał zwykle w swym worku wszystko, co w warunkach obozowego życia mogło być potrzebnem jego „klijentom”, to też codzienne obchodzenie przez niego baraków stało się niejako koniecznością. Należał przytem do „kupców” rzetel-

nych; nie wykorzystywał ciężkiej sytuacji materialnej więźniów; uczciwie, naprawdę, płacił wyznaczone przez nas ceny. W ciągu czteroletnich jego stosunków z „klijentami” nie zasłużył ani razu na jakąś naganą ze strony zainteresowanych. Był w całym znaczeniu słowa osobą popularną i bardzo lubianą na terenie całego obozu. Ta jego rzetelność, nie przeszkodziła mu jednak w zgromadzeniu w ciągu czterech lat dość dużego kapitału.

Niechętnie odpowiadał na zapytania skąd pochodzi; z jakichś tam względów „dyplomatycznych” wolał uchodzić za handlarza międzynarodowego.

Jak widzimy, w obozie było prawie wszystko, czem żyli na wolności zamknięci w nim ludzie.

Tylko podwójne ogrodzenie z drutu kolczastego i warta angielska przypominały o smutnej jednak rzeczywistości, o niewoli.

Kilkuletnie przebywanie tej masy ludzi w jednym obozie zniewoliło ich, co prawda, do zorganizowania się i stworzenia sobie możliwszych warunków egzystencji. Ułatwiła im to zadanie znakomicie i ta okoliczność, że przeważającą większość jeńców stanowili Niemcy. Tylko z tak właśnie zorganizowaną masą i o jednolitym, że tak powiem, charakterze, mogli się liczyć Anglicy.

Wszystko to prawda. Ale sprawiedliwość nakazuje przyznać, że taką umiejętność organizacji i taką dyscyplinę społeczną niewiele narodów posiada, jaką

posiadają Niemcy. Nie pomoże tu nasza odwieczna niechęć do nich. Musimy to im przyznać.

Mylnem byłoby jednakże przypuszczenie, że ten stan rzeczy, jaki zastałem w obozie w czasie mojej tam bytności, był takim od początku jego założenia, t. j. od roku 1914-go. Wzorowy ten porządek i organizacja tworzyły się stopniowo i były wynikiem instynktu samozachowawczego jeńców, niechających poddać się przemocy Anglików.

Zmaganie się jeńców z władzami angielskimi trwało jakoby nawet dość długo, (jak o tem informowali mnie współtowarzysze, przebywający w obozie od samego początku). Pewny siebie duch niemiecki długo nie mógł pogodzić się ze smutnym losem niewolnika. Dochodziło do częstych starć z żołnierzami angielskimi. Ale rozważa niemiecka wkońcu wzięła górę; pokonawszy w sobie dumę, jeńcy zaczęli powoli przystosowywać się do istniejących warunków, wywalczwszy sobie atoli pewną autonomję w rządzeniu. Rozważa ta była raczej koniecznością pogodzenia się z losem, zwłaszcza po nieudanych próbach ucieczki z obozu trzech jeńców, za pomocą podkopu.

A było to tak.

Wkrótce po umieszczeniu w tym obozie jeńców, przystąpili oni do kopania tunelu prowadzącego z jednego z baraków w kierunku zarośli, daleko, poza obręb ogrodzenia obozu. Zarówno wejście do tunelu jak i wyjście były starannie ukryte i rzecz jasna, trzymane w największej tajemnicy.

Tunel ten był przeznaczony dla nielicznych wybranych, a może wyłącznie tylko dla emisariuszy.

Trzech takich „wybrańców“ pewnego dnia wyruszyło w świat. Najbliższym punktem ich ucieczki było pobliskie miasteczko, gdzie zamierzali oni zapewne zaopatrzyć się w niezbędne im przedmioty na dalszą drogę. Nieobecność ich w obozie jeszcze nie była zauważona. Ale w miasteczku, pojawienie się trzech cudzoziemców zwróciło powszechną uwagę. Doniesiono o tem władzom i niedoszli uciekinierzy byli natychmiast złapani i po skonfrontowaniu z żołnierzami obozu, zostali przeniesieni do obozu karnego.

Fakt tej niedosłej ucieczki trzech Niemców bardzo zaniepokoił Anglików. Ścisłe badania uciekinierów i całego obozu nie naprowadziło na ślady strzeżonej tajemnicy. Odpowiedzi zbiegów, iż wyszli z obozu (w dodatku z tłumoczkami na ramieniu) przeskończywszy przez dwa wysokie ogrodzenia z drutu, pomiędzy którymi chodzi warta, nie mogły przecież przekonać Anglików, zwłaszcza, iż z nastaniem zmroku cały obóz był rzęsiście oświetlony, a przedewszystkiem ogrodzenie. Nie mogło być mowy nietylko o ucieczce tą drogą, ale nawet o podejściu do ogrodzenia na odległość dziesięciu kroków, pod grozą śmierci.

Długo szukano „tajemniczej“ drogi, ale bez skutku. Wreszcie władze zrezygnowały z dalszych dochodzeń, niechcąc narażać się na ośmieszenie się i ograniczono się zdwojeniem czujności wogóle i wydano nowe rozporządzenie strzelania do każdego, bez

uprzedzenia nawet, kto ośmieli się zbliżyć do ogrodzenia na odległość pięciu kroków. Skutek tego był taki, że wkrótce po wydaniu owego rozporządzenia, jeden z jeńców, przekroczywszy rozkaz, padł od kuli wartownika.

Tajemnica tunelu wykryta tak i nie została. Ale ucieczka tą drogą stała się odtąd już ryzykowną. Obmyślano więc różne sposoby wydostania się „na szeroki świat”, lecz żaden nie dawał gwarancji bezpiecznej ucieczki. Aż wreszcie, jeden z jeńców, (który przynosił nam codziennie po obiedzie bardzo smaczne ciastka swego wyrobu), mój imiennik, Schmidt, wpadł na dość oryginalny pomysł opuszczenia obozu. Mianowicie, postanowił ucharakteryzować się za Hindusa i wyjść poza bramę obozu wraz z naszymi posługaczami, Hindusami.

A ucharakteryzowanie się owe nie było tak znowu trudnem. Posługacze byli zupełnie nadzy, z wąską przepaską na biodrach jedynie i z blaszaną „bransoletą”, jako przepustką, na lewej ręce. Ten pomysłowy mój imiennik był brunetem o smagłej cerze. Ucharakteryzowanie się tedy na Hindusa, do pewnego stopnia, miał już ułatwione. Ale chciał przecież ująć za prawdziwego Hindusa. Spreparował więc jakąś skombinowaną przez siebie maść i smarował się nią w ciągu kilku dni, aż do doprowadzenia koloru swego ciała do odcienia istotnie bardzo zbliżonego skóry Hindusów. Sporządził sobie i blaszany numer na rękę.

Tak ucharakteryzowany, był do złudzenia podobnym do jednego z naszych posługaczy.

I oto pewnego dnia, stanął w rzędzie z nimi przed bramą i wszyscy razem opuścili obóz, mijając nic nie podejrzewającą wartę.

Posiadał on wiadomość, iż w najbliższym porcie stoi okręt holenderski, gdzie miał nadzieję skryć się i przedostać się tym sposobem do swego kraju. I wszystko byłoby się stało tak, jak sobie ten pocziwy człowieczyna uplanował, gdyby nie jego kolega, Czech, który podpatrzywszy go, zdradził.

Ze słów „poszkodowanego”, że tak powiem, który sam mi o tem później opowiadał, odbyło się to w następujący sposób: gdy wyszedł już on z Hindusami poza bramę, zauważył przed koszarami kilku sierżantów, a między nimi i sierżanta ze swego baraku, a także i owego Czecha, którzy przyglądali się wychodzącym i głośno się śmieli.

Zrozumiał biedny Schmidt, że tu się już kończy planowana wędrówka jego. „Idę, powiada, jednak dalej, z miotłą na ramieniu, staram się zachować spokój, aż tu słyszę głos naszego sierżanta, zwracającego się do mnie po niemiecku: „gdzie pan idziesz, panie Schmidt?”

„Nie straciłem, powiada na rezonie i odpowiadam najspokojniej: do domu panie sierżancie, do zony”.

Tu go zatrzymano i poprowadzono do kordegardy. Pobito go tam dotkliwie i wysłano do obozu karnego, gdzie przebył rok cały, poczem wrócił zpowrotem do naszego obozu.

Czecha zaś w dowód uznania przeniesiono do Afryki, na stanowisko dozorczy więziennego.

Wspomniany tu wyżej Czech, nie był zatem jedynym przedstawicielem swej nacji, w wysługiwaniu się Anglikom posuwającym się aż do zdrady swych współtowarzyszów niedoli. Zanotowałem już ich kilku. Nie wyprowadzając oczywiście wniosków, co do charakterystycznych cech tego narodu na podstawie tych kilku przykładów, konstatuje tylko, że dziwnym zbiegiem okoliczności, w ciągu długiej i ciężkiej mej wędrówki, nie napotkałem ani jednego Czecha o cechach dodatnich.

Z licznych zatargów jeńców z władzami angielskimi, w początkowym okresie istnienia obozu, zasługuje na zanotowanie jeden, jako może najbardziej charakterystyczny dla uświadomienia sobie wzajemnego stosunku między Niemcami a Anglikami w okresie minionej wojny.

Jak już parokrotnie wspomniałem, jedyną bezpośrednią władzą jeńców byli sierżanci, przeważnie brutalni żołdacy, nadużywający przytem alkoholu, pozwalający sobie na wszelakie znęcanie się nad więźniami. Żadne skargi na nich przed komendantem obozu nie odnosiły skutku. Wykorzystując tę sytuację, sierżanci, bardzo często dopuszczali się wszelkiego rodzaju bezprawia.

Pewnego razu, podczas wieczornego sprawdzania obecności, jeden z sierżantów uderzył jeńca trzy-

maną w rękę trzcina. W odpowiedzi na to, wszyscy obecni w baraku jeńcy, pogasiwszy światło, rzucili się na sierżanta i odmierzyli mu karę po swojemu, nie żałując ani swoich pięści, ani zdejmowanych z siebie naprędcę pasów rzemiennych. Wydostał się z ich rąk mocno poturbowanym, w podartem ubraniu i bez czapki.

Nazajutrz, gdy o zajściu dowiedziały się władze angielskie, zareagowano na to w ten sposób, że wewnątrz obozu wprowadzone zostało wojsko, z oficerem na czele i rozlokowało się na placu pomiędzy barakami a ogrodzeniem. Na żaden jednak gwałt w stosunku do więźniów nie zdecydowano się, w obawie zapewne czynnego oporu z ich strony. Przeprowadzono tylko badanie, w którego wyniku wyznaczono sąd i jeńca ukarano. Aczkolwiek kara ta była wymierzona bardzo łagodnie.

W zajściu tem był jeden charakterystyczny szczegół. Sierżant, uciekając od zadawanych mu razów, wybiegł z baraku bez czapki, (która oczywiście w bójce tej musiała ucierpieć). Władze potem kilkakrotnie zwracały się z kategorycznym żądaniem oddania czapki, na co otrzymywały odpowiedź, iż czapki nikt nie widział. Tymczasem, ukrył ją jeden z jeńców (nawiasem mówiąc jeden z Polaków, który pokazywał mi ją potem nawet), o czem cały obóz wiedział. Nikt jednak nie wydał go i czapka znienawidzonego sierżanta oddana tak i nie została.

Ten drobny fakt świadczy dobitnie o solidarności całego obozu wobec swych ciemżycieli, zmuszo-

nych wkońcu skapitulować przed tą zwartą masą więźniów.

Tem się też tłumaczą późniejsze na ich rzecz ustępstwa Anglików, co do wewnętrznej organizacji życia obozu.

W parę dni po mojem tam przybyciu, przyszło do mnie trzech jeńców i w najczystszy języku rosyjskim zapytali mnie, czy mógłbym udzielać im lekcyj języka rosyjskiego, a właściwie chodziło im o konwersację w tym języku. Byłem zdziwiony, że ktoś dobrze mówiący po rosyjsku zwraca się z taką propozycją. Z dalszej jednak rozmowy z nimi dowiedziałem się, iż są to rodowici Niemcy, którzy w Rosji nigdy nie byli i jej języka nie słyszeli. A nauczyli się rosyjskiego metodą Berlitz'a. Mimowoli może robię tu bezinteresownie reklamę Berlitzowi. Ale muszę, uważam za swój obowiązek podkreślić ten fakt, gdyż było tak w istocie, na co miałem niezbite dowody. Z początku słuchałem opowiadań tych ludzi, nie zupełnie dowierzając im jednak. Wydawało się bowiem niemożliwym, aby bez pomocy kogokolwiek znającego ten język, bez żywego słowa, można było opanować tak niezmiernie trudny dla cudzoziemców akcent rosyjski. A jednak i dzięki istotnie dobrej tej metodzie, no i dzięki sumiennej pracy i uporowi tych Niemców doszli oni do całkowitego prawie opanowania języka.

Podjąłem się chętnie prowadzenia konwersacji, ale po paru dniach odstąpiłem jednemu z moich rodaków, który, jako że pochodził z Poznańskiego

i władał dobrze językiem niemieckim, a język rosyjski znał również dobrze, mógł więc być lepszym niż ja, nauczycielem. Chętnie jednak spędzałem wolne chwile z tymi sympatycznymi ludźmi, którzy wykazali tyle hartu i energii.

Takich amatorów uczenia się języków: rosyjskiego i innych było dużo w tym obozie. I postępy robili wprost nadzwyczajne. Śmiało mogli oni powiedzieć o sobie, iż przebytych w niewoli angielskiej czterech lat w okresie wielkiej wojny, nie stracili na próżno.

Oderwany od reszty swych dawnych współtowarzyszów niedoli, z którymi jużem się był zżył przez te osiem z górą miesięcy i rzucony naraz pomiędzy pracowite mrowie ludzkie, zajęte gorączkową swą pracą, poczułem się bardzo obco, chociaż od pierwszego dnia stosunki moje z nowymi współtowarzyszami były więcej, niż poprawne. Ale dla nich byłem przecież też obcym. Wszyscy oni żyli tu razem od czterech lat i przez ten czas mogli się z sobą bardzo zżyć. Ja zaś byłem przybyszem, niewiadomo na jak długo tu przyślanym.

Zresztą od Niemców nie mogłem się przecież niczego dowiedzieć o tem, co się dzieje w Polsce i jak się tam układają nasze stosunki. Zacząłem, rzecz jasna, szukać między jeńcami Polaków. Do paru z nich dotarłem przy pomocy Niemców, a inni, dowiedziawszy się, że dopytuję się o rodaków, zgłosili się do mnie już sami.

Pierwszym z Polaków, którego tam poznałem,

był p. M., rodem z Poznańskiego, do którego skierowali mnie moi sąsiedzi z baraku, rekomendując mi go, jako „bardzo solidnego człowieka“.

Z zawodu był on monterem, przybyłym do Indyj w charakterze współpracownika jednej z niemieckich firm w Poznańskiem. Następnie był wzięty do niewoli przez Anglików.

Przyjął mnie dość uprzejmie, ale i protekcyjnie zarazem. Na moje zapytanie, czy jest dużo Polaków i co to za ludzie, powiedział, że Polacy tu są, ale w obawie prześladowania ich tu przez Niemców nie bardzo przyznają się do swej przynależności do Polski, a zwłaszcza chodzi im jakoby o nieutrącenie wspomóg niemieckiego Czerwonego Krzyża, z których obecnie korzystają. On zaś jakoby śmiało podkreśla swoją polskość, gdyż jest człowiekiem zamożnym i lekceważy sobie wszelką pomoc materjalną. Z dalszej mojej rozmowy z tym panem przekonałem się jednak, że pierwszy mój krok do zbliżenia się z rodakami był niefortunny. Pan M. należał do zadufanych w sobie megalomanów. A jak orjentował się w sprawach, dotyczących odzyskania niepodległości swego kraju, świadczy najlepiej fakt, iż zamierzał wysłać, czy wysłał nawet depeszę do Dmowskiego w Paryżu z podziękowaniem za wskrzeszenie Polski (!).

Pozatem, pewne zdarzenie, które przytaczam poniżej, było zupełnem według mnie zaprzeczeniem tego, co p. M. mówił o swym patriotyzmie, jako Polaka.

Pewnego dnia przyszedłem do niego, by zwrócić

pożyczony odeń atlas. Nie zastawszy go w improwizowanym jego pokoiku, zwróciłem zpowrotem, gdy wtem spotykam go powracającego z umywalni zapewne, ponieważ był nawpół ubrany tylko i rękawy koszuli miał zakasane powyżej łokci. A na obnażonych rękach tego „dobrego“ Polaka widniały wytautowane orły pruskie i napis: „Hoch Kaiser“.

Ostąpiłem na widok tego „patrioty“, wysyłającego depesze do Dmowskiego tąż samą ręką, która nosi na sobie tak hańbiące piętno służalczości wobec Prusaków. Nie mogłem jednak powstrzymać się, by nie zapytać go, co oznaczają te orły i ten napis i w jakichże to okolicznościach zostały one uwiecznione na rękach Polaka? W odpowiedzi usłyszałem: „to młodość, panie, młodość“. A pan ów mógł mieć wtedy koło lat 35 najwyżej. Starym więc jeszcze nie był.

Słuchając tej odpowiedzi mimowoli myśl moja pobiegła do odległych czasów mojej i moich rówieśników młodości! Jakże odmiennie myśmy odczuwali naszą młodość. Jakże buntowaliśmy się przeciwko najeźdźcom! Na jakie śmiałe i ryzykowne spiski zdobywaliśmy się. Tak, my stanowczo inaczej odczuwaliśmy naszą młodość.

Odtąd trzymałem się zdaleka od owego rodaka.

Zaznajomiwszy się wreszcie ze wszystkimi Polakami, przebywającymi w tym obozie, mogłem się przekonać, że twierdzenie tego pana o ukrywaniu swej przynależności narodowej przez Polaków z tego obozu było bezpodstawowe. Byli wprawdzie między

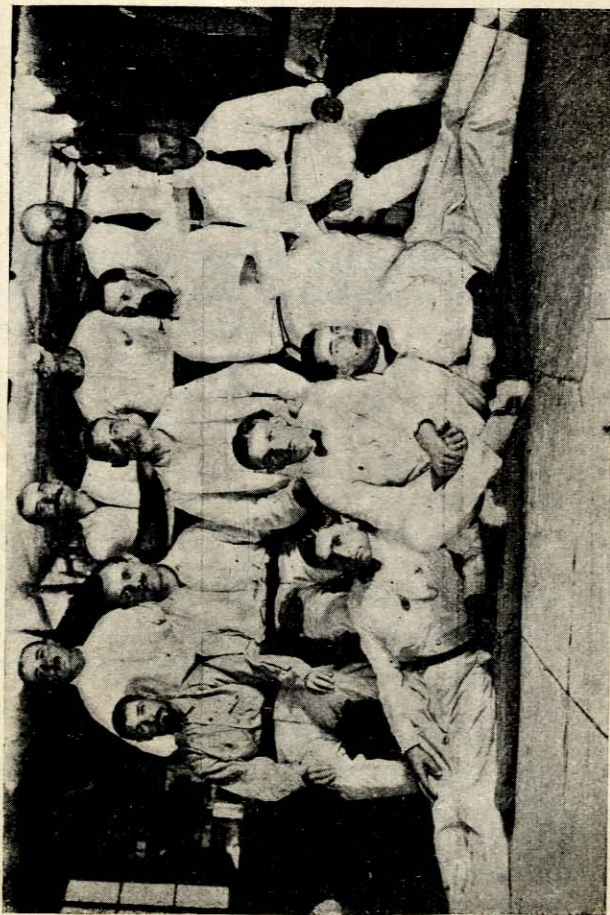
nimi tacy, którzy po polsku źle mówili i często byli zmuszeni brakujące im słowa polskie zastępować niemieckimi, ale nie spotkałem tam ani jednego, któryby się nie przyznawał do swej narodowości. Wszyscy, bez wyjątku, garnęli się do tej wyśniewanej, acz nieznaney im Polski, bez zastrzeżeń.

Byli to szczerzy, prości i uczynni ludzie, o których do dziś dnia zachowałem jak najlepsze wspomnienia, a nawet czuję dla nich serdeczną wdzięczność za ich życzliwość i troski, okazane mi wówczas, jako bardzo osamotnionemu i pozbawionemu grosza. Oni to bowiem właśnie drogą składek uwolnili mnie od obowiązku obierania kartofli w kuchni i zaopatrywali mnie w potrzebną gotówkę na kupno tytoniu i t. p. drobiazgów. A przede wszystkim okazali mi dużo serca i życzliwości.

W ich towarzystwie czułem się jak w rodzinie, między bliskimi i dobrymi ludźmi.

Zbieraliśmy się teraz wszyscy razem dość często, bo prawie codziennie, dla wspólnych pogadań, których tematem głównym była historia Polski z czasów porobiorowych. Odbywało się to w ogródku przed jednym z baraków, zajmowanym przez księży-misjonarzy katolickich (jeńców z kolonij afrykańskich), między którymi było dużo Polaków.

Pogadanki te, ściślej mówiąc, były odczytami z dyskusją. Wygłaszane były przeze mnie, jak mi na to pamięć moja pozwalała. W dyskusji zaś brali udział wszyscy. Tu z bólem przekonałem się, jak wiadomości moich interlokutorów, dotyczące dziejów Polski



Ryc. 2.

Grupa jeńców-Polaków w obozie Achmednagarskim, w baraku księży-misjonarzy.
(Zdjęcie przy sztucznem oświetleniu). (Ob. str. 172 — 173)

odbiegały od prawdy historycznej. Przyczyna tego kryła się oczywiście w tendencyjnym oświełaniu naszych dziejów przez zaborców w ich podręcznikach szkolnych. Ale nie małą winę ponoszą tu i nasi domorośli politycy, ugodowcy różnych odcieni, urabiający odpowiednio opinię społeczeństwa przy pomocy swej prasy.

Zebrań nasze wkrótce stały się popularnemi. Często gościnnie ogródek księży-misjonarzy nie mógł pomieścić wszystkich, którzy byli radzi posłuchać jakiegoś odczytu i wziąć udział w dyskusji.

Niesłusznem okazało się zatem gołosłowne obwinienie ogółu tamtejszych Polaków przez p. M. o jakąś bojaźń przed Niemcami i rzekome ukrywanie swego pochodzenia. A ignorowanie przez niego samego naszych zebrań było najlepszym argumentem, zbijającym jego dowodzenia, że to on właśnie należy do tych „prawdziwych” Polaków.

Unikać zaś nas wszystkich zaczął od owego dnia, kiedy to niechcący zobaczyłem wytatuowane na jego ręku orły niemieckie i napis „Hoch Kaiser”.

Nadzór władzy angielskiej nad jeńcami ograniczał się do sprawdzania obecności tychże, rano i wieczór. W ciągu dnia nikt się nie wtrącał do wewnętrznego życia obozu. Ten stan rzeczy stał się możliwym dzięki zorganizowaniu się właśnie jeńców, (jak już wspomniałem o tem na innem miejscu), którzy tym sposobem przeciwstawili się brutalnym metodom Anglików. Ale sierżanci angielscy, przywykli w swych

kolonjach do tego rodzaju metod, zarówno w stosunku do tybylczej ludności, jak i do jeńców, z trudem godzili się zapewne z tem, iż pozbawieni są w ciągu całego dnia możności terroryzowania tysiąca ludzi. Musieli zatem powetować sobie tę przyjemność przynajmniej podczas owych sprawdzeń obecności. To też z widoczną satysfakcją czepiali się najniewinniejszych drobiazgów, aby skrzyknąć taką „ofiara” przed szeregiem, albo też wpakować do tak zwanego kalabusa, czyli okratowanej celi, bez łóżka i innych niezbędnych mebli, wystawionej w dodatku na silne działanie słońca, (gdyż w tym celu właśnie zamiast drzwi i okien były kraty).

A jakie drobiazgi uważano za przewiny, może zaświadczyć następujący fakt, gdzie ja byłem ową nieszczęśliwą „ofiara”.

Pierwsze sprawdzanie obecności odbywało się o godzinie 6 rano. Musieliśmy wszyscy stawać w szeregu, w ubraniu i obuwiu dziennem (uchowaj Boże, w rannych pantoflach naprzykład).

Przyczem, obuwie winno było być starannie wypucowanem.

Tak staliśmy zwykle parę minut, oczekując na sierżanta, który przychodził, jak zwykle, z trzcina i głośno wywoływał każdego z nazwiska, z trzymanej w ręku listy. Usłyszawszy swe nazwisko, każdy musiał (niewiem już dla czego) odpowiadać po niemiecku „hier”.

Gdy przysła kolej na mnie, odpowiedziałem jakoś machinalnie „jestem”, zamiast „hier”. Sierżant,

który jak się okazało był histerykiem, a czasami wprost niepoczytalnym, przyskoczył do mnie i wymachując przede mną trzcina, jął krzyknąć coś po angielsku, czego na szczęście nie rozumiałem.

Z kilkakrotnie rzuconego przezeń słowa „kalabus” zrozumiałem, że grozi mi za coś kara.

Stałem zdziwiony i przerażony zarazem takim gwałtownym wybuchem gniewu sierżanta, bo nie domyśliłem się narazie, że właśnie moje „jestem” było tego powodem. Dopiero po skończonym przeglądzie, t. zw. „komendant” naszego baraku wytłumaczył mi przyczynę tego gniewu.

Na drugi dzień, pamiętając o swojej przewinie, odpowiedziałem mu już po niemiecku. Ale moja odpowiedź i po niemiecku nie podobała się snadź sierżantowi, bo znowu wpadł na mnie ze straszną furją i wymachując trzcina, groził mi kalabusem, jeżeli jutro nie odpowiem tak, jak on sobie tego życzy. Moje „hier” uważał on za mało wyraźne i nie dość głośne.

Wobec tej kategorycznej groźby zacząłem ćwiczyć się najzupełniej poważnie w wymawianiu tego słowa. Poświęciłem cały dzień na powtarzanie owego „hier” na różne tony i sposoby, modelując głosem, jak aktor przed premjerą. A jednak, pomimo całodziennych ćwiczeń, czułem, że w wymawianiu tem nie widzę poprawy na lepsze. Słowo to brzmiało mi w uszach, jak echo mego głosu. Było to oczywiście rezultatem strasznego zdenerwowania, bo wiedziałem, iż od jutrzejszej mojej dobrej odpowiedzi zależ-

ne jest przecież uwolnienie się od kalabusa, a przede wszystkim od znęcania się tego niepoczytalnego żołdaka. Późnym wieczorem tego jeszcze dnia wciąż powtarzałem dźwięczne to słowo, ale z jednakowym skutkiem. Wreszcie, zdałem się na ślepy los szczęścia.

Gdy obudziłem się następnego dnia, uczułem nagle lęk, iż tego nieszczęśliwego „hier“ nie będę mógł powiedzieć dobrze.

Staaliśmy wreszcie w szeregu w oczekiwaniu sierżanta. Ja czułem na sobie spojrzenia wszystkich towarzyszków, z niemałą ciekawością oczekujących na moment, kiedy przyjdzie kolej na moją odpowiedź. To jeszcze bardziej speszyło mnie i onieśmieliło. Oblałem się potem. Wtem usłyszałem swoje nazwisko. I nagle zaległa absolutna cisza. Przez sekundę zdało mi się, iż nie słyhać było nawet brzęku much. I znowu poczułem na sobie spojrzenia wszystkich. Nie pamiętam nawet, jak się to stało, że wydobyłem z siebie głos nareszcie i prawie już krzyknąłem „hier“. Tu nastąpił wybuch śmiechu współtowarzyszów i usłyszałem na tem tle głos sierżanta, którego tym razem moja odpowiedź zadowoliła.

Na tem incydent się skończył.

Opis tego incydentu, nie pozbawionego w swem założeniu pewnej dozy humoru, wywołać może śmiech u Czytelnika. I ja dziś śmieję się wspominając o tem. Ale wówczas, gdy to jedno głupie słowo było powodem nowych upokorzeń moich, jakże bardzo cierpiełem!

Drugie sprawdzanie obecności odbywało się o godzinie 8 wiecz. i w nieco odmienny sposób. Mianowicie: wszystkie przegrody i zasłony winne były być usunięte, tak, żeby przechodzący przez barak sierżanci mogli widzieć jeńców na przestrzeni całego baraku; stojących tym razem nie w szeregu, lecz każdego przy swoim łóżku.

Uzbrojony w trzcinę sierżant chodził wzdłuż sali i coś po angielsku wykrzykując, uderzał od czasu do czasu trzcina w mijane przez się stoliki przy łózkach jeńców. Jak gdyby w tem bezsensownem zachowaniu się przedstawiciela kolonialnych wojsk angielskich, chciano dać odczuć naszą od nich zależność.

W naszym baraku żołdacy angielscy większy jeszcze upust dawali swym niemiłym nawykniom, niż w innych. Powodem tego było zapewne to, że tu większość jeńców miała za sobą akademickie wykształcenie i ci brutale z tem większą satysfakcją przyglądali się wyciągniętym przed sobą po wojskowemu więźniom, ze spokojem i stoicyzmem znoszącym ich naigrywania się.

Obiwszy wreszcie trzcina wszystkie zawadzające mu na drodze stoliki, sierżant na pożegnanie uderzał także i drzwi, i tryumfalnie wynosił się.

Wieczorem wychodziliśmy zwykle „gęsiego“, z kubkami lub szklankami w rękach, na tak zwany „puposz“, wstrętny surogat piwa, który się kupowało w specjalnej „budce“, u wyrabiającego ten napój Hin-

dusa. Kolejki, czyli rozpowszechnione u nas w czasach powojennych „ogonka”, pilnowali sierżanci, nie pozwalając zbierać się w grupy; zwłaszcza pilnowano, by jeńcy nie rozsiadywali się na placu. Amatorzy więc tego „puposzu” krążyli serpentyną po placu z kubkami w ręku, niczem statyści za kulisami sceny, oczekujący reżysera, by na dany znak wivatować na część jakiegóż wampukowego króla.

Jak mi opowiadali „weterani” tego obozu, mieli oni tu poprzednio bardzo dobre piwo japońskie. Dopiero potem, władze angielskie zabroniły sprzedaży piwa japońskiego, zezwalając jedynie na wyrób owego puposzu.

Dość ciekawy był powód tego zabronienia i dla tego pozwolę go tu sobie przytoczyć.

Przez cały czas trwania wielkiej wojny, na oceanie spokojnym krążył okręt niemiecki „Wolff”, typu krążownika, który, po za spełnianiem jakiejś zapewne szczególnej misji, zajmował się tem, że napadał na nieuzbrojone mniejsze okręty. Nakierowawszy lufy swych armat w stronę takiego okrętu, zabierał mu wszystko, co mogło się jemu przydać w danej chwili, okręt topił, a pasażerów wyrzucał na pobliskie wysypki i umykał. Czynił to przytem tak zręcznie, że pomimo urządzanych za nim pościgów przez flotę angielską, złapać się nie dał.

W czasie jednego z takich pościgów, gdy wracał z piraterji, holując duży transport węgla i zapasów spożywczych dla swej załogi, został napadnięty znie-nacka przez Anglików. Nie namysłając się, odczepił

ciągnięty przez się transport, pozostawiając pod opieką jednego ze swej załogi i skrył się w otaczającej go na szczęście, mgle.

Transport dostał się w ręce Anglików, a z nim i komendant transportu. Osadzono go w obozie Achmednagarским.

Lubił on bardzo piwo, jak wszyscy zresztą Niemcy i był stałym klientem miejscowego piwiarza-Hindusa. Zwiedziały się o tem władze angielskie i chcąc na nim i reszcie jeńców niemieckich pomścić straty Anglii, jakie poniosła ona z winy nieuchwytnego krążownika niemieckiego, zabroniły sprzedaży dobrego piwa japońskiego na terenie całego obozu.

(Dla niepokonanego „Wolffa” Anglicy zachowali podobno jednak szacunek. Po wojnie okręt ten, na zaproszenie floty angielskiej przybył do Anglii wita-ny entuzjastycznie i z wielką pompą podejmowany).

W Achmed-Nagarze nie odczuwaliśmy już tak dotkliwie naszej niewoli, jak to miało miejsce w Nowogongu. Dużą zwłaszcza ulgą było dla nas komunikowanie się ze światem za pośrednictwem gazet, które były dostarczane tu stale. O tem, co się wówczas działo w Europie, wiedziliśmy ze źródeł niemieckich i angielskich. Nie były to wiadomości pomyślne dla nas, Polaków. Niezmiernie to niepokoiło całą naszą grupę, zbierającą się we wspomnianym wyżej ogródku misjonarzy.

Z natężoną uwagą śledziliśmy także i wiadomo-

ści o wypadkach bieżących w Indjach. Znajdowaliśmy się przecież w niedalekiej względnie odległości od miejsc, gdzie rozruchy brały swój początek.

Imponował nam ten potężny ruch rewolucyjny narodu hinduskiego, zapoczątkowany przez Tilaka, a prowadzony, z podziwu godną wytrwałością, przez Gandhi'ego.

Zapoznawszy się z gazet z rozrastającym się ruchem wolnościowym Indyj i zestawivszy datę wysłania nas z obozu w Nowgongu z datami niektórych ważniejszych wypadków w Delhi, Amritsarze, Bombay'u i w Pendżabie, mogliśmy wywnioskować, że wysłanie nas do obozu w Achmed-Nagarze bynajmniej nie było z dobrej woli Anglików. Wobec rozgrywających się wypadków, należało „oczyścić” obozy od Europejczyków, jako od niepożądanego w tych warunkach elementu. Zlikwidowano zatem obóz w Nowgongu, rozmieszczając jeńców w obozach bardziej od centrum oddalonych.

Ale ruch rewolucyjny, który Anglicy zamierzali stłumić w samym jego zarodku, rozrastał się coraz bardziej. Najsurowsza cenzura angielska nie mogła przecież ukryć faktycznego stanu rzeczy w obrębie Indyj.

Wiadomości o tem, co się w kraju dzieje, przedstawiały się z ust do ust, pocztą „pantoflową”. Trzymanie jeńców nawet w obozie Achmednagarskim stało się już niepewnem. I dlatego to, coraz częściej dochodziły nas nieoficjalne jeszcze wiadomości, iż niedługo będą wszystkich jeńców uwalniali.

Jakkolwiek obecnie los nas ośmiu połączony był do pewnego stopnia z losem jeńców całego obozu, czulem jednakże, iż nawet w razie pośpiesznego ewakuowania obozu, nas ośmiu wyeliminują z tego tysiąca osób i że los nasz faktycznie będzie innym, niż reszty współtowarzyszów i niewątpliwie gorszym. I dotychczasowe z nami postępowanie przemawiało za tem i zresztą instynkt podpowiadał mi, iż czekają nas jeszcze jakieś ciężkie przejścia.

XIV.

Odjazd z Achmed-Nagaru.

17 kwietnia wezwany zostałem do Office'u. Tam mi oznajmiono, że jutro, ośmiu nas, przybyłych z Nowogongu, wyszłą do Władywostoku.

Potwierdziły się moje przypuszczenia, iż traktowani jesteśmy w dalszym ciągu jako niebezpieczni, których przedewszystkiem należy usunąć z obozu.

Ponieważ żadne moje i moich kolegów protesty na nicby się nie przydały, przyjąłem do wiadomości oświadczenie komendanta i wróciwszy do baraku zająłem się pakowaniem swych rzeczy do drogi.

Mieli więc jechać ze mną: Gładilsczykow, Łarjonow i Panfiłow, (trzech Rosjan, abiturjentów szkoły średniej, których sylwetki podałem na str. 39—40), oraz: Ali-Kulijew, Efendjew, Fajerman-Rozen i Zeltin.

Gdy powróciłem z Office'u, zastałem w baraku oczekującego na mnie Ukraińca Ferłowskiego, jeńca armji austriackiej, który rzucił się do mnie ze łzami,

prosząc bym go ratował od śmierci, gdyż władze i jego dołączyły do naszej grupy i chcą odesłać również do Władywostoku. „A ponieważ wiadomem jest, powiada, iż was ośmiu wiozą na stracenie, zmiłuj się Pan i wytłumacz władzom, że choć nazwisko moje kończy się na „ski i dla tego biorą mnie za Rosjanina albo Polaka, niemam ja nic wspólnego wszakże z wami“!

Zwierzył mi się przytem, iż zwraca się w tej sprawie do mnie, a nie bezpośrednio do władz, dlatego, że jako nie władający żadnym z języków, poza rosyjskim, nie mógłby się z władzami rozmówić i nie jest pewnym, czy uwierzonoby temu, co o sobie mówi. Zresztą nie wiedział zupełnie jak należy rozmawiać w tej sprawie z władzami. Zwrócił się zaś do mnie za namową współtowarzyszów-jeńców, którzy, jak zresztą wszyscy jeńcy całego obozu, byli przekonani, iż wiozą nas do Władywostoku na rozstrzelanie.

Nie przedstawiając swej najbliższej przyszłości bynajmniej w barwach różowych, a raczej zdając sobie sprawę, iż dzięki wyrafinowanemu okrucieństwu Anglików, należy być przygotowanym na koniec naszych męczarni, jak najgorszy, to jednakże usłyszenie tej okropnej prawdy, od której broni się skazaniec do ostatniej chwili swego życia, przyzna Czytelnik, nie było przyjemnem.

I, o ironjo losu, tego, co mi przynosił tak okropną wiadomość, wypadło samemu bronić przed Anglikami. Przyznałem mu w duszy rację: skorośmy sami na wybawienie siebie od niechybnej śmierci liczyć

nie mogli, dlaczegozbyśmy nie mieli wyrwać z jej szpon człowieka, który miałby ginąć z nami dlatego tylko, że nosił nazwisko na „ski”?

Wyratowałem go, wytłumaczywszy władzom, iż jest to jeniec austriacki.

Serdecznie mi potem dziękował. Znowu widziałem w jego oczach łzy; tym razem łzy szczęścia, iż uniknął śmierci, której był pewny. Ale nie przyszło mu na myśl wyrazić współczucia mnie i moim towarzyszom, jako tym, których, w jego przekonaniu, widział przecież po raz ostatni na tym świecie.

Wiadomość, przyniesiona mi przez Ferłowskiego osłabiła mnie, ale na szczęście nie sparaliżowała mej woli. Skrupulatnie pakowałem każdy drobiazg, jak gdyby najmniejszy z nich stanowił dużą wartość dla mnie. Uparłem się zwłaszcza w uratowaniu notatek. Dopomógł mi w tem i jeden z rodaków, Sinicki, który wyżłobiwszy misternie otwory w obcicach mych sandałów, wypełnił je notatkami i spisem jeńców-Polaków, wspólnie z nim sporządzonym, zabierając następnie otwory dwiema warstwami fleków.

Dla uniknięcia zaś oględzin mego bagażu przez sierżanta, za poradą t. zw. „starszego” naszego baraku, kupiłem lubianych przez niego cukierków i sprawdzanie mych rzeczy zostało powierzone przezeń temuż starszemu.

W przeddzień naszego wyjazdu urządziliśmy z rodakami pożegnalną kawę, w baraku gościnnych księżymisjonarzy i w wielkiej tajemnicy przed władzami,

zasłoniwszy wejście do baraku, sfotografowaliśmy się wszyscy na pamiątkę wspólnego pobytu w Indjach.

Wyjeżdżałem obdarowany cygarami i papierosami przez nowych współtowarzyszów: Majla i Magię oraz kilkunastu rupjami przez kilku rodaków. Poza tem dostałem od Sinickiego piękny model jednego z największych okrętów niemieckich, wykonany przez marynarza.

Współtowarzysze moi z baraku, Niemcy, pożegnali mnie w przeddzień mego wyjazdu, z wieczora, tłumacząc się, iż w dzień odjazdu nie będą mogli tego uczynić i odprowadzić choćby do bramy, ponieważ każdy z nich będzie zajęty swą pracą, zwłaszcza, że odjazd mój wyznaczony na godzinę 2 po południu. Nie miałem powodu mieć do nich żalu o to.

Przez cały czas mego przebywania w tym obozie, nie doznałem najmniejszego cienia jakichkolwiek szykan ze strony Niemców, pomimo, iż ja, jako Polak, byłem tam w znikomej mniejszości. Przeciwnie. Doznałem wiele objawów uprzejmości, a nawet życzliwości i współczucia. Wszyscy nowoprzybywający do obozu jeńcy, bez względu na przynależność narodową, czy państwową, traktowani byli przez nich na równi z resztą więźniów, po koleżeńsku i z odcieniem nawet serdeczności.

Za ten ich stosunek życzliwy do mnie zachowałem dla nich szczerą wdzięczność.

Nadszarpnięte przeżyciami zdrowie moje i wiek wreszcie, nie pozwolą mi już chyba zobaczyć kogośkolwiek z moich byłych współtowarzyszów niedoli,

którzy darzyli mnie swoją życzliwością i współczuciem lub okazywali jakakolwiek pomoc. Dlatego też składam im na tem miejscu moje szczere, staropolskie „Bóg zapłać”, w nadziei, że jeżeli książka ta nie dotrze własnych ich rąk, to dowiedzą się o niej od kogoś ze swych bliskich.

Zegnało mnie w dzień odjazdu kilku, nowopozyskanych w tym obozie przyjaciół, mianowicie: Dost, Sinicki, Domoradzki i inni.

Nie wyszli tylko na pożegnanie dawni moi współtowarzysze z Nowgongu.

Z tego obozu z jeszcze większym żalem odjeżdżałem, niż z Nowgongu. Bardziej zżyłem się z niektórymi ludźmi, a wyjeżdżałem przecież, według pogłosek, na śmierć.

Długo stali w bramie pozostali przyjaciele, żegnając nas odjeżdżających... aż lekka mgła zmieszana z kurzem zasłoniła ich nam w oddali...

Miarowy stuk kół naszych wehikułów wydał mi się w tej chwili bardzo potrzebnym. Zagłuszał świergot latającego wokoło nas ptactwa, które, zdawało się celowo drażniło mnie swoją radością życia. Zagłuszał jak gdyby i moje myśli, płaczące się natrętnie w głowie, koło jednego tylko przedmiotu, mianowicie egzekucji, na którą według pogłosek jechaliśmy właśnie. W uszach brzmiały mi ciągle powiedziane do mnie przez Ferłowskiego słowa: „wiozą was na rozstrzelanie”.

Niewypowiedzianie drażniła mnie wesoła rozmowa i śmiech jadących ze mną współtowarzyszów. Z całej naszej grupy odjeżdżających, o pogłosce co do losu, jaki rzekomo miał nas niebawem spotkać, wiedziałem tylko ja; współtowarzysze moi Rosjanie, jak już wspomniałem wyżej pomieszczeni byli w innym zupełnie obozie i do nich te przykre wieści nie dochodziły na szczęście. Wyjeżdżali więc pełni nadziei na szybkie uwolnienie. Ja, nie chcąc ich rozczarowywać, nie dzieliłem się z nimi otrzymaną wiadomością. Zresztą, była ona przecież nie oficjalną, a zatem mogła być mylną.

Cierpiałem tedy sam. Przeżywałem znowu straszne chwile, znane mi już aż nadto dobrze z tej podróży pod skrzydłami Anglików; ostatnie chwile skażająca.

Jak Czytelnik wie już z tomu pierwszego mej książki, chwile podobne jużesmy przeżywali niejednokrotnie.

Jak tylko mogłem, panowałem nad sobą, by się nie zdradzić przed niepodejrzewającymi nic złego, towarzyszami. Starałem się zająć swoją myśl jakimiś oderwanemi tematami, lecz nieposłuszna myśl wracała po chwili znowu do szarpiącego nerwy, lakonicznego zdania „wiozą was na rozstrzelanie”.

Zmusiłem siebie wreszcie do myślenia o szczegółach naszego odjazdu, a więc o tem, jak szliśmy z tłumoczkami do Office'u, gdzie ustawieni w szeregu raz jeszcze ujrzelismy na pożegnanie oblicze komendanta obozu, antypatycznego Czecha w czerwonym

mundurze; jak obrzuciwszy nas groźnym spojrzeniem skomenderował: „w drogę”; jak zęgnaliśmy się z odprowadzającymi nas towarzyszami i t. p., i t. p.

I to nie pomagało jednak. Stan zdenerwowania potęgował się. Zacząłem wówczas banalną rozmowę z sierżantem, by choć w ten sposób oderwać się od swoich ciężkich myśli. Jak człowiek, cierpiący fizycznie, czuje ciągle potrzebę zmiany pozycji swego ciała, tak ja, zmianą tematów myśli i rozmową ratowałem się od cierpień moralnych.

Zapytałem jadącego z nami sierżanta, czy posiada przy sobie nasze papiery osobiste.

Okazało się, że dowodów osobistych nie wręcono mu w Office; wysyłano nas bez żadnych papierów. Szczegół ten wrócił mi moją przytomność; zmusiłem sierżanta zawrócić nasz wóz zpowrotem do obozu, zaznaczając, że bez papierów nie pojedę.

Gdy wróciliśmy do Office'u, „czerwony Czech” wręczył sierżantowi nasze dowody, z jakimś dziwnym uśmiechem; nie spodziewał się snadź po nas tego, że będziemy o nich pamiętali. Były one mu widać potrzebne w jakimś jemu tylko znanym celu, bo trudno przecież sobie wyobrazić, żeby wysyłając w drogę jeńców zapomniano wydać z urzędu, konieczne w takich razach, papiery.

Opuściwszy obóz przeszliśmy pod bezpośrednią władzę li tylko jadącego z nami sierżanta. Przeszedł on wszystkich swoich poprzedników. Był to notoryczny pijak i łapownik. Nie do zniesienia ciężką była zależność od tego niepoczytalnego ordynusa. Musieli-

śmy mu zwrócić koszt jazdy wehikułami na dworzec, chociaż było nie do pomyślenia, aby nie otrzymał on pieniędzy na ten cel od władz.

18 kwietnia, o godzinie 9 rano przyjechaliśmy do Bombay'u. Ze stacji poprowadzono nas na przystań. Można było zatem spodziewać się, że tu nas „załadują” zaraz na jakiś statek i pojedziemy dalej.

Sierżant znikł, pozostawiwszy nas samych na całe dwie godziny.

Rozglądając się po przystani, zauważyłem kolosalnych rozmiarów okręt, prawdopodobnie amerykański, noszący nazwę „Varsavia”.

Serce mimowoli zabiło żywiej. Niewytłumaczona radość mnie opanowała. Sylabizowałem po stokroć razy pałace mnie litery: Var-sa-via, Var-sa-via... Dwie godziny oczekiwania na sierżanta zleciały mi szybko. Przez ten czas zdążyłem odlecieć myślą do „grodu syreniego”, gdzie tyle wspomnień złych i dobrych pozostało z okresu mych lat studenckich... Tam kiełkowała i tam kształtowała się myśl nasza młoda. Tam zaprawialiśmy się do czynów, które, w naszym mniemaniu, miały dźwignąć z grobu „Ukrzyżowaną”. Tam też utracono nam skrzydła młodzieńcze, po zlikwidowaniu sprawy tak zwanej „apuchtinowskiej” i wysiedlono nas z kraju bez prawa powrotu.

Odległe te dzieje stanęły mi żywo w pamięci, jak gdyby to miało miejsce wczoraj, a nie w latach 1883 — 84...

Na „Varsavii“ tymczasem krzątało się mnóstwo mrowia ludzkiego, nie mającego zapewne nic wspólnego ani z narodem, ani z krajem dla którego nazwa tego okrętu mogła być drogą i bliską.

W przypuszczeniu mojem, iż był to statek amerykański, opierałem się na tem, że nazwa ta mogła być nadana tylko w kraju, gdzie zamieszkiwał, osiadły tam, liczny element polski, a zatem musiało to być chyba w Ameryce.

Wrócił wreszcie nasz sierżant. Kazał nam zająć miejsca na ciężarowym automobilu, który już czekał na nas i w kilka minut zatrzymaliśmy się przed jakimś gmachem wojskowym. Tu sierżant wysiadł, pozostawiwszy nas w aucie znowu na przeciąg półtorej godziny. Poczem wróciwszy kazał szoferowi jechać dalej. Wkrótce zatrzymaliśmy się przed koszarami. Kązano nam wysiąść i poprowadzono do koszar.

Nie zdążyliśmy się jeszcze rozlokować, gdy do nas wpadł oficer, jak przypuszczałem, komendant koszar i wymachując przed nami trzcina, podniesionym głosem oznajmił, że mamy tu siedzieć, nie ważąc się ruszyć za próg tego lokalu. W przeciwnym razie, każdego, kto rozkazu nie usłucha, każe natychmiast rozstrzelać.

Czytelnik zrozumie, jakie wrażenie zrobić na nas musiała ta przemowa i w dodatku w takiej brutalnej formie.

Słowa te ciężkim ołowiem spadały na dno duszy każdego z nas.

Poczuliśmy naraz swoją okropną bezradność i zu-

pełną zależność od tego rodzaju przedstawicieli władzy. Zamienialiśmy ze sobą spojrzenia, pełne rozpaczy i determinacji.

Bez udowodnienia winy komukolwiek z nas, bez sądu, legalna władza wielkiego i potężnego mocarstwa targa oto naszemi nerwami w ciągu ośmiu już z górą miesięcy, trzymając w ciągłej niepewności jutra i przy pomocy zwyrodniałych swych żołdaków nągrawa się z bezbronnymi ludźmi.

W tych warunkach, jeden impulsywny odruch protestu któregoś z nas mógł spowodować dziką rozprawę z nami owego oficera lub nawet sierżanta. Byliśmy w zupełnej ich władzy. I żadna kara nie czekałaby ich za to.

Panowanie nasze nad sobą ratowało nas od możliwych wówczas przykrych następstw.

W ciężkiej roli bezbronnymi niewolników wytrwaliśmy do końca.

W parę miesięcy potem, zrozumiałem stało się dla mnie ówczesne postępowanie z nami Anglików. Byli oni osaczeni w Indjach przez zrzucających z siebie jarzmo, Hindusów. Przyjazd nasz do Bombay'u zbiegł się z gorącemi wypadkami w jego okolicach.

13-go przecież kwietnia „waleczny“ generał Dyer zbierał obfite żniwo kilku tysięcy zabitych i rannych Hindusów (przeważnie kobiety i dzieci), do których skierował swe kulomioty, bez uprzedzenia, w dniu wielkiego hinduskiego święta. A inni jego koledzy nie mniej „waleczni“, rzucali z aeroplanów bomby w tęż

samą bezbroną ludność, nie mogącą się nawet ratować ucieczką z poza murowanego ogrodzenia, za którym czekający na to żołnierze angielscy smagali ich biczami, zmuszając czołgać się przed sobą na brzuchach.

Amritsar, Penzab, Jallianwalla-Bach i inne miasta i miasteczka ociekały krwią hinduską. Nawet ciężko rannym nie okazywano pomocy. Pastwiono się nad ludnością kraju, zagarniętego przez nich i dającego Anglii dużo bogactw. Cóż więc dziwnego było w tem, iż nas, nieszczęśliwych jeńców w tak okrutny sposób dręczono również?

Generał Dyer i zwolennicy jego metod, nietylko nie zostali ukarani, ale doczekali się odznaczeń i awansów. A zatem i za brutalne postępowanie z nami bezpośredni nasi „władcy” mogli się spodziewać jedynie odznaczeń, a nigdy nagany. Dlatego i wysilali się zapewne w tym kierunku, prześcigając się nawzajem.

Świadkiem głośnej tej „przestrogi” oficera był jeden z żołnierzy, który zbliżywszy się potem do nas nieznacznie, poradził nam ofiarować coś na „pamiątkę” oficerowi, a wtedy zmieni on względem nas swą taktykę.

Wydało się nam przez moment, iż żołnierz ten zakupił sobie z nas. Jakto? oficer, w tak kategoryczny sposób zapowiadający nam rozstrzelanie za nic nie znaczące wykroczenie, może być łapownikiem?

I zresztą, jakże mu mamy zaproponować ten „upominek”?

Wpadliśmy wreszcie na niezły pomysł: wydobyliśmy z naszych tłumoków pozostałe jeszcze przy nas pieniądze rosyjskie, a Zeltin znalazł u siebie orzełka rosyjskiego od czapki. Rozłożyliśmy te przedmioty przed sobą na stole i zaczęliśmy się przypatrywać im z wielkiem jakby zainteresowaniem. Na to wszedł niedługo ów „groźny” oficer i zaciekawiony rozłożonemi monetami i orzełkiem, zaczął przyglądać się tym „skarbowi”, jak sztubak. Ośmieleni tem, zaproponowaliśmy mu wzięcie tego, co mu się najbardziej podoba. On, prawdopodobnie sądząc, iż są to monety przedstawiające wartość, wybrał sobie pewną ich ilość, a także i orzełka z czapki dawnej Zeltina i podziękowawszy, wyszedł. Od tej chwili, postępowanie jego względem nas istotnie uległo nagłej zmianie na lepsze. Niezwłocznie dostaliśmy sutą i dobrą kolację. A potem, jak tylko mógł, okazywał nam swoją troskliwość i opiekę.

Tegoż jeszcze dnia, do sali, gdzie zajmowaliśmy jeden kąć, wszedł oddział uzbrojonych żołnierzy i rozlokował się w niej, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Odpocząwszy tu krótką chwilę, zajęli miejsca przy oknach i drzwiach od strony ulicy, a niektórzy z nich, wychodzili z bronią na zewnątrz budynku.

Jak się później okazało, było to wojsko pogotowia wojennego, gdyż w Bombay'u w tym czasie już wrzało, jak zresztą w całych Indjach. Tu się spodziewano większych rozruchów. I zapewne w tym wła-

śnie czasie w Bombay'u przebywał uwięziony Gandhi, złapany w drodze do Delhi, gdzie jechał, by powiadomić swój naród o jego obowiązkach.

Był on oczywiście prawie natychmiast po aresztowaniu zwolniony, w obawie, aby masowy protest ludności z tego powodu nie wprowadził jeszcze większego zamieszania i w tak dość kłopotliwe położenie władz. Wzmagający się z dnia na dzień ruch wyzwolńczy przeraził literalnie Anglików i wytrącił ich zupełnie z równowagi. Uczuli naraz usuwanie się gruntu pod nogami. Przekonali się już po kilku dniach, że nie jest to eksperyment religijnej ekstazy, zaszczerpionej przez Gandhi'ego. Nieprzejednana postawa wielomiljonowej ludności, uległych dotąd niewolników, uświadomiła władze angielskie o potęgze ruchu.

Postanowiły one ten ruch zdławić za wszelką cenę. Odpowiedziały nań strasznym terrorem. Wprowadzanym w życie przez Gandhi'ego zasadom miłości bliźniego przeciwstawiono bagnety i kulomioty.

Okrucieństwa te trwały parę tygodni. Pomimo wprowadzonej rewolucyjnej cenzury, wiadomości o nieludzkiem masakrowaniu bezbronnej ludności przedostawały się wszędzie. Centralny rząd angielski zdawał się być przerażony skutkami swych okrucieństw. Dla złagodzenia wrażenia, jakie mogło wywrzeć w opinii Europy, wyznaczono komisję do zbadania sprawy i jakoby w celu ukarania winnych. Sam lord Hunter objął przewodnictwo komisji. Nadano

pozory powagi jej prac. A w wyniku, nastąpiły, jak już powiedziałem, awansy dla krwawych generałów, w rodzaju Dyera, oraz nagrody i odznaczenia dla szarż niższych.

Ciężką tę próbę sił narodu hinduskiego, Gandhi nazwał jego chrztem.

„Musimy, powiada, być przygotowani nie na śmierć tysiąca niewinnych kobiet i dzieci, lecz na morderstwo wielu, wielu jeszcze tysięcy, zanim wzniosą się Indje na takie wyżyny, które nigdy przewyższone nie będą. Niechaj powieszenie każdy uważa za rzecz zwykłą w życiu. Kto się lęka śmierci, niegodzien jest służyć sprawie wolności. Śmierć nie jest złem; złem jest zbrodnia. A bez ofiar niema wybawienia“.

Nie żądał on także kary dla winnych zbrodni; wymagał jedynie ich usunięcia. „Niemożna, powiada, mieć żalu do warjata o jakąś krzywdę; należy go jedynie pozbawić na przyszłość możliwości szkodenia“.

Oto ogólny zarys wypadków ówczesnych w Indjach, które to wypadki pośrednio wpływały na takie, czy inne zarządzenia Anglików w stosunku licznych rzesz jeńców, między którymi znajdowała się i nasza grupa.

Gandhi, ten wielki wódz, niewątpliwie powstrzymał wtedy wybuch powstania, przygotowując naród do wystąpienia powszechnego, wyznaczonego na

dzień 1 sierpnia 1920 roku. Poniesioną porażkę przypisywał niedostatecznemu przygotowaniu się narodu. Dał mu rok czasu dla pracy nad sobą.

Następnego dnia przewieziono nas do innych koszar, w głębi jakiegoś podwórza i umieszczono na piętrze. I tu towarzyszył nam tenże sam sierżant, stale pijany i pod byle pretekstem, w bezczelny wprost sposób wyłudający od nas pieniądze, Zwłaszcza, gdy się przypadkowo dowiedział, że niektórzy z nas pieniądze posiadali, (jak nprz. Zeltin, któremu kiedyś zebrali przed jego wyjazdem większą sumę na kupno w Bombay'u ubrania).

Otóż Zeltin zwrócił się do sierżanta z prośbą, by sprowadził do niego krawca, któryby mu uszył ubranie na drogę. I inni skorzystali z tego, że sierżant wyjdzie na miasto (my byliśmy pozbawieni prawa wychodzenia), zaczęli sporządzać spis rzeczy, w które chcieliby się zaopatrzyć przed wyruszeniem w dalszą drogę.

To ujawnienie posiadanej gotówki wywołało zgół nieoczekiwany dla nas skutek.

Sierżant, w odpowiedzi na nasze prośby załatwienia sprawunków, zażądał od nas najbezczelniej, żebyśmy się podzielili z nim pieniędzmi, dowodząc, że rzeczy, o których kupienie prosimy, są nam zupełnie zbędne, a zwłaszcza ubranie Zeltinowi. W szczęśliwszem położeniu byli tylko ci, co nie mogli się rozmówić po angielsku. Nie zwracał się do nich wcale.



Ryc. 3.
Żołnierz Anglik, nazwiskiem Oks, o którym mowa
na str. 178, 180 — 181.

Nie zgodziliśmy się jednak na danie mu pieniędzy i czekaliśmy następnego dnia, na przyście krawca.

Jednak nietylko nie doczekaliśmy się krawca, ale mściwy sierżant kazał nam samym zmywać naczynie i sprzątać po jedzeniu, usuwając zupełnie dotychczasową usługę. Wobec takiego obrotu rzeczy, nie pozostawało nam nic innego, jak zgodzić się na łapówkę. Złożywszy się do spółki z Zeltinem, przyrzekliśmy mu 15 rupij pod warunkiem sprowadzenia krawca dla Zeltina, a dla mnie tłumacza, któryby przeczytał wręczony mi przez doktora w Nowgongu list do optyka w Bombay'u, (w sprawie zamiany okularów, o czem już wspominałem). Po wręczeniu mu łapówki zjawił się i krawiec i tłumacz.

Tłumacz, po przeczytaniu listu, wręczył go sierżantowi, polecając mu załatwić moją z okularami sprawę.

Otrzymawszy od nas pieniądze, sierżant upił się na wieczór, do utraty przytomności.

Następnego dnia był dla nas wielce uprzejmy; sprowadził dla mnie dorożkę (na mój koszt oczywiście), by jechać z nim do optyka. Przewornie zaprosiłem z sobą i Zeltina. Pojechaliliśmy.

W sklepie, bardzo eleganckim, na modłę europejską utrzymywanym, jak to tu w zwyczaju, przez Parsa, przyjęto nas nader uprzejmie; okulary zamieniono.

Gdym zamierzał wychodzić, obsługujący mnie subjekt przywołał do siebie sierżanta i pomówiszy

z nim na uboczu półgłosem, zażądał ode mnie dopłaty 15 rupij.

Zaprotestowałem przeciwko temu jawnemu szantażowi. Wzamian wybranych przeze mnie obecnie okularów, zostawiałem przecież przysłane mi do Nowgongu, za które należność była już uiszczona.

Słuszne moje stanowisko nie przekonywało wszakże kupca, będącego w zмовie z sierżantem. Wtedy, zniecierpliwiony, postanowiłem zrezygnować z zamiany i zażądałem zwrotu moich okularów, przyniesionych mu do zamiany. Na to otrzymałem odpowiedź, iż te szkła są również jego własnością i że mi ich nie zwróci. (Przyczem ta odpowiedź Parsa była poprzedzona porozumieniem się na migach ze stojącym tuż sierżantem).

Nie wytrzymałem. Powiedziałem Parsowi wręcz, że jest to zwyczajna grabież. Na to, sierżant podsłakuje do mnie i uderza mnie trzcina.

Niewiem, czemu się ta scena skończyła, gdyby nie Zeltin, który stanął pomiędzy mną a sierżantem i nie dopuścił mnie do rzucenia się na napastnika. Mogłem przecież nad sobą nie zapanować, a w rezultacie, złość swoją sierżant mógł spędzić na wszystkich moich współtowarzyszach.

Wyszliśmy z Zeltinem nie wzięwszy okularów nowych i pozostawiwszy w sklepie stare.

Sierżant, widząc, iż nie udało mu się jego plan z wyłudzeniem piętnastu rupij, wróciwszy z nami do koszar, pojechał znowu do optyka i okulary przy-

wiół. Doręczył mi je za pośrednictwem Zeltina, prosząc już tylko o 5 rupij.

Cóż miałem robić? Bez szkielek zostać było niepodobniestwem; musiałem zgodzić się.

Takiego oto „opiekuna“ mieliśmy przez cały czas naszego pobytu w Bombay'u i jemuż podobnych przez cały czas przebywania w rękach Anglików wogóle, poczynając od uwięzienia w Aschabadzie.

Ze wszystkich żołnierzy angielskich, którzy się przewinęli koło nas przez ten czas, odznaczających się nigdy nienasyconą chciwością, natrętnych, brutalnych, łapowników i przeważnie notorycznych pijaków, jeden, jedyny sierżant, przydzielony do pilnowania nas już na okręcie, w drodze do Kobi, stanowił wyjątek; był inteligentny, kulturalny, pamiętający o swoich względem nas obowiązkach i nawet uczuciowy. Zachowałem o nim jak najlepsze wspomnienia. (Wypadnie mi jeszcze wspomnieć o nim w następnym rozdziale).

Z lat studenckich i nawet późniejszych, znane mi były dobrze więzienia rosyjskie i stosunek tamtejszej żandarmerji do więźniów naprzykład politycznych. A żandarmi nie słynęli bynajmniej z „aksamitnych rączek“. Nigdy nie spotkałem się wszakże z tak jawnem, niczem nie krępowanem łapownictwem i z takim jak tu, traktowaniem więźniów, czy jeńców. Od pilnującej więźniów straży rosyjskiej można było spodziewać się raczej pomocy i współczucia, ale nigdy obdzierania ich z ostatniego grosza.

Może ten zwyczaj wprowadził obecnie bolszewizm, niewiem, ale ten dawniejszy, zniechęcony przez nas Polaków żandarm rosyjski, w porównaniu z przedstawicielami wyższej rzekomo rasy angielskiej, wyglądał jak niewinne jagnię, wobec drapieżnego zwierza.

Powoli, udzielał się i mnie wesoły nastrój moich współtowarzyszów, którzy, jak już wspomniałem, wyjechali z obozu w przeświadczeniu, iż są już zupełnie wolni. Pod wpływem ich dobrego humoru, pogłoska o tem, iż wiozą nas na stracenie zaczęła mi się wydawać coraz mniej prawdopodobną. Przemawiało za tem i to, iż nie było przy nas specjalnego konwoju; pijany sierżant był naszą jedyną władzą. Mógł on wprawdzie robić z nami wszystko, co mu się podobało, ale bądź co bądź, sam fakt, iż wysłano nas do Bombay'u bez eskorty był narazie najlepszym dla mnie argumentem, że nasza sprawa nie jest już może tak beznadziejna, jak poprzednio sądziłem.

XV.

Angielski statek „Dilvara“.

Po tygodniowym pobycie w Bombay'u, 24 kwietnia o godzinie 6 rano odwiezieni zostaliśmy autem do portu i tam rozmieszczeni na okręcie angielskim „Dilvara“. Tu nareszcie pozbyliśmy się „opieki“ sierżanta, pozostawiając go w Bombay'u.

Rozmieszczono nas w kajutach II klasy, po dwóch w jednej.

Zwróciło moją uwagę, że za nami, gdy wieziono nas na przystań, jechało ciężarowe auto, a na niem 9-ciu żołnierzy angielskich. Weszli oni na statek tuż za nami i zajęli kajuty przeciwległe naszym. Przeczulona wyobraźnia moja widziała w nich ukrytą eskortę. Ale obserwując dość uważnie zachowanie się żołnierzy nie dostrzegłem z ich strony najmniejszego zainteresowania się naszą obecnością. To mnie narazie uspokoiło zupełnie. Niebawem zaznajomiłem się z nimi i dowiedziałem się, że byli to żołnierze, powraca-

jący do swych rodzin, do Hong-Kongu, po odbyciu służby wojskowej.

Na statku nie krępowano nas w niczem. Korzyściliśmy ze wszystkich praw pasażerów II klasy.

Oprócz nas i żołnierzy jechało także drugą klasą, kilku Hindusów, oficerów armji indyjskiej, (stworzonej przez Anglików i imże podlegającej).

Przyglądałem się im z niemałą ciekawością. Pomimo pewnego wyróżnienia ich przez władze angielskie nadaniem im tych zaszczytnych, bądź co bądź, tytułów, niczem się oni nie różnili od swych, niższych rangą, współbraci, żołnierzy. Tak samo jak i tamci zdejmowali, w wolnych od służby chwilach, rynsztunek żołnierski i owijali się w swe narodowe chitony; tak samo jak i żołnierze spożywali jedzenie przyrządzone przez siebie samych. Niczem nie podkreślali swego stanowiska oficerów, jak to czynić zwykli oficerowie angielscy naprzykład.

Poza tem, dość oryginalną sylwetkę przedstawiał jakiś elegant hinduski, zapewne Pars, kupiec. Miał na sobie oryginalny, jedwabny strój, przyczem spodnie u dołu były obszyte koronką. Pulchny ten elegancik, woniejący niczem szafa w składzie perfumerji, z bogatemi pierścieniami na wydalikaconych dłoniach, wyglądał, jak modelka z żurnalu mód w najmodniejszej pijamie.

Zabawny był ten „elegant“ przy grze w szachy. Cieszył się jak dziecko, gdy udało mu się ograć kogo. Ale ograć w jego pojęciu tylko, ponieważ Hindusi ma-

ją odrębne prawidła gry w szachy. Nie znający szczegółów tych prawideł przegrywa łatwo. Gdy więc nieobeznany z owemi prawidłami partner przegrywał, roszkowny „elegant“ w jedwabnym stroju, z błyskawiczną szybkością chwycił z szachownicy figurę i uradowany, chował ją pod stół, szczerząc ku partnerowi swe perliste zęby. I ja należałem do tych kilkakrotnie ogranych przez niego partnerów. Z przyjemnością patrzyłem na tę jego prawie dziecięcą radość z powodu stałego wygrywania, ale byłem ciekaw, jakby się on zachował, gdyby tak zaczął naraz przegrywać. W tym celu nauczyłem się tych prawideł od jednego z jadących Hindusów i zasiadłem do gry znowu. „Elegant“, pewny wygrania i w tym wypadku, siadając do gry zaprosił na widzów kilku swych współrodaków. Jakież było jego zdziwienie, gdy naraz zaczął przegrywać partję za partją. Z roszkownego i wesołego stał się w jednej chwili zły i bez humoru; pod pretekstem nagłego bólu głowy przerwał dalszą grę i znikł w kajucie na kilka godzin. Od tego czasu nikt go przy szachach nie widział więcej.

Chętnie przebywałem w towarzystwie jednego z jadących z nami żołnierzy angielskich, mianowicie, z sierżantem, nazwiskiem **Findlay Smith**. Był to pierwszy żołnierz Anglik, którego mogłem wyróżnić z pośród reszty żołnierzy, za cały czas przebywania mego pod opieką angielską. Należał do ludzi bardzo sympatycznych, kulturalnych i inteligentnych. Grał przytem niezłe na fortepianie. Był zatem wyjątkiem wśród

całej rzeszy sierżantów pijaków, łapowników i brutalów, którzy sprawowali nad nami władzę.

Od niego dowiedziałem się, iż w kajutach pierwszej klasy jedzie siedem Rosjanek, siostr miłosierdzia, z frontu rosyjsko-tureckiego do Władywostoku, i że wiozą z sobą dwunastoletniego chłopca, Ormianina niejakiego Owanesa, sierotę, którego rodzice zostali jakoby zamordowani w okrutny sposób. Że pozatem jedzie jeszcze oficer armji rosyjskiej, Ormianin, nazwiskiem Agamaljanc, wieziony przez Anglików z Baku do Władywostoku.

Odzyskanie swobody, której, zdawało się, mogliśmy teraz być zupełnie pewni, kazało mi zapomnieć narazie o pogłoskach co do dalszego naszego losu.

Oddawaliśmy się chętnie wszelkim sportom na pokładzie statku lub spędzaliśmy czas na miłych pogawędkach o wszystkim i o niczem.

To cośmy przeżyli w ostatnich miesiącach, zdawało się minęło już bezpowrotnie.

Tymczasem, w kilka dni po wyruszeniu z Bombay'u, przykre zajście, jakie miało miejsce między dwoma towarzyszami z naszej grupy, mianowicie, między Fajermanem i Efendjewym, nagle znowu pogorszyło naszą sytuację. Nie dowiedzieliśmy się nigdy potem o co im poszło (a było to—podczas ich gry w karty), dość, że Fajerman rzucił się na Efendjewa i ugryzł go w nos, jakoby broniąc się przed napaścią Efendjewa. Powstał, rzecz jasna, straszny

krzyk; o awanturze tej dowiedziała się komenda statku. Sprowadzono lekarza dla nałożenia opatrunku na nos Efendjewa.

A w rezultacie, następnego dnia, u drzwi naszych kajut przystawiono uzbrojoną wartę. Rozporządzenie to wydał jadący I-szą klasą oficer angielski, którego obecności nie podejrzewaliśmy nawet.

A więc i ten oficer i żołnierze, jak się okazało, byli jednakże naszą eskortą. A że, użyto do tego celu żołnierzy powracających z wojska do domu, stało się to zapewne wskutek tego, że w Bombay'u nie chciano pozbywać się żołnierzy wojsk regularnych w okresie bardzo niespokojnym. Z jakichś nieznanym nam względów nie ujawniano dotąd istnienia eskorty. Dopiero to przykre zajście zmusiło oficera do przejawienia swej władzy i do nawrotu ku metodom, stosowanym względem nas w obozie.

Sytuacja nasza wobec reszty pasażerów stała się niezmiernie przykrą. Bo przecierz w oczach ogółu stanowiliśmy jeden zespół ludzi. A na podstawie tego ordynarnego zajścia byliśmy już traktowani wszyscy, jako podejrzana banda dzikusów czy opryszków. Konsekwencje więc dwóch niepoczytalnych ludzi ponosić musiała cała nasza grupa.

Nadomiar wszystkiego, sprawcy awantury zachowywali się w dalszym ciągu wyzywająco. Zwłaszcza Efendjew, który, to żądał zaprotokółowania zajścia, to się odgrażał Fajermanowi, to krzyczał wniebogłoty (z bólu jakoby), by zwrócić tem na siebie uwagę wszystkich. Fajerman zaś, nie tylko nie wyrażał żąd-

nej skruchy z powodu przez niego wywołanej awantury, lecz zachowywał się tak, jak gdyby to się jego nie tyczyło wcale.

Byłem w strachu, że może nastąpić powtórzenie awantury, a wtedy należało się już spodziewać jak najgorszych represyj w stosunku do nas wszystkich.

Narazie swobodę naszą ograniczono w ten sposób, że poza postawieniem warty u naszych drzwi, krępującej wszak nasze ruchy, zabroniono wychodzić na pokład podczas postojów okrętu.

Znowu wpadłem w okropny stan przygnębienia.

Pasażerowie, rzecz jasna, stronili od nas wszystkich po tej awanturze. Nie można się było temu dziwić. Jaką bowiem opinię mogła mieć nasza grupa, której członkowie w sprzeczce odgryzają sobie nosy? I to ludzie mający się za inteligentów, bo Efendjew mówił o sobie, iż jest studentem, a Fajerman uchodził za dziennikarza. A że wieźli nas z Rosji, więc w oczach ogółu byliśmy bolszewikami. Wiadomości zaś o okrucieństwach bolszewików przedostawały się wszak na szeroki świat, a zatem po awanturze, nikt już z pasażerów nie wątpił, iż faktycznie jesteśmy bolszewikami.

To też zdziwiony byłem niepomierne, gdy przyszedł odwiedzić nas ów oficer, Agamaljanc. Ponieważ pochodził on z Baku, które to miasto dobrze znałem, dowiedziałem się od niego różnych szczegółów o ostatnich tam wypadkach i na podstawie tych wiadomości mogłem zorientować się w panującej tam sytuacji.

Opowiadał również i o szturmie Turków, ale niestety tak chaotycznie, że nic wyrozumieć nie mogłem z jego opowiadania. W jakim charakterze był wieziony przez Anglików do Władywostoku nie zwierzał się.

27 kwietnia, przed południem, zaczęliśmy się zbliżać ku jakimś piaszczystem brzegiem z widniejącymi w dali lasami. Około godz. 2 po południu stanęliśmy w porcie Kolombo.

Znajdowaliśmy się więc w krainie herbaty, mianowicie na Cejlonie. Wyspa ta, jak okiem sięgnąć, tonie w zieleni. Na rejdzie rojno od statków. Między nimi krąży łodzię motorowe i zwyczajne, z pasażerami i bagażem.

Przystań usiana mrowiem ludzkim, zajętem ładowaniem na okręty herbaty, kawy i kokosów, w które to produkty obfituje ta piękna wyspa. Ztąd też wysyła się w szeroki świat niemało i rzadkich okazów pereł, wydobywanych na zachodnim i południowym brzegach oceanu.

O zwiedzeniu przez nas miasta nie mogło być mowy; znajdowaliśmy się znowu w położeniu więźniów. Przyglądaliśmy się tedy zdaleka ruchowi, panującemu w porcie i na przystani.

Zwrócił moją uwagę okręt z rosyjskim napisem „Saratow“. Okazało się, był to statek t. zw. floty dobrowolnej, z uciekinierami z Odesy. Między nimi był generał armji rosyjskiej, jadący do Kołczaka, do Władywostoku.

Przed odejściem naszego statku, część pasażer-

rów z „Saratowa“ przesiada się na „Dilvarę“. My w tym czasie otrzymujemy rozkaz opuszczenia pokładu i przejścia do kajut II klasy. Staraż nie opuszcza nas ani na jedną chwilę.

Koło godziny 1-iej w południe, siedząc w kajutach, słyszymy warkot śrób parowca. A więc opuszczamy Kolombo.

Podczas obiadu dowiadujemy się, że przybyło do nas kilku nowych pasażerów, mianowicie: kupiec — Żyd z rodziną, nazwiskiem M. Friedman i jego przyjaciel. Uciekinierzy z Petersburga. Uciekali przez Moskwę i Kijów, a stamtąd do Odesy, skąd wyjechali okrętem „floty dobrowolnej“.

Wyjechali z zamiarem przedostania się do Władywostoku. W Kolombo musieli przenieść na „Dilvarę“, ponieważ „Saratow“ z Kolombo wracał zpowrotem do Odesy. Z wielkim jednak trudem dostali się jakoby na „Dilvarę“. Ilość bowiem wolnych miejsc była ograniczona. Poza nimi przeniosło się na „Dilvarę“ jeszcze kilka osób. Reszta pasażerów „Saratowa“ pozostała w Kolombo oczekiwać następnej okazji wyjazdu do Władywostoku. Wielu z nich znajdowało się w rozpaczliwym położeniu. Bo siadając na na okręt w Odesie, opłacili oni dość wysoki koszt podróży do samego Władywostoku (około 30.000 rb. od osoby), oddając na ten cel być może resztę zapasów swej gotówki. Tymczasem czekanie w Kolombo na następny statek, którego przybycie nie mogło być ściśle określone, pociągało zgoła nieprzewidziane nowe wydatki.

Od Agamaljanca, który zaczął nas odwiedzać coraz częściej i nawet obdarzać nas cygarami i tytoniem, dowiedzieliśmy się, że z „Saratowa“ przesiadł się na „Dilvarę“ generał armji rosyjskiej, Karcew. I że jakoby zainteresował się nami i naszym losem. I istotnie, jak gdyby dla podkreślenia tego zainteresowania się, przysłał on nam zaraz trochę francuskich i rosyjskich książek do czytania.

Znowu słaba iskierka nadziei zatliła się w naszych sercach, a zwłaszcza w mojem, ponieważ nazwisko generała nie było mi obcem, poznałem go kiedyś w Tyflisie. Sądziłem bowiem, że stanie on w naszej obronie, jako swoich współobywateli.

W naszym więc nastroju były ciągle „przyplawy“ i „odplawy“. To pogrążyliśmy się w rozpacz, to znowu żyliśmy jakąś nadzieją.

Gdy w jakiś czas po wyruszeniu statku z portu, pozwolono nam wyjść na pokład, wpadłem w stan słodkiego dolce far niente, zapominając o przeżyciach i o tem, w jakim charakterze znajduję się na tym statku. Siedziałem w wygodnym, składanem, krześle, kupionem do spółki z Gładilsczykowym na przystani w Bombay'u (za ostatnie prawie pieniądze). Oglądając go u sprzedawcy, zastanawialiśmy się wówczas, czy możemy sobie pozwolić na taki luksus, przechodzący istotnie naszą możność płatniczą. Teraz jednakże nie żałowaliśmy tego. Na pokładzie bowiem nie było na czem usiąść. Korzystaliśmy więc z tego sprzętu, jak przystało na spółników, na zmianę.

Siedząc tak, napawałem się ślicznym widokiem,

jaki się przed nami rostaczał. Płynęliśmy wzdłuż brzegów Cejlonu. U podnóża skalistych gór, widniejących daleko, na horyzoncie, rozpościerały się palmowe lasy, a na ich tle, tuż nad brzegiem oceanu, widniały gdzieś niegdzie białe plamy budynków. Piękna pogoda podnosiła urok wszystkiego, co był w stanie ogarnąć rozmodlony wzrok.

Sypianie w kajutach ze względu na upał było prawie niemożliwym. Przeniosłem się tedy z pościelą na pokład. Za materac służyła mi derka. Przywykłem już do wszelakich niewygód w tej tułaczce do tego stopnia, że sypialnie bez materaca nie uważałem już za niewygodne. I nawet straszliwy stuk trybów parowca nie budził mnie ze snu na pokładzie.

Płynęliśmy tak wciąż na wschód.

Poza sportem, czytaniem i kilkakrotnym dziennie spożywaniem posiłków, zapełnialiśmy wlokące się dni także i praniem własnej bielizny. Nie bardzo uchodziło to być może robić pasażerom II klasy; musieliśmy się jednak zająć tą czynnością, ponieważ z naszej władzy nikt się o to nie zatroszczył.

Pewnego dnia odwiedził nas nareszcie i generał Karczew. Szczegółowo rozpytywał o naszym aresztowaniu i notował nazwiska. Gdy się zwrócił do mnie, przypomniał sobie naszą znajomość w Tyflisie z przed 30-tu laty, gdzie spotykaliśmy się u wspólnych naszych znajomych pp. S. Wyraził współczucie i obiecał poczynić starania w mojej sprawie. Zastrzegł się, że o ile wogóle będzie mógł coś uczynić w tej sprawie,

to dopiero we Władywostoku, gdy przejdziemy w ręce władz rosyjskich.

Ja, widząc z jego strony pewne niedowierzenie temu, com mu opowiadał o swoim areszcie i nie będąc pewnym, czy zechce on mi wszakże dopomóc, prosiłem go tylko o powiadomienie mej rodziny w Baku, po jego powrocie do Rosji i o rozesłanie wzmianki do pism o tem, że mnie spotkał w drodze do Władywostoku i w jakich warunkach.

Doradził nam wszakże złożyć na jego ręce odpowiednie zeznania na piśmie.

4 maja zawinęliśmy do portu w Singaporze. Małe i jedyne to miasto na wysepce tejże nazwy, bo liczące zaledwie około 200.000 mieszkańców, jest wszakoż centrum handlowem pomiędzy Indjami a Chinami. W porcie panuje niezwykle ożywienie. Duża ilość statków i łodzi. Żadnych ciekawszych spostrzeżeń nie mogłem poczynić, gdyż statek nasz, nabrawszy tu węgla, popłynął dalej nie zatrzymując się na dłużej.

XVI.

Przybycie do Hong - Kongu.

9 maja nie pozwolono nam po śniadaniu wychodzić z kajut na pokład. Przez iluminatory tedy zauważyliśmy ład, ku którego brzegom zbliżał się nasz statek. Wkrótce zobaczyliśmy rozsiadłe na brzegu, amfiteatrem, miasto. Był to Hong - Kong.

Widocznem było, iż przybycia naszego statku oczekiwano z niecierpliwością. Przystań była usiana mrowiem ludzkim. Nie mogła ona pomieścić wszystkich, życzących być bliżej statku; przyległy do przystani brzeg był również obleżony przez tłum. Setki różnokolorowych chusteczek powiewało na znak powitania we wzniesionych w górę rękach oczekującej na przystani i na brzegu publiczności. Zdaleka, sprawiało to wrażenie spłoszonego stada mew, trzepoczącego skrzydłami. Stojący na pokładzie pasażerowie odpowiadali zapewne na powitanie w tenże sam sposób, lecz myśmy tego widzieć nie mogli.

Zaledwie zdążono przyholować statek do portu i przyłożono doń drabinę, wszedł na statek przedstawiciel policji. I zapewne na skutek wydanego przezeń rozkazu, konwojująca nas straż kazała nam natychmiast wychodzić z kajut. Tak przytem naglono, że nie wszyscy z nas zdążyli zabrać z sobą ubożuchny swój bogaż. Fajerman naprzykład, nie zdążył wziąć z sobą literalnie nic. Ja natomiast, każdego dnia będąc przygotowanym na wszelkie możliwe niespodzianki, szczęśliwie mając rzeczy jak zwykle spakowane, zabrałem wszystko.

Popędzono nas z wielkim pośpiechem, nie bacząc na panujący na przystani i na brzegu, ścisk.

Szliśmy w stronę miasta.

Niezwykle piękne położenie miasta i oryginalne jego rozplanowanie pochłonęło całą moją uwagę. Nie zastanawiałem się, gdzie nas prowadzą.

Położone, jak większość zresztą nadbrzeżnych miast chińskich, na zboczu niemal prostopadłego skalistego wysokiego brzegu, tworzyło oryginalny amfiteatr. Ulice leżą poziomo jedna nad drugą, jak gdyby stopnie schodów. Środkiem tego niezwykłego amfiteatru, pionowo, przechodzi kolej elektryczna, przecinając wszystkie ulice wpoprzek. Zatrzymując się przytem na każdej z nich, łączy je z sobą komunikacyjnie. (Niezależnie jednak od tego, ulice połączone są z sobą zapomocą pięknych i bogatych schodków).

Wspinając się coraz wyżej, a zatem wgłąb miasta, mijaliśmy coraz to ładniejsze domy, piękne wille, otulone mnóstwem ukwieconych drzew. Nie na-

potkaliśmy po drodze żadnego budynku, któryby przypominał koszary. Można więc było przypuszczać, że zostaniemy umieszczeni w jakimś hotelu, albo w ostateczności, w gmachu wojskowym. Gdy wtem, stanęliśmy przed bramą jakiegoś wysokiego muru.

Po krótkiej chwili bramę otworzono i znaleźliśmy się w podwórzu więziennem. Czekał tu już na nas oficer, który po szybkim załatwieniu formalności, dał rozkaz rozmieszczenia nas w celach więziennych, na I piętrze.

Mnie, (dzięki generałowi Karcewowi zapewne) umieszczono w oddzielnej celi i nawet nie zamykano na klucz. Wszelako świadomość, że jestem oto znowu więźniem, w dodatku angielskiej wciąż jeszcze władzy, przyprawiała o rozpacz. Po tysiącokroć wolałbym wtedy więzienie rosyjskie. Nie byłoby tam może tyle wyrafinowania w znęcaniu się nad nami. Bo czyż nie była wyrafinowaniem ta nagła zmiana naszej sytuacji: z pasażerów II klasy (aczkolwiek i pod eskortą) na zwyczajnych więźniów?

Jedzenie dostawaliśmy tu okropne; herbata i kakao bez cukru, obiad bez soli, chleb czerstwy, tak, że tylko głód zmuszał nas do jedzenia tego, co w normalnych warunkach było nie do pomyslenia zbliżyć do ust.

Nadomiar wszystkiego, z nastaniem zmroku niemiłosiernie cięły nas moskity.

Pieniądzy ani ja, ani moi towarzysze nie mieliśmy prawie. Chcąc choć w jakikolwiek sposób ulżyć nieco ogólnej naszej doli, postanowiłem sprzedać podarow-

wany mi przez Sinickiego model statku. Zakomunikowałem o tem przy najbliższej sposobności oficerowi. Zainteresował się on modelem i chcąc rzekomo dopomóc mi w uzyskaniu większej zań sumy, zaproponował puszczenie w loteryję. Przrzekł nawet zająć się tem osobiście i zostawiwszy mi tytułem zadatku 10 dolarów, model zabrał. (Według oceny rzeczoznawców, przedstawiał on wartość stu dolarów).

Bardzo się ucieszyłem z tego obrotu rzeczy i z otrzymanej narazie sumy, którą natychmiast użyłem na kupno dla całej naszej grupy cukru, mydła, tytoniu i t. p. niezbędnych artykułów. Uwierzyłem w swej naiwności w życzliwość przedstawiciela angielskiej władzy, choć w tym jedynym przypadku. Nie przypuszczałem bowiem, że poza otrzymanym „zadatkem“ nietylko nie otrzymam należnej mi reszty pieniędzy, lecz, iż oficer ten nie będzie uważał za właściwe zwrócić mi moją własność. A tak właśnie się stało, niestety. Nie zobaczyłem już więcej ani modelu, ani pieniędzy.

Nie będąc zamknięty w mojej celi, miałem możliwość spacerowania wzdłuż kurytarza na całym piętrze. Nie należało to jednak do przyjemności. A to z tego powodu, że wszystkie cele zamiast drzwi miały kraty, przez które mimowoli widziało się wszystkie zamkniętych tu nieszczęśliwców. Swojem spacerowaniem drażniło się więźniów i własne nerwy narażało się na nowe tortury, na widok wynędzniałych postaci ludzkich, siedzących na podłodze w grobowem milczeniu. A milczenie panowało we wszyst-

kich celach wprost przerażające. Bo i jakżeż mogli rozmawiać pomiędzy sobą więźniowie, widząc przez kratę stale pilnujących ich dozorców i co chwila zagląających do cel? Ani przez jedną chwilę w ciągu całej doby nie byli pozostawieni w swych celach samym sobie. Siedzieli na oczach straży, jak dzikie zwierzęta za kratami w zoologicznym ogrodzie.

Drugim ciekawym szczegółem dziwnych porządków tego przybytku udręczeń było urządzenie tapczanów do spania. Polegało ono na tem, że na dzień deski tapczanu podnosiło się i stawiało się w pozycji pionowej; przyczem zamykało się jeszcze na kłódkę, by więzień w godzinach nie przeznaczonych na wypoczynak, nie mógł korzystać z tapczanu. Było to okrucieństwo nie mniejsze od wyżej opisanego. Nie dość było, że więźniowie byli pozbawieni swobody; odbierano im jeszcze możność swobodnego zachowywania się w celach. Przecież w tych warunkach, życie więźniów, skazanych na pobyt tu na dłuższy przeciąg czasu, było nieustanną męką. Większość z nich dochodzić musiała do obłędu.

A niektórzy więźniowie, za karę, byli naprzykład pozbawiani prawa sypiania w nocy; wyznaczano im pewne określone godziny sypiania w dzień. Uważano widocznie, iż więzień musi zasnąć, skoro tego sobie życzy władza. W nocy zaś, ci biedacy siedzieli na podłodze i rozmyślali nad swoim losem.

Grobową ciszę, panującą w tem więzieniu we dnie i w nocy, przerywało jedynie ciężkie stąpanie wartownika, miarowemi krokami mierzącego długość kurytarza.

Jedynem urozmaiceniem życia więźniów była praca w kuchni i sprzątanie. Usługi więziennej nie było wcale. Pełnienie tych czynności należało do samych więźniów (oczywiście tych, których wyznaczała do tego władza więzienna). Po jedzeniu każdy z więźniów musiał chodzić sam, (do kuchni, znajdującej się na dole).

Czystość panowała w całym więzieniu wzorowa, jak zresztą we wszystkich lokalach, gdzie gospodarzą Anglicy. To muszę podkreślić.

Pewnego dnia ujrzałem w swem oknie przyjaźnie uśmiechającą się do mnie twarz Chińczyka. Zdziwiony tem niepomiernie (gdyż cela moja znajdowała się na I piętrze), podszedłem do okna zobaczyć w jakim celu i którędy on się tu dostał. Zobaczyłem go siedzącego na rusztowaniu z długich tyczek bambusowych i malującego mury więzienia. Opodal stał na ziemi drugi Chińczyk, stawiający dopiero także bambusowe rusztowanie, na którym siedział już jego towarzysz.

Patrzyłem i nie wierzyłem swoim oczom. Jakto? Więc zamiast ciężkich rusztowań, belek, desek, bez użycia młotków i gwoździ, stawiają cienkie tyki bambusowe i powiązawszy je jakimś łykiem, oraz połączwszy je cienkimi prętami zastępującymi stopnie drabiny, będą wykonywali roboty malarskie? Na tych oto rusztowaniach, podobnych raczej do zabawek dziecinnych, aniżeli do akcesoryj malarskich?

Z nadzwyczajną zrećnością i pośpiechem usta-

wiano te rusztowania i w półgodziny dosięgło ono dachu. Nie użyto przytem żadnego narzędzia ciesielskiego, czy innego. Całe zaś rusztowanie zostało przyniesione i następnie odniesione zpowrotem przez samychże malarzy i bez żadnego z ich strony wysiłku.

Przyglądałem się tej robocie i pomysłowości wschodniej z niekłamanym podziwem. I mimowoli porównywałem z robotami tegoż rodzaju w Europie.

Jakaż ogromna różnica w sposobie wykonania tejże samej roboty na Zachodzie i na Wschodzie!

Okna mej celi wychodziły na ulicę. To też prześadywałem przeważnie przy oknie. Wiedziałem już, o której godzinie wracają z biur funkcjonariusze, o której należy spodziewać się wrzaskliwego głosu chłopca - gazeciarza. Ten ostatni wyczekiwany był przeze mnie z wielką niecierpliwością: wykrzykiwał zwykle głośno ważniejsze wydarzenia dnia. Mogłem więc choć trochę orjentować się w wypadkach, jakie zachodziły wówczas na szerokim świecie. Razu jednego usłyszałem, jak biegnąc ulicą wykrzykiwał „War, War”. Pragnąłem w jakiś sposób zwrócić na siebie uwagę chłopca i chociaż na migi dowiedzieć się o tem „War”, ale się bałem zaglądnącego w celę wartownika od strony kurytarza. Na szczęście chłopiec zauważył mnie w oknie i w odpowiedzi na moje milczące pytanie uniósł stos gazet w górę; przeczytałem wydrukowaną grubemi czcionkami wiadomość w języku angielskim: „Wojna z Afganistanem”.

A więc była to wojna Anglii z Afganistanem. Za-

czynało być zatem w Azji niespokojnie. Wojna światowa obudziła nareszcie i narody azjatyckie.

Cała moja sympatja była po stronie Afganistanu. Tego dzielnego narodu, który pomimo ciągłych nastawiań Anglików, Rosjan a nawet Niemców, wytrwał i nie dał się podporządkować obcym wpływom.

Po jedenastu dniach pobytu naszego w owem niezwykłym więzieniu, mianowicie 20 maja, kazano nam spakować się i być gotowymi do dalszej drogi. Jakoż o godzinie 3 po poł. wyprowadzono nas pod silną, jak przedtem, eskortą w stronę przystani.

Przed wyjściem prosiłem żołnierza o zwrócenie się w mojem imieniu do oficera z prośbą o zwrot modelu statku. W odpowiedzi otrzymałem stereotypowe „all right”, ale modelu jednak mi nie zwrócono.

W oczekiwaniu przybycia konwojującego nas oficera i motorowej łodzi, która miała nas odwieźć w nieznanym nam kierunku, staliśmy na przystani i prażyliśmy się tak na słońcu, z dobrą godzinę.

Rozglądając się wokoło, zauważyłem żołnierza, który nam był doradził w Bombay'u „udobruchać” upominkiem owego wygrażającego nam oficera. Stał w pewnej od nas odległości i życzliwie spoglądał w naszą stronę. Obok niego znajdował się jakiś bagaż, zapewne powierzony mu do pilnowania. Na solidnym, obitym skórą kufrze podróżnym widniał napis: „Lietenant Newton”. Domyśliłem się, że bagaż ten należy do oficera, któremu od dziś mieliśmy podlegać.

Być może był to potomek sławnego Newtona?

Podpłynęła wreszcie motorówka; zaczęliśmy się na niej rozlokowywać. Zajęliśmy miejsca przeznaczone dla pasażerów. Żołnierze obok nas. Na przedzie łodzi — jej obsługa, Chińczycy (zajęci przyrządzaniem swego skomplikowanego obiadu, na prymitywnej żelaznej kuchence).

Nadszedł i lejtenant Newton.

Zobaczywszy nas, siedzących na pasażerskich fotelach, spędził z nich i kazał rozlokować się obok Chińczyków. Biedni Chińczycy zmuszeni byli przerwać gotowanie swej strawy, by ustąpić nam trochę miejsca.

Staliśmy tu stłoczeni w kupę, niczem stado posłusznych owiec. Przedstawiciele zaś „rasy wyższej”, nasza straż z Newtonem na czele, rozsiedli się w wygodnych fotelach.

Zapanowało grobowe milczenie.

Łódź poszybowała wzdłuż przystani. Minęliśmy miasto i wypłynęliśmy na zatokę. Dokąd jedziemy nie wiedzieliśmy. Żadnych okrętów nie widzieliśmy w pobliżu, ani też przed sobą. Wypłynęliśmy wreszcie i na szerokie morze, a przed sobą wciąż nic poza wodą nie widzimy. Zrodziło się więc podejrzenie, czy nie wiozą nas na jaką odludną wyspę? Wszystkiego przecież mogliśmy się spodziewać po tem wszystkim, cośmy już przeżyli. Po jakimś czasie jednakże, zauważyliśmy stojący na kotwicy w pełnym morzu statek, ku któremu zaczęliśmy się właśnie zbliżać. Widniał na nim napis rosyjski „Indigirka”.

Podpłynęliśmy doń i przeszliśmy na pokład statku. Tu, z rozkazu Newtona zajęliśmy miejsca w kajutach II klasy. (Ja z Zeltinem w jednej kajucie). Żołnierze — w kajutach naprzeciwko. Nie było to specjalną uprzejmością w stosunku do nas. Bynajmniej. Było to poprostu koniecznością ze względu na żołnierzy angielskich, którzy, zdaniem ich władzy nie mogą jechać razem z ludnością tubulczą. Dzięki temu właśnie i myśmy korzystali z praw (względnych co prawda) pasażerów II klasy, zarówno teraz, jak i w drodze do Hong-Kongu.

Tu dowiedzieliśmy się, że na Indigirce znajdują się już wszyscy pasażerowie z Dilvary, którzy mieli jechać, również jak i my, do Władywostoku. Że między Hong-Kongiem a Władywostokiem kursowało bardzo niewiele statków, wtem i Indigirka. I że dlatego ci pasażerowie musieli czekać, jak i my, w Hong-Kongu. Z tą tylko różnicą, że my w więzieniu, a oni na wolności.

Zaraz po naszym przybyciu weszli do nas jacyś cywile, jak domyśliłem się, należący do komendy statku i przywitawszy nas po rosyjsku, zapytali, czy jest nam tu wygodnie. Narazie szczerze ucieszyłem się, iż znajdujemy się na okręcie rosyjskim. Sądziłem bowiem, że Anglicy, ze względu może na obcą im komendę statku, będą krępowali się być w stosunku do nas w dalszym ciągu brutalnymi.

Ale jak się później przekonałem, ta okoliczność nie wpłynęła bynajmniej na zmianę stosunku do nas. Brak zaś ładu i porządku na „Indigirce” oraz straszli-

we brudy, jakie tam panowały, mimowoli nasuwały porównanie z idealną czystością okrętów angielskich.

Statek ten należał również, jak i „Saratow”, do floty t. zw. „dobrowolnej” i kursował pomiędzy Odesą a Władywostokiem. Przez parę tylko miesięcy był unieruchomiony przez Anglików, którzy, podejrzewając jego załogę o bolszewizm, aresztowali statek w jednym z portów na Dalekim Wschodzie. Po przeprowadzeniu jednak śledztwa, zwrócili go komendze rosyjskiej.

Był to już bardzo stary okręt. Całe urządzenie jego, pomimo świeżo dokonanego remontu, świadczyło, iż pamięta on jeszcze wojnę chińską. I pomimo remontu, panował na nim typowo rosyjski porządek. Podłogi i schody były zaśmiecone, niezaschnięta jeszcze farba czepiała się ubrań i obuwia. Stoły nigdy, zda się, nie ścierane, podłogi — nigdy nie zamiatane. W umywalniach i klozetach ani kropli wody. Fetor w tych ubikacjach przyprawiający o mdłości. Dodajmy do tego jeszcze zapach schnącej farby i potu ludzkiego, a będziemy mieli pełne wyobrażenie o warunkach, w jakich przebywali pasażerowie tego okrętu. Mogli wprawdzie oddychać świeżem powietrzem na pokładzie. My zaś i tego byliśmy pozbawieni teraz. Nie zważając na upał, zniewoleni byliśmy pozostawać w swych kajutach.

Wolno nam było jedynie spacerować na dolnym pokładzie, łączącym nasze kajuty poprzez kurytarz z kajutami mechanika i reszty załogi statku.

Kapitan i jego pomocnicy oraz mechanik byli

Rosjanie (reszta obsługi — Chińczycy). To też bliskie sąsiedztwo z mechanikiem łatwo nas z nim zbliżyło. Każdą wolną chwilę spędzał on na pogawędkach z nami. Od niego dowiedzieliśmy się później, iż wśród pasażerów krąży pogłoski o tem, że Anglicy wiozą nas do Władywostoku, jako wielkich przestępców i że tam mają nas oddać w ręce władzy rosyjskiej. Pomimo szczerego opowiedzenia przez nas mechanikowi całej niezwykłej historii naszego aresztowania, czuliśmy, iż nie wierzy on w jej prawdziwość, aczkolwiek słuchając nie zaprzeczał niczemu (przez grzeczność). Nie można było się temu dziwić zresztą. Bo i jakżeż można było przekonać kogokolwiek, iż Anglicy aresztowali właśnie niewinnych ludzi, a następnie zgodnie ze swą zasadą: „doprowadzić pomyłkę do końca”, wieźli nas pod eskortą na przestrzeni dwudziestu tysięcy kilometrów.

W pojęciu zatem otoczenia, los nasz był już zgóry przesadzony. I żeby przygotować do tego, co nas miało oczekiwać we Władywostoku, opowiadano o tem, co się tam działo w tym czasie. A więc: Kołczak prowadzi wojnę z bolszewikami, grasującymi w okolicach; że regularnych wojsk rosyjskich i stałej władzy niema; że miasto zajęte jest przez międzynarodowy desant, i że główną rolę odegrywają tam Czesi; że bolszewików rozstrzeliwują bez żadnego sądu, znęcając się nad nimi przytem strasznie.

Krew w żyłach mroziły nam te i podobne opowiadania mechanika oraz jego towarzyszków, zważywszy na pogłoski o zamiarze wydania nas władzy

władywostockiej. A pogłoski, przypuszczać należało, musiały być oparte na jakichś danych chyba, a nie fantazji czyjejs jedyne.

Nie mogłem wyobrazić sobie tego momentu, gdy staniemy wreszcie przed tą władzą. Jak zdołamy przekonać ją, iż cała nasza wina wobec tych, którzy nas aresztowali, polegała na tem, że w czasie pobytu Anglików w Aschabadzie znajdowaliśmy się również w tem mieście? Że bez żadnego udowodnienia nam jakiegokolwiek przewiny, zostaliśmy przez nich aresztowani i następnie wywiezieni?

Jeżeli opowiadania o panującym we Władywostoku chaosie zawierały choć część prawdy, to czyż można było spodziewać się sprawiedliwego sądu tam nad nami?

A gdy nadomiar wszystkiego generał Karcew odmówił ponownego widzenia się w naszej sprawie z Gładilsczykowym, co należało rozumieć jako odmowę wszelkiej w tej sprawie interwencji jego i gdy następnie zabroniono nam wdawać się w rozmowy z mechanikiem, wpadliśmy w zupełną rozpacz. Nie mieliśmy już żadnej iskiereki nadziei na uratowanie się.

Najwięcej zdenerwowania okazywał Zeltin. Jako były oficer podlegał on sądowi wojennemu i to go przerażało najbardziej. W przeciągu paru dni schudł, szcerniał; tylko zapadnięte głęboko oczy błyszczały gorączkowo. Po nocach nie sypiał i mnie spać nie dawał. Jego straszny stan zdenerwowania pozbawiał i mnie również panowania nad sobą. Nerwy dochodziły do najwyższego napięcia.

Próbowałem nawiązać na ten temat rozmowę z Amagaljancem, odwiedzającym nas w dalszym ciągu i na Indigirce. Łudziłem się jeszcze nadzieją, że być może on dopomoże nam w czemkolwiek we Władywostoku. Tymczasem, z jego opowiadań wywnioskować mogłem jedynie, że jako Ormianin, jest on podejrzewany przez Anglików o sympatję dla bolszewików. A zatem obawiać się on może o swój los więcej, aniżeli my. Po jednej z takich rozmów, do późnej nocy chodził on nerwowymi krokami po pokładzie statku lub zatrzymywał się nad burtą; zanurzał wzrok w perlącą się koło śrób pianę wody i powtarzał jakby o swoich myśli: „jak mnie ciągnie morze. Trudno się powstrzymać, by nie skoczyć w objęcia tej pięknej piany morskiej”.

Współtowarzysze moi uważali mnie za znajdujacego się w szczęśliwszem niż oni, położeniu. Przypuszczali bowiem, że władze władywostockie, z uwagi bodaj na mój wiek, nie uwierzą w gołosłowne obwinienie mnie przez Anglików o sympatyzowanie z bolszewizmem i tem samem sądzić mnie będą łagodniej. Poza tem i ta okoliczność, że generał Karcew znał mnie jeszcze z Tyflisu przemawiała niby zatem, iż zechce mi on w czemkolwiek dopomóc wszakże. Byli oni świadkami, jak życzliwie zachował się on w stosunku do mnie, jak szczegółowo wypytywał o aresztowaniu, aczkolwiek zastrzegął się, iż nie jest on obecnie u władzy, a zatem nie jest w stanie nic uczynić narazie.

Ja osobiście nie pokładałem nadziei na pomoc

z tej właśnie strony. W czasach, gdy każdy myślał o własnym bezpieczeństwie tylko, trudno mi było przypuścić, żeby generał Karcew właśnie pamiętał o moim losie we Władywostoku.

Z dnia na dzień czuliśmy się coraz to gorzej na Indigirce. Traktowano nas, jako tych zapewne, którym pozostało kilka zaledwie dni życia. Nie liczone się z nami zupełnie; jedzenie stawało się coraz gorsze; nikt nie interesował się ani naszym zdrowiem, ani stanem sanitarnym naszych kajut, jak to miało wszakże miejsce na „Dilvarze“. Skarżyć się nie mieliśmy przed kim. Nawet, gdy pewnej nocy podczas strasznej burzy i kołysania kilku z nas chorowało, nikt nie przyszedł dowiedzieć się, jak się czujemy.

Nie zatroszczono się co prawda i o zdrowie warty, która chorowała ciężiej, niż my. Leżała ona wymiotująca pod naszymi drzwiami.

Kiedyś się dusili bez powietrza w kajutach i prosiliśmy naprzykład o zezwolenie na otwarcie iluminatorów, to otrzymywaliśmy odpowiedź, że tego powietrza, jakie mamy, wystarczy nam w zupełności. Jak gdyby chciano podkreślić, że i tem powietrzem oddychamy ostatnie już dni.

Ciężki nastrój potęgował się jeszcze i nagłą zmianą powietrza. Jechaliśmy teraz na północo-wschód. Zaczął dąć zimny wiatr i wzmogło się kołysanie. Stawało się ono coraz bardziej dotkliwszem. Wyczerpaniu duchowemu towarzyszyło i wyczerpanie fizyczne.

Podczas jednej z takich burzliwych nocy, mianowicie 22 maja, zmarł nagle jeden z majtków, Chiń-

czyk, tak, że nawet lekarz nie był w stanie określić przyczyny tak nagłego zgonu. Przypuszczano, iż nastąpiło to wskutek ogólnego wycieńczenia, plus trwającej parę dni choroby morskiej.

Ale byli i tacy, którzy podejrzewali tu dżumę. I to było zapewne powodem, że nikt z załogi nie przyszedł oddać ostatniej posługi umarłemu i nikt nie zatroszczył się o ceremonję pogrzebu, jak to jest w zwyczaju na wszystkich okrętach w podobnych wypadkach.

Jakieby jednak nie były tego powody, niezmiernie było przykro patrzeć na leżące samotnie zwłoki na tapczanie.

Nie mogąc spać tej nocy (z dnia 23 na 24) z powodu silnego rozdrażnienia Zeltina i mego też, oraz z powodu panującej duszności w kajucie, wyszedłem na dolny pokład i zostałem mimowolnym świadkiem pogrzebu owego Chińczyka, czem zajął się był właśnie jeden z jego b. kolegów, majtków.

Siedziałem tak przy zmarłym i czekałem, aż przyjdzie ktoś może z jego bodajby towarzyszków najbliższych. Przyszedł wreszcie jeden z Chińczyków. Owinął ciało w białe płótno, a następnie zaszył w brezent. Robił to przytem tak starannie, jak gdyby w obawie, aby przez jakąś szczelinę nie dostał się nawet owad. Robota ta trwała parę godzin. Gdy wreszcie skończył i gdy sprawdził czy wszędzie wykończona jest porządnie, złożył zwłoki na deskę i przechylił jeden jej koniec ku wodzie, przywiązawszy uprzednio ciężary do brezentu.

Ciało z wolna posuwało się wdół i wkrótce znikło w zbałwanionych falach...

Następnego dnia, t. j. 24 maja, także nagle, zmarł jeszcze jeden Chińczyk. I tak samo, jak i jego poprzednik, został pogrzebion bez żadnej ceremonji i bez asysty kogokolwiek bądź z załogi statku. Po tym wypadku zapanowała wprost panika. Większość pasażerów była przekonana, iż były to wypadki dżumy.

I zapewne na skutek tego, lejtenant Newton zarządził przegląd swoich żołnierzy i nas, więźniów. Kazano nam powynosić swoją pościel na pokład i ustawić się w szeregu, obok żołnierzy.

Po zlustrowaniu żołnierzy, ich broni i ubrania, Newton zbliżył się do nas. Spodziewaliśmy się, że zainteresuje się on tem, jak się tu czujemy, czy nie dzieje się nam jaka krzywda ze strony obsługi okrętu, czy z uwagi na znaczne obniżenie się temperatury nie mielibyśmy doń prośby o dodatkowe koce bodaj, jeżeli już nie o cieplejsze ubrania (a zwłaszcza Fajerman, który, jak już wspomniałem, wszystkie swe rzeczy pozostawił na „Dilvarze”).

Poza tem przypuszczałem, że i o moim modelu statku, przywłaszczonym przez więziennego oficera, wspomni mimochodem, w odpowiedzi na złożony mu na piśmie raport w tej sprawie. Tymczasem, w przeglądzie swym ograniczył się do sprawdzenia, czy wszyscy jesteśmy ogoleni i czy obuwie wyczyszczone. O moim modelu ani słowa.

Wogóle z każdym dniem coraz bardziej dawano nam odczuć ciężką naszą sytuację więźniów i to więźniów wiezionych przed oblicze srogiej władzy, na sąd. Już tylko dziesięć dni dzieliło nas od ostatecznego rozstrzygnięcia losu, o ile to miało nastąpić we Władywostoku. Ale nie wiedzieliśmy przecież, co nas oczekuje jeszcze w Kobi. I dlatego ostatnia doba spędzona na okręcie przed przybyciem do Kobi, była dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla Zeltina, niewypowiedzianie ciężką.

27 maja o godzinie 9 rano statek nasz zarzucił kotwicę w porcie Kobi. Wywołano nas na pokład, gdzie zastaliśmy już przedstawicieli policji japońskiej, przybyłej tu do sprawdzenia dokumentów jadących pasażerów.

Zauważyłem przytem jakiś popłoch na pokładzie; służba biegała tam i zpowrotem, jak gdyby kogoś szukając. Jak się potem okazało, szukano Agamaljanca. Nie znaleziono go nigdzie, pomimo dokładnego przetrząśnięcia wszystkich kryjówek całego okrętu. Stwierdzono tylko, że chodził on do późna w nocy po pokładzie, i że wykazywał duże zdenerwowanie. Wszystko więc wskazywało na to, iż szukają go napróżno; że musiał on wpaść do morza. Ja zaś, przypominając ostatnią z nim rozmowę, nabierałem przekonania, że nie mógł on dłużej powstrzymać się, „by się nie rzucić w objęcia nęcącej go piany morskiej”, wobec zbliżającego się terminu strasznej nad nim rozprawy władzy rosyjskiej, co według jego mniemania nastąpić musiało bezwzględnie. Tak bo-

wiem wynikało z oświetlenia jego sprawy przez Anglików.

Wolał więc zginąć w spienionych nurtach wody, niż od kuli obojętnego żołdaka.

Tajemnicze to zaginięcie w nocy pasażera wywarło na wszystkich przygnębiające wrażenie.

Japończyk wręczył nam kwestjonariusze dla wypełnienia odpowiednich rubryk o narodowości, wieku i t. p. oraz o tem, w jakim charakterze znajdujemy się na Indigirce. Niezależnie od tego, rozpoczął szczegółowe badanie nas ustnie. Przyczem rozmowa toczyła się w języku rosyjskim.

Badanie to nie pozbawione było paru charakterystycznych momentów, dlatego pozwolę je sobie przytoczyć. Mianowicie, gdy na zapytanie o mojej narodowości odpowiedziałem „Polak“, jeden ze współtowarzyszów, Panfiłow zrobił uwagę, że to oznacza to samo, co Rosjanin. I gdy ja zaprotestowałem, Japończyk, z właściwym tej rasie taktem i spokojem odrzekł Panfiłowowi: „nie, to nie jest wszystko jedno, pan się myli“. Gdy pokrótce opowiedziałem mu swoje dzieje, zapytałem go, komu mam przyjemność dawać owe zeznania; na co otrzymałem odpowiedź, iż jest agentem policyjnym.

Obecny przy indagacji oficer angielski, nie rozumiejący zapewne naszej rozmowy, na migach dał nam znać, byśmy zaprzestali dawać dalsze zeznania Japończykowi i najwidoczniej zaniepokojony naszymi odpowiedziami, których nie rozumiał, pośpiesznie wyszedł. Po chwili jednak wrócił, ale już w towarzy-

stwie generała Karcewa. Japończyk zaś w dalszym ciągu prowadził badanie. Wtedy generał Karcew zwraca się do Japończyka z zapytaniem, w języku rosyjskim, na jakiej zasadzie przeprowadza badanie pasażerów i więźniów, których wiozą pod konwojem znajdujące się w sojuszu dwa mocarstwa (?!). Na to Japończyk odpowiedział, z łagodnym uśmiechem na ustach, w języku angielskim, iż tego wymaga japońskie prawo. Generał Karcew czyni uwagę, że skoro zwrócił się on do Japończyka w języku rosyjskim i skoro Japończyk tym językiem włada, dlaczego odpowiada mu po angielsku? A Japończyk na to, znowu po angielsku: „pan zrozumiał moją odpowiedź, a oto tylko chodzi przecież“.

W tym krótkim dialogu przedstawiciele rywalizujących z sobą na Wschodzie dwóch państw, odzwierciadliła się w całej swej nagości wzajemna niechęć do siebie tych narodów.

Na tem badanie skończyło się. Poproszono Japończyka do I klasy, gdzie miano mu przedstawić dowody i dać objaśnienia, dotyczące wszystkich pasażerów. Nie chciano prowadzić dalszej z nim rozmowy na ten temat wobec nas. My zaś zostaliśmy natychmiast odprowadzeni do swych kajut.

Wychodzić z kajut wolno nam było tylko do ogólnej sali na dole.

Chętnie korzystaliśmy z tego, ponieważ było tam trochę więcej powietrza, niż w ciasnych kajutach.

I tu, w tej właśnie sali, byliśmy świadkami bezwstydного okradania Japończyków, handlujących

różnemi towarami, przez konwojujących nas żołnierzy angielskich. Odbywało się to w ten sposób:

wysyłano na brzeg dwunastoletniego chłopca, Owanesa (Ormianina, kórego wiozły pod swoją opieką siostry miłosierdzia), aby przyprowadził na statek wędrownego kupca, Japończyka. Gdy kupiec się zjawiał, rozpoczynało się oglądanie towarów (przeważnie jedwabów). Paru żołnierzy, dla odwrócenia uwagi kupca, wybierało sobie jakiś drobiazg i kupowało, a reszta żołnierzy, stojąc za plecami kupca, wyciągała mu całe sztuki jedwabiu i zręcznie chowała, oddając z rąk do rąk stojącym tuż towarzyszom.

Podczas trzydniowego postoju w Kobi „manipulacje” żołnierzy powtarzały się codziennie. Ale właśnie trzeciego dnia jeden z kupców, kóremu wykradziono w ten sposób całą zawartość jednego z koszów, przydźwiganych na statek wespół z żoną, zauważył tę kradzież. Zwłaszcza, że jednemu z żołnierzy wypadła z rąk niezdarnie trzymana sztuka jedwabiu, której nie zdążył być schować.

Japończyk zebrał wszystkie swoje pudełka z towarami i pośpiesznie wybiegł. Po kwadransie powrócił w towarzystwie policjanta. Ten skierował się odrazu do jednej z kajut, gdzie byli żołnierze. Ale w drzwiach zatrzymał go żołnierz z najeżonym bagnetem i wewnątrz nie wpuścił. Policjant stał długo bezradnie, nie wiedząc co ma począć w tej sytuacji. Wiedział bowiem, że z władzą wojskową będzie mu niełatwo walczyć. (Być może miał już w tem

doświadczenie. Nie po raz pierwszy zapewne byli okradani na okrętach angielskich i rosyjskich kupcy japońscy). Zrezygnował wreszcie z dochodzenia i interwencji i postawszy jeszcze jakąś chwilę, wyszedł, nie wskazawszy nic.

29 maja przed południem opuściliśmy Kobi.

Mijaliśmy malownicze wybrzeża wysp japońskich i tysiące łodzi rybackich, upiękuszonych, jak i większość statków japońskich, znakiem koniczyny.

Następnego dnia o godzinie 10 rano zatrzymaliśmy się w Modzi, dla nabrania 1200 tonn węgla.

Miasto to, położone jest amfiteatrem na samym brzegu morza, jak wiele innych miast japońskich. Ruch panujący w mieście i na przystani przypomina również inne nadmorskie miasta japońskie. Z pokładu widać liczne fabryki cementu, mieszczące się tuż nad zatoką. Ładowanie węgla odbywało się, jak mogłem zaobserwować, bez użycia lewarów, prymitywnym sposobem, ale bardzo zręcznie, przez dość znaczną ilość ludzi (w tem duży procent kobiet), mianowicie, małemi koszykami, spuszczanemi w dolną część okrętu specjalnie urządzonego drewnianem korytem. Poczem koszyki te były odnoszone z powrotem na górę.

Od Modzi do Władywostoku pozostało nam już tylko trzy dni drogi. Czyli trzy dni okropnych męczarni duchowych.

Na szczęście mieliśmy trochę książek, które przyniosła nam jadąca pierwszą klasą kobieta-lekarz, pani Korolow. Do późnej nocy chciwie prze-

czytywałem jedną za drugą, byle tylko nie myśleć o tem, co nas czeka we Władywostoku.

Najbliższy mój współtowarzysz, Zeltin, z którym byliśmy w jednej kajucie, nie panował nad swojemi nerwami; miotał się, jak drapieżne zwierzę w klatce. Chwilami płakał. Nie starałem go się uspokajać, bo czułem, że gdy przemówię, nerwy moje odmówią mi posłuszeństwa również.

2 czerwca zacząłem pakować swoje rzeczy. Współtowarzysze uczynili to samo. Wręczyliśmy sobie adresy swych rodzin, na wypadek, gdybyśmy mieli zginać we Władywostoku nie wszyscy naraz.

Nadeszła wreszcie ostatnia noc, spędzana na statku. Jedna z najstraszniejszych chyba ze wszystkich za cały czas tułaczki...

O świcie następnego dnia zarysował się na horyzoncie ład. Zbliżaliśmy się do Władywostoku.

O godzinie 6 rano statek zarzucił kotwicę.

Po śniadaniu spakowaliśmy pościel i czekamy. W południe przybył na statek lekarz, celem sprawdzenia, czy niema chorych. Poczem weszło do nas kilku oficerów rosyjskich i żołnierzy. Zrewidowali dość powierzchownie nasze rzeczy i wyprowadzili na pokład, a stamtąd na motorówkę i na brzeg.

Pomimo, iż w jak najgorszym świetle przedstawiałem sobie najbliższą przyszłość, cieszyłem się z pozbycia się przynajmniej opieki angielskiej i przejścia w ręce Rosjan.

Z przystani odwieziono nas autem do zarządu

tu zw. „Kontroli Wojennej”. Tu oczekiwaliśmy ze dwie godziny, poczem weszło kilku młodziutkich oficerów i rozdzieliwszy nas wszystkich pomiędzy siebie, rozpoczęły indagacje. Mnie zabrano na górę i indagację powierzono jakiemuś wyższej rangi oficerowi i jak mogłem wywnioskować ze sposobu prowadzenia przezeń indagacji, człowiekowi z wyższym wykształceniem. Trzeba było znowu opowiadać, po raz niewiem już który, każdy szczegół aresztowania i wywiezienia. (A nie miało się przecież pewności, że szczerzej tej spowiedzi dawano wiary).

Skończywszy indagację, oficer podał mi rękę i prosił przejść nadół do kancelarji i tam poczekać na rezolucję naczelnika „Wojennej Kontroli”. Otucha wstąpiła we mnie. Sposób bowiem prowadzenia indagacji nie zapowiadał nic groźnego. Zszedłem tedy do kancelarji pełen już wiary w szybkie uwolnienie.

W międzyczasie zaś, gdy byłem na górze, do siedzących na dole moich współtowarzysów wyszedł „naczelnik” i oświadczył, że wszyscy będziemy natychmiast odprowadzeni do więzienia, a tam „razbieriom” (zobaczmy).

O godzinie 5 po południu, głodnych, zmęczonych, odesłano nas do więzienia. Widocznie zeznania nasze nie zgadzały się z angielskimi o nas relacjami.

Byliśmy bezradni. Musieliśmy się pogodzić z rzeczywistością.

Koszyk mój z całym skarbem, jakim zostałem obdarowany przez jeńców w Achmed-Nagarze, zostawiłem na opiece stróżów kancelarji i zabrawszy z so-

ba pościel oraz zmianę bielizny, wyruszyłem z resztą moich towarzyszków do więzienia.

Szliśmy środkiem ulic, otoczeni konwojem i gromadą gapiów. Uchodziliśmy najwidoczniej za schwytanych bolszewików. Robiliśmy sensację swoim przemarszem.

Więzienie znajdowało się daleko za miastem. Musieliśmy odpoczywać w drodze kilka razy, nim dowlekliśmy się do jego murów.

Tu znowu poddani zostaliśmy rewizji, przyczem odebrano nam nietylko pieniądze, ale i co „cenniejsze” przedmioty, jak lusterka, naprzykład.

Więzienie to, jako ostatni etap przed Sachalinem, było przepełnione i to przestępcami najrozmaitszych kategorii. Był to jedyny punkt we Wschodniej Syberji, gdzie znajdowali się razem więźniowie polityczni i kryminalni.

O wolne miejsca w niem było bardzo trudno. Robiła w tym kierunku, co tylko mogła, śmierć jedynie. Grasujący tyfus lub od czasu do czasu rozstrzelanie kilku osób dawało do rozporządzenia władzy więziennej kilka wolnych miejsc.

Z ciemnego kurytarza wionoło na nas znowu aż nadto dobrze nam znane, stęchłe powietrze więzienne.

Po dokonaniu rewizji wpisano nas do księgi. A zatem należało przypuszczać, iż przysłani tu jesteśmy na czas dłuższy.

Podczas trwania tej procedury zauważyłem, że dwóch dozorców więziennych mówi jakimś dziwnym

Imię i nazwisko	Stan	Adres	
Józef Babula	wysocki	Kozłowa Babula	Galicja
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Kateryna Gomaradzka	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Antonina Gomaradzka	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	Polska
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	
Jan Gomaradzki	"	Wydwanowca n. Kozłowa	

Ryc. 4.

Spis jeńców Polaków, przebywających w obozie Achmednagarskim, doreczony przez p. Sledzińskiego Ministerstwu Spraw Zagranicznych w Warszawie w r. 1919, przechowywany przez autora podczas pobytu w niewoli w obcasie trzewika.

akcentem, i że w mowie płaczą im się jakgdyby polskie, zniekształcone słowa. Zapytałem skąd są rodem. Na co otrzymałem odpowiedź, że jeden pochodzi z guberni Kieleckiej, a drugi — z Łodzi. Nie pamiętali już oni języka ojczystego (a może tylko udawali, iż zapomnieli go zupełnie) i nie odczuwali tęsknoty za krajem. Łodzianina widziałem potem parę razy w kaplicy więziennej (prawosławnej) w roli zakrystjana.

Wydano nam następnie brudne sienniki, z zmienianą w nich, od paru lat zapewne, słomą i kazało iść do przeznaczonych nam cel, na czwarte piętro.

Z trudem dowlokłem się, z tym siennikiem oraz moją poduszką i kocem, na drugie piętro. Postanowiłem zostawić siennik tu i iść do celi bez niego. Wolałem spać na gołych deskach, niż dźwigać dalej ten ciężar. Dozorca jednak pod groźbą kary zmusił mnie nieść go dalej.

Nie było rady. Upadając ze zmęczenia, dociągnąłem na czwarte piętro. W kurytarzu rozłączono nas i poprowadzono każdego do innej celi. Ja znalazłem się w małej celi, gdzie leżał już na tapczanie jakiś więzień. Drugiego tapczanu nie było. Wciągnąłem tedy swój siennik, rozłożyłem go pod ścianą, przykryłem pledem i przewyciężywszy wstręt do tego niewypowiedzianie brudnego sprzętu, wyciągnąłem się na nim. Nie żałowałem już teraz, że go przywlokł.

Aczkolwiek nie byłem usposobiony wtedy do rozmowy, wypadło przecież przemówić do swego

nowego współtowarzysza. Zacząłem więc od stereotypowych pytań: jak długo tu siedzi i jakie zwyczaje panują w tem więzieniu. (Nie dotykałem oczywiście kwestji drażliwej: za co siedzi).

Towarzysz mój spragniony był widać rozmowy, bo chętnie opowiedział historję swego aresztowania. Okazało się, iż siedział tu od tygodnia dopiero, jako podejrzany o bolszewizm. Należał on do ostatniej partji zesłańców politycznych z Warszawy na Syberję, socjal - demokratów, skąd uciekł był do Władystoku, pod przybranem nazwiskiem. Osiadł tu na stałe i zamieszkał u wdowy po zabitym na wojnie oficerze rosyjskim.

I nicby mu nie zagrażało, gdyż rewolucja 1917 r. dała przecież amnestję wszystkim politycznym przestępcom. Niepotrzebnie tylko zdradził się z tem, iż mieszka tu pod przybranem nazwiskiem. Kobieta wygadała się niechcący przed kimś zaufanym i w rezultacie aresztowano go i wpakowano do więzienia, jako bolszewika.

(Charakterystyczny to szczegół, dla odzwierciedlenia chaosu, jaki panował wówczas we Władystoku i na całym Dalekim Wschodzie wogóle).

Słuchając wynurzeń mego nowego kamrata upewniałem się coraz bardziej, że i tu znowu natrafiłem na rodaka i to królewia w dodatku. I rzeczywiście okazało się, iż był to rodowity warszawiak, Majewski.

Opowiadania jego o ogólnej sytuacji we Władystoku i o chaosie, jaki tam wówczas panował oraz

o stosunkach więziennych i niemal codziennych egzekucjach, dokonywanych pod murami cmentarza, tuż za więzieniem, nie wróżyły nic dobrego. Wszystko to potwierdzało raczej lansowaną w obozie jeszcze pogłoskę, iż we Władystoku właśnie zakończą się smutnym epilogiem ciężkie przeżycia nasze. Tegoż jeszcze dnia ujrzeliśmy z Majewskim przez okno celi grupę ludzi, prowadzonych okólną drogą, poza murami więzienia pod ogrodzenie cmentarza, rozpościerającego się w oddali przed naszymi oknami i po chwili staliśmy się mimowolnymi świadkami stracenia tych kilku ludzi.

Scena ta, rzecz jasna, musiała podziałać na mnie przygnębiająco. Nie wydawało mi się już teraz możliwem uratowanie się. Nawet zakomunikowanie mi przez Majewskiego wiadomości o istnieniu we Władystoku Komitetu Polskiego nie pocieszyło mnie bynajmniej. Nie wyobrażałem sobie bowiem, żeby instytucja ta, przy najlepszych nawet z jej strony chęciach, mogła mieć jakikolwiek wpływ na taką, czy inną decyzję w mojej sprawie, władz sądowych rosyjskich. Nie wiedziałem zresztą kto stoi na czele Komitetu a doświadczenie nauczyło mnie, że w takich wypadkach instytucje społeczne są ciężkie. Zwłaszcza, gdy chodzi o nieznaną im bliżej osobę. (I jak później mogłem stwierdzić, miałem pod tym względem zupełną słusność; Komitet ów potraktował mnie jako włóczęgę jakiegoś, intruza, który niepotrzebnie zakłócił spokój i przerwał słodką drzemkę Komitetu).

Po długim namyśle, postanowiłem jednakże rozpocząć starania o przyspieszenie rozpatrzenia sprawy. I uczynić to niezwłocznie, przez złożenie odpowiedniego memorjału do „Wojennej Kontroli”, czyli t. zw. „Kontrrazwiedki” i na wszelki wypadek i do Komitetu Polskiego. Przyszedłem do przekonania, że na tle ogólnego przygnębienia i rezygnacji sterroryzowanych więźniów, złożenie takiego memorjału zwróci być może na mnie uwagę władz sądowych i w ten sposób da się albo uwolnić się zupełnie, albo skrócić męczarnie przez przyspieszenie rozstrzelania. Nad ludzkie siły było dalsze męczące wyczekiwanie nieuniknionej zdawało się egzekucji. Niczem przecież nie ryzykowałem więcej, jak tylko życiem własnem. Był to ostatni rozpaczliwy wysiłek tonącego.

Na drugi dzień po przybyciu do więzienia z konieczności zapoznałem się z jego stanem sanitarnym, a zwłaszcza z kuchnią (dokąd mieliśmy chodzić po obiady i kolacje) i z umywalnią. Ubikacje te były rozsacznikami wszelkich chorób, a przede wszystkim tyfusu brzuszego. Panował tam brud i zła woń, trudne do opisania. Zwłaszcza, że umywalnia i klozety mieściły się w jednej i tej samej ubikacji.

Po śniadaniu otrzymałem legitymację więzienną. W rubryce kategorii przestępstwa było wpisane: „obwiniajetsia w bolszewizm” (oskarżany o bolszewizm). A więc była to „atestacja” Anglików.

Na popołudnie tegoż dnia zapowiedziano przyjazd do więzienia prokuratora Izby sądowej w Irkucku, w celu dokonania oględzin więzienia.

Po wizycie tej nie można było oczywiście spodziewać się czegoś, coby wpłynęło na zmianę losu więźniów. Był to przede wszystkim człowiek przyjezdny, gość miejscowych władz sądowych, które chciały go zaznajomić zapewne z samym gmachem więziennym. A następnie i konwenans nie pozwoliłby mu może na wtrącanie się w sprawy podlegające miejscowej władzy sądowej. Postanowiłem wszakże skorzystać z tej wizyty obcego prokuratora i zwrócić się do niego bezpośrednio z prośbą o interwencję w mojej sprawie.

Tak też i uczyniłem.

Na kilka minut przed jego przybyciem na nasze piętro, otworzono drzwi wszystkich cel naosierz. Gdy usłyszałem odgłosy kroków, zbliżających się w kierunku mojej celi, czatowałem już w drzwiach. Prokurator szedł w asyście kilku jeszcze urzędników. Nie myśląc o następstwach, jakie może pociągnąć za sobą moje wystąpienie, zatrzymałem go mijającego moją celę i w krótkich słowach opowiedziałem mu o aresztowaniu i prosiłem o oddanie mnie w ręce, niechby najśrodszej, ale prawdziwej władzy sądowej, orientującej się w sprawach politycznych.

Prokurator, wysłuchawszy mego opowiadania, odpowiedział mi na to, że ja znajduję się obecnie w rękach władz wojskowych. A że on jest prokuratorem sądu cywilnego. Że może mi tylko obiecać interwencję w tej sprawie, a mianowicie, że zakomunikuje o tem miejscowemu prokuratorowi i przyspieszy rozpatrzenie sprawy.

Był to już wielki krok naprzód w mojej sytuacji. I za poradą tegoż prokuratora, następnego dnia przesłałem za pośrednictwem władzy więziennej, pismo, szczegółowo wyjaśniające moje położenie, na ręce miejscowego prokuratora. W piśmie tem powołałem się na cały szereg osób, które mnie znały z mojej pracy i działalności w Rosji, a które przypadkowo mogły przecierz znajdować się w tym czasie na Dalekim Wschodzie, lub też mogły być znane komuś z miejscowych władz.

Kiedym powracał do swojej celi po rozmowie z prokuratorem, usłyszałem nagle wydobywające się z czeluści ciemnego kurytarza wołanie, najwyraźniej skierowane do mnie; jakiś słumiony głos łamaną ruszczyzną i na sposób rosyjski wołał: „Mieczysław Antonowicz“.

Stanałem zdumiony, nasłuchując, skąd dochodzi to wołanie; zrobiłem kilka kroków wzdłuż kurytarza, w nadziei natrafienia pomimo ciemności na jakiś cień ludzki. Usłyszałem ponowne wołanie, ale nie widziałem nikogo. Dozorca zaś, zobaczywszy mnie spacerującego po kurytarzu, kazał mi natychmiast powrócić do celi.

Tak i nie dowiedziałem się niczego. Byłem wszakże tem mocno zaintrygowany. I uradowany zarazem, ponieważ dawało mi nową nadzieję na odnalezienie tym sposobem nici, łączących mnie ze światem. Bo nie było wszak wykluczonem, iż wśród licznych rzesz uciekinierów z Rosji centralnej, mogło się znaleźć tu kilku moich znajomych.

Gdy tak snułem projekty na najbliższą przyszłość, którą widziałem w swej wyobraźni w jaśniejszych już nieco, niż dawniej, barwach, pokrzepiany jeszcze na duchu i przez mego obecnego współtowarzysza, Majewskiego, uczułem nagle dreszcze na całym ciele. I kiedy uprzytomniłem sobie stan sanitarny więzienia, stanęło przede mną widmo tyfusu. Opanował mnie niewypowiedziany lęk. Czyż nie byłoby to ironją losu zginąć od tyfusu teraz właśnie, gdy zaświtała słaba nadzieja na uratowanie się?

Nie mając ciepłego ubrania, ani ciepłej bielizny, otuliłem się jak mogłem, pledem i położyłem się. I żeby się rozgrzać, nie pogardziłem tym razem cuchnącą ciecżą, zwaną tu herbata, którą właśnie przyniesiono.

Za oknami bębnił padający od dwóch dni deszcz i świstał zimny wiatr, nic sobie nie robiąc z tego, że był to dopiero czerwiec. Prześiąknięte wilgocią mury napełniały celę piwnicznym chłodem. Newralgia moja dawała mi się teraz we znaki w najokropniejszy sposób.

Nazajutrz newralgia przeszła, a z nią i obawa tyfusu. Wypuszczono nas na spacer. Wszystkich więźniów naraz. I tu dopiero dowiedziałem się, kto był owym tajemniczym znajomym, wołającym mnie wczoraj w ciemnościach kurytarza. Był nim Tatarzyn z Baku, robotnik, który kiedyś pracował u mnie przy robotach wodociągowych i kanalizacyjnych. A jego brat był lokajem mego przyjaciela, doktora Płoszki. Znał więc mnie on bardzo dobrze i ucieszył się jak

dziecko, kiedy mnie zobaczył. Nie mógł tylko w żaden sposób zrozumieć, jak ja się tu dostałem. Ciągłe powtarzał: „Aj, jajaj, aj, jajaj, kak można, aj, jajaj”. Na moje pytanie, jak on się tu dostał, odpowiedział, zwracając się do mnie per „ty”, jak to jest w zwyczaju u Tatarów: „co ja będę przed tobą, powiada, skrywał; ja bolszewik był”. Dzieje zaś przedostania się jego do Władywostoku były dość skomplikowane. Mianowicie: Z Baku, przez Astrachan, jechał on do swojej rodziny, zamieszkałej w gub. Kazańskiej. Do Astrachania dojechał bez żadnych przeszkód. A z Astrachania ruszyć już dalej nie mógł, ponieważ miasto zajęte było wówczas przez bolszewików i komunikacja kolejowa w stronę Kazania była na usługach li tylko oddziałów wojskowych bolszewickich. Zaciągnął się on wtedy do tych oddziałów i z nimi dojechał był do jakiejś tam stacji, a stamtąd w nocy zwiął. Ponieważ do Kazania dostać się nie mógł, bo by go poznano i groziłaby mu niewątpliwie kara, postanowił jechać w stronę Władywostoku. Tak też i zrobił. Przyczepiał się „fuksem” na różnych stacjach do różnych pociągów i wkońcu dojechał w ten sposób do samego Władywostoku. Tu początkowo pracował jako robotnik na przystani, a uzbierawszy trochę grosza, zaczął handlować już na targu. I byłby tak siedział niepostrzeżenie w tem mieście, gdyby nie zła wola jakiegoś niegodziwca, który poznawszy w nim osobnika, noszącego na sobie w Astrachaniu mundur bolszewicki, wydał go władzom władywostockim, jako niebezpiecznego bolszewika. A że ten nie posia-

dał żadnego dowodu osobistego, przeto niczem literalnie nie mógł się bronić.

„Cóż będzie z tobą”, zapytałem. — „A cóż, powiada, albo ucieknę, albo rozstrzelają. Uciec może się i uda; inni przecież uciekają. Ciebie mi tylko żal, powiada”.

Przez parę następnych dni widywałem się jeszcze z tym poczciwym człeczyną. Potem znikł mi z oczu zupełnie. I nie mogłem się już dowiedzieć, czy zbiegł, czy też mówiąc językiem rewolucyjnym został „zlikwidowany”.

Wezwano mnie któregoś dnia do kancelarii więziennej dla złożenia dodatkowych zeznań przed delegowanym w tym celu młodziutkim porucznikiem (praporczykiem). Stało się to, jak przypuszczałem, na skutek złożonego przeze mnie memorjału. Ze sposobu prowadzenia przezeń indagacji wyczułem, iż nie orientuje się on zupełnie w kwestjach politycznych. Przypuszczenie moje potwierdziło się, gdy zapytałem go, czy interesował się kiedy zagadnieniami polityki. Odpowiedział bowiem wręcz, że nigdy się temi sprawami nie interesował i nie orientuje się w nich zupełnie. Funkcje zaś sędziego śledczego, jakie obecnie pełni, rozumie w ten sposób, iż do niego należy obowiązek notowania tego tylko, co mówi oskarżony. „A o rozstrzygnięciu sprawy niech się troszczy kto inny, powiada”.

(Przeważnie w rękach takich młodziutkich oficerów spoczywało naówczas prowadzenie śledztwa we

Władystoku. Działo się to zapewne z powodu braku odpowiednio wykwalifikowanych sił prawniczych).

Z dawnymi współtowarzyszami widywałem się tylko na spacerach. Nie wiem dlaczego, ale im wszystkim się zdawało, że ja mogę liczyć jeszcze na zwolnienie i ciągle mnie tem pocieszali. Sądzieli, że mogłoby to nastąpić na skutek starań Komitetu Polskiego z jednej strony i generała Karcewa — z drugiej. Słuszne, czy nie słuszne, przypuszczenia te były jednak bardzo pocieszającymi dla mnie. Przyrzekłem nawet swoją pomoc w uwolnieniu ich wszystkich, gdyby mi się udało istotnie wydostać się z więzienia. Prosił o to zwłaszcza Fajerman. On, jako Żyd, nie mógł tu liczyć na żadną pomoc oficjalną. I bał się tego okropnie, że jako posądzony o współpracę z bolszewikami, nie będzie w stanie obronić się.

Ja zaś osobiście nie wierzyłem zupełnie w uwolnienie mnie, aczkolwiek zrobiłem wszystko, co tylko było możliwym w tych warunkach zrobić więźniowi, aby sprawę ruszyć z miejsca. Nie wierzyłem i dlatego jeszcze, że w swoich memorjałach bynajmniej nie prosiłem nikogo o uwolnienie; domagałem się jedynie w dość stanowczy sposób oddania mnie w ręce władz sądowych, i o ile możliwe, o przyspieszenie tego. Mogłem więc liczyć tylko na zadośćuczynienie memu żądaniu śpiesznego rozpatrzenia sprawy, a wynik sądu mógł być przecież i niepomyślny dla mnie.

Tem więc większą niespodzianką dla mnie było, gdy jedenastoego czerwca zostałem wezwany znowu do

kancelarii więziennej, gdzie oświadczone mi, iż „Wojeńska Kontrola” postanowiła zwolnić mnie pod warunkiem, o ile Polski Komitet Narodowy weźmie mnie na porękę. Kazano spakować się i pod konwojem odesłano mnie do Komitetu Polskiego.

Gdym opuszczał mury więzienne, nie wierzyłem jeszcze swemu szczęściu. Bałem się, że w ostatniej chwili zawrócą mnie zpowrotem do celi. Dopiero na ulicy uczułem przedsmak wolności.

Ani ja, ani konwojujący mnie żołnierz nie wiedzieliśmy, gdzie jest siedziba Komitetu Polskiego. Informowaliśmy się u przechodniów, którzy bardzo często dawali nam mylne informacje. To też długo błądziliśmy po mieście nim dotarliśmy do celu.

Deszcz lał jak z cebra. Przemokłem do nitki w swem letniem ubraniu, które było dobre na klimat indyjski, a nie na chłody władystockie. Drżałem jak liść osiki. Wyglądałem niczem uratowany przed chwilą topielec.

Stanałem wreszcie w kancelarii Komitetu. Za mną konwoj, z księgą „do pokwitowania z odbioru” przysłanego więźnia.

Zameldowałem się urzędnikowi, panu L. Zmierzył on obojętnym wzrokiem stojące przed nim zmoknięte indywidualum i wycedziwszy „proszę zaczekać”, wyszedł. Po chwili wrócił w towarzystwie młodego, eleganckiego jegomościa, typowego „kandydata na dyplomatę”. Ten, zmrużywszy oczy i wystawiwszy prawą nogę naprzód, jak do skoku, zaczął mi się

przyglądać podejrzliwie. Od czasu do czasu targał nakrochmaloną chusteczkę, wystającą z bocznej kieszonki marynarki. Do tej operetkowej postawy brakowało tylko monokla.

Za poważna to była dla mnie chwila w życiu, że bym mógł parsknąć mu w oczy śmiechem. Czekałem co będzie. Nareszcie, gdy milcząc zlustrował już dobrze moją osobę, odezwał się w tak nieprzyjemny sposób i takim protekcyjnym tonem, że naprawdę zmieszałem się w pierwszej chwili. A gdy ochłonąwszy nieco opowiedziałem mu o swoich przejściach, i że aresztowany zostałem w Aschabadzie, groźnym tonem zapytał: „a co pan tam robił w Aschabadzie? POCO żeś tam pan jeździł?”

Krew uderzyła mi do głowy. Zamiast przyjąć mnie natychmiast pod opiekę i rozmówić się na cztery oczy, ów przedstawiciel nowopowstałego państwa Polskiego, w obecności konwoju dopuszcza się takiego nietaktu.

Zwłaszcza, że jak już wspomniałem wyżej, przed kilku dniami wysłałem do Komitetu pismo, szczegółowo wyjaśniające moją sprawę i warunki w jakich zostałem aresztowany. A więc Komitet Polski z pisma tego wiedzieć już musiał z kim ma do czynienia.

Nic nie odpowiedziałem na to. Byłem zanadto wzburzony zachowaniem się tego pana, bym mógł w owej chwili zachować należyty spokój, a dopuścić do awantury w obecności konwoju nie chciałem. Poza tem, wobec postawienia sprawy przez zarząd „Wojennej Kontroli” los mój był już zależny do pew-

nego stopnia od Komitetu Polskiego, a więc ów pan, mógłby mnie odesłać zpowrotem do więzienia. Wolałem zatem wrócić tam z własnej woli, a nie na życzenie przedstawiciela Komitetu Polskiego.

Odróciłem się do konwojującego mnie żołnierza i powiedziałem: „idiom obratno w tiumu, my nie siuda popali” (wracajmy zpowrotem do więzienia, nie trafiliśmy tam, gdzie trzeba).

Nie zastanawiałem się bynajmniej w tej chwili, co pocznę dalej i wyszedłem.

Nogi kompletnie odmawiały mi posłuszeństwa, gdy schodził ze schodów na ulicę. Splot najrozmaitszych uczuć zatargał całym moim jestestwem: upokorzenie, żal, rozpacz, oburzenie, wszystko kotłowało się we mnie naraz. Czulem roztwierającą się przede mną przepaść.

Po tylu przejściach i udręczeniach być u wrót wolności i doznać takiego przyjęcia od rodaków! To było ponad moje siły. Człowiek o słabszem, niż moje, sercu, podobnej chwili mógłby nie przeżyć. Ja przeżyłem i oto opisuję ją nawet.

Staliśmy z żołnierzem we drzwiach, by przeczekać deszcz, który zmienił się był w ulewę. Zresztą i tak nie mógłbym jeszcze ruszyć w drogę; nogi ugięły się pode mną.

Po chwili usłyszałem odgłos zbliżających się kroków po schodach i ujrzałem przed sobą urzędnika, p. L., któremu zameldowałem się wchodząc do kancelarii Komitetu.

Począł mnie namawiać do powrotu na górę, tłu-

macząc zachowanie się owego „dygnitarza” tem, iż jest on wielkim formalistą, że nie należy brać mu tego za złe i t. p. „Dyplomata”, spostrzegł widocznie swój nietakt i chciał sprawę załagodzić przy pomocy kancelisty, który wzięwszy od konwoju książkę i pokwitowawszy „odbiór” mnie z więzienia, zabrał mnie z sobą na górę. Po chwili wszedł znowu ten „dygnitarz” i obniżonym „o oktawę” już głosem zaczął tłumaczyć się, iż Komitet musi być bardzo ostrożnym, musi szczegółowo badać i t. d. i t. d. Nie zdawał sobie sprawy, że wszystko, co powiedział, były to czcze słowa. Bo jakież znaczenie mogą mieć czyjeś zeznania, których sprawdzić się nie da dla tych, czy innych powodów. Jakżebym mu naprzykład mógł udowodnić wtedy, że w Aschabadzie byłem w sprawach handlowych?

Zdawało się sprawa jest tak jasna: władze rosyjskie oddają więziona przez nich Polaka Komitetowi Polskiemu. A więc skoro tak czynią, to znaczy, iż nie uważają oni jego za przestępcę, bo inaczej rozprawiliby się z nim sami. Ale Prezes Komitetu Polskiego uważał widocznie, że opinia władzy rosyjskiej czy innej, nie jest miarodajną dla Komitetu.

Wysłuchawszy długiej tyrady mego interlokutora, opowiedziałem szczegółowo o swoim aresztowaniu. Gdy skończyłem, ów pan naraz przypomniał mnie sobie z czasów warszawskich, gdy zajmował się on tam adwokaturą jeszcze. I posypały się już serdeczności pod moim adresem.

Gdy jednakże w dalszej rozmowie zaznaczyłem,

iż jestem zupełnie bez grosza i że nie mając tu żadnych znajomości we Władystoku i nie znając miasta, będzie mi trudno dać sobie radę narazie, zobaczyłem znowu na twarzy „mecenasa” grymas niezadowolenia. Po długim namyśle i naradach z kimś w sąsiednim pokoju, oznajmił mi, że Komitet może mi dać tytułem pożyczki 100 rubli i kartkę do Domu Polskiego na kilkanaście obiadów.

To było wszystko, co mi zaofiarowano w Komitecie Polskim. Gdy zapytałem, czy mógłbym przy pomocy tegoż Komitetu znaleźć tymczasowy bodaj dach nad głową, otrzymałem w odpowiedzi, że „kwestja mieszkaniowa we Władystoku jest bardzo trudną”.

Przykro mi o tem pisać, bo może istotnie Komitet nie był w stanie nic zrobić ponadto, ale uważam, iż skoro opisuję wszystkie ważniejsze fakty od chwili mego uwięzienia aż do uwolnienia, winienem być wspomnieć także i o tem, jako o jednym z ważniejszych momentów mojej martyrologji.

Słyszając moją rozmowę z urzędnikami Komitetu, jeden z interesantów, p. S., zatrzymał mnie wychodzącego i dał mi życzliwą radę szukać schronienia w towarowych wagonach, których stało dość dużo na zapasowych linjach przy stacji kolejowej.

Postanowiłem skorzystać z tej rady. Przedtem jednakże poszedłem szukać Domu Polskiego, gdzie miałem spożyć obiad, na otrzymaną w Komitecie Polskim kartkę.

Pokrzepiwszy się i ogrzawszy trochę przemarznięte ciało, udałem się do naczelnika „Wojennej Kontroli”.

aby podziękować za uwolnienie i zarazem dowiedzieć się, co należy zrobić, by rozpocząć starania o uwolnienie i moich byłych współtowarzyszów. I za poradą owego naczelnika złożyłem na jego ręce zeznanie na piśmie o każdym z towarzyszków, poparte w dodatku ustnymi informacjami o każdym, na podstawie tego, co mi o sobie opowiadali. W dość długiej z nim rozmowie, gdy zauważyłem, iż sprawa ich uwolnienia nie pójdzie łatwo, pozwoliłem sobie rzucić myśl zwolnienia ich pod warunkiem natychmiastowego wstąpienia do wojska. Zwłaszcza, że byli to ludzie młodzi i zdolni do służby wojskowej. Projekt ten trafił do przekonania naczelnika i wychodziłem już od niego w przeświadczeniu, iż sprawa uwolnienia towarzyszków znajduje się na dobrej drodze.

Zabrałem swoje rzeczy, pozostawione z rana w kancelarji i odwiozłem je do Komitetu Polskiego na przechowanie do czasu znalezienia dachu nad głową. Poczem udałem się w stronę dworca kolejowego na poszukiwanie wolnych wagonów.

Wszystkie zapasowe linje zastawione były tysiącami wagonów, różnego typu i z różnych dzielnic przedwojennych obszarów Rosji. (Między innymi nie brakło tam i wagonów „Kolei Nadwiślańskiej”). Większość z nich była przerobiona na prowizoryczne mieszkania, zajęte przez kolejarzy i ludność prywatną, oraz przez różne formacje wojskowe, różnych państw i narodów. Przyczem „lokatorów” tej ostatniej kategorii było bodajże najwięcej.

Z trudem przeciskając się pomiędzy wagonami

i gęsto rozstawioną wartą przy wagonach wojskowych, przeszedłem tak z kilka kilometrów. Im dalej, tem mniej już spotykałem wagonów - mieszkań, natomiast stało bardzo dużo, naładowanych węglem, wapnem i t. p. lub przygotowanych do tegoż rodzaju ładunków. Tych wagonów nie odważyłem się wszakże obrać sobie za miejsce tymczasowego bodaj noclegu.

Słońce dawno zaszło. Stawało się coraz ciemniej i to mi jeszcze bardziej utrudniało znalezienie mniej więcej możliwego kąta w mijanych wagonach. Z trudem wlokłem za sobą zmęczone całodzienną wędrówką nogi. Przemoczone ubranie i takież tłumok z mym ubogim bagażem, dźwigany na ramieniu, wydawały się teraz ciężarem nad moje siły. Przed sobą widziałem jeszcze kilkanaście wagonów, ale straciłem już nadzieję na znalezienie w nich miejsca, chociaż sumiennie zaglądałem wewnątrz każdego. Postanowiłem już przenocować pod wagonami. Wracać do miasta nie miałem sił i zresztą nie mogłem się ludzi, że tam przyjdzie mi łatwiej ze znalezieniem noclegu.

Zupełnie już zrezygnowany, zbliżyłem się do ostatniego w tym rzędzie wagonu. Zajrzałem doń i pociemku wydał mi się on dość czystym i niezajętym. Zaryzykowałem wdrapać się wewnątrz. Ujrzałem w głębi dwa tapczany, z których jeden był z pościelą, przykryty kocem. Pośrodku stał prowizoryczny stół, a na nim naczynia. Z tego mogłem wywnioskować, że wagon był zamieszkały i to przez jednego tylko „lokatora”. Postanowiłem tedy pozostać tu

Dziesięć miesięcy pod grozą śmierci.

w charakterze jego „sublokatora”. Rozłożyłem na wolnym tapczanie swój koc i poduszkę i położyłem się.

Oczy kleiły mi się ze zmęczenia, ale uważałem, iż nie wypada mi zasnąć przed przybyciem „prawego właściciela” tego locum. Jakoż niedługo czekałem, bo może w kwadrans zobaczyłem w drzwiach jakąś postać, która, oświetlając sobie drogę zapalką, wdrapała się do wagonu. Był to średniego wzrostu mężczyzna. Zobaczywszy mnie, zapytał skąd się tu wzięłem i kim jestem. Opowiedziałem mu pokrótce o sobie i zapytałem, czy mógłbym tu przenocować, a jeżeli można to i zamieszkać na dłużej, dopóki nie zmieni się coś w moim życiu. Nowy mój towarzysz chętnie się na to zgodził, zwłaszcza, że poprzedni „lokator”, którego tapczan zająłem właśnie, wyszedł był przed kilku dniami i więcej nie wrócił.

Uzyskawszy tedy pozwolenie, rozłożyłem się na tym tapczanie, jak na własnym łóżku. Wydał mi się on nawet niezwykle wygodnym.

Leżąc przypatrywałem się swemu „gospodarzowi”, krzątającemu się przy sporządzaniu wieczerzy. Przyniósł wody w imbryku, wyciągnął naftową maszynkę i zaczął ją rozpalać. Zapalki widać były przeziąkłe wilgocią i nie chciały się zapalić. Zepsuł ich kilkanaście.

Był tem zniecierpliwiony i jak mi się wydało zaklął z polską „psia”...

Udało mu się wreszcie zapalić maszynkę. Jej warkot naruszył monotonię ciszy wieczornej, a migające światelko rozjaśniło nieco mroki brudnego wagonu.

Nieśmiało zapytałem towarzysza skąd pochodzi i czy nie jest Polakiem? Nie śpieszył z odpowiedzią. Z nieufnością spojrzął na mnie. Wreszcie, gdy powiedziałem, że ja jestem Polakiem i dlatego pytam się, czy przypadkiem nie natrafiłem na rodaka, bo wydało mi się, iż powiedział coś do siebie po polsku, przyznał się do polskości.

W międzyczasie woda w imbryku zagotowała się. Mój towarzysz zakrzętnął się koło przygotowania wieczerzy. Zaparzył herbatę, wy dostał z jakiejś kryjówki cukier, przygotował dwie szklanki i po chwili napełnił je po brzegi aromatycznym tym napojem. Jedna z tych szklanek była przeznaczona dla mnie. Przyjąłem ją z wdzięcznością. Była mi nektarem, przemoczonemu i zziębniętemu.

Przy wieczerzy towarzysz mój rozgadał się. Opowiadał o tem, jak służył w wojsku rosyjskiem i o tem, że bardzo długo chorował; leżał kilka miesięcy w szpitalu, skąd niedawno powrócił był właśnie.

Nieźyczliwie odzywał się o polskich formacjach wojskowych na Syberji, zarzucając im beczynność i nie widział racji w ich tam istnieniu. I jak mogłem wynioskować, unikał styczności z tem wojskiem polskiem, w obawie zapewne, by nie wciągnięto go gwałtem w jego szeregi.

Słuchając tego opowiadania, utyskiwałem i narzekałem, usnałem.

Następnego dnia, obudzwszy się wypoczętym i ze świadomością zupełnej już swobody, udałem się

do miasta na poszukiwanie żony mego ex - kolegi z więzienia, Majewskiego, która mieszkała w najbardziej niebezpiecznej dzielnicy Władywostoku, bardzo odległej od centrum i od stacji, gdzie znajdowało się moje obecne locum. Spełniałem prośbę Majewskiego, by udzielić jej wskazówek, jak ma rozpocząć kroki ku jego uwolnieniu i nakreślić jej szkic podania w tej sprawie do Komitetu Polskiego.

Dzielnica ta nosi niebardzo dźwięczne miano „Gniłoj Ugoł”, co oznacza zgniły kął. Nazwana jest jednak dość trafnie; istotnie w całej dzielnicy czuje się wilgość i zgniliznę.

Gdy wracałem do centrum miasta, spełniwszy prośbę swego ex - kolegi więziennego, spotkałem Fajermana. Byłem tem niepomiernie zdziwiony, gdyż wczorajsza rozmowa z naczelnikiem „Kontroli Wojennej” nie zapowiadała tak szybkiego uwolnienia towarzyszków. Tymczasem, okazało się, iż na drugi dzień rano, byli oni wszyscy uwolnieni i odesłani do rozporządzenia t. zw. „Woinskaho naczalnika”, z wyjątkiem Zeltina, którego, jako Łotysza, przydzielono do formacji łotewskich. I miano ich następnie wysłać do Chabarowska, do jakiegoś tam pułku piechoty. Fajermanowi udało się sprytnie wykręcić się od natychmiastowego tam wyjazdu, pod pretekstem konieczności pozostania we Władywostoku na trzy dni w bardzo ważnej sprawie osobistej (?). Odzyskawszy wolność nie chciał dobrowolnie dać się ponownie ujarzmić. Zamierzał zupełnie „zejść z oczu” władzom.

Był ubrany, jak prawdziwy „dżentelmen”, ogolony przytem i odświeżony.

Z wielkiej radości odzyskania wolności i pragnąc odwdziżyć się za czynione przeze mnie starania o uwolnienie jego i reszty towarzyszków, przemocą wprost zaciągnął mnie do pierwszorzędnej restauracji i uprosił o spożycie z nim obiadu na jego rachunek. Zamówił obiad drogi z przekąskami i trunkami.

Zdziwiony jego rozrzutnością, zapytałem, skąd ma pieniądze na takie wydatki i skąd ma takie wytworne ubranie. Odpowiedział mi, iż przypadkowo spotkał tu zamożnego znajomego z Paryża, który zapiekował się nim i pożyczył mu dość znaczną sumę. Nie mogłem sprawdzić, czy tak było w istocie, wątpiłem wszakże w prawdziwość tych słów, znając jego, jako niepoprawnego blagiera. A tymczasem jadłem wspaniały obiad z kilku wyszukanych dań. Organizm odwykły od alkoholu, po wypitym kieliszku wódki i szklance piwa, nagle osłabł. Wszystko zaczęło wirować przed memi oczami. A gdy uprzytomniłem sobie, że to jeszcze wczoraj rano byłem w więzieniu, a onegdaj nie miałem nawet nadziei na uwolnienie się, fakt, iż siedzę oto w pierwszorzędnej restauracji, wydał mi się snem. Bo w istocie zakrawało to na sen albo bajkę: wczorajszy więzien, któremu, według pogłosek groziła kara śmierci, siedzi w restauracji i żąda przeróżne drogie smakołyki i jest zupełnie wolny.

Po obiedzie, pożegnawszy Fajermana, wróciłem do wagonu, wyciągnąłem się na tapczanie i natychmiast zasnąłem. Pokrzepiwszy się parogodzinnym

snem, wyruszyłem na dworzec, by pożegnać byłych współtowarzyszów, tego dnia właśnie wysyłanych do Chabarowska. Pożegnanie to nosiło charakter bardzo serdeczny; rok czasu przebyty razem w tak ciężkich warunkach wszystkich nas bardzo zbliżył.

Szczęście moje z posiadania mniej więcej wygodnego locum, no i przedewszystkiem bezpłatnego, było krótkotrwałe. Bo w parę już dni zostaliśmy wysiedleni stamtąd z towarzyszem przez oficerów polskich, którzy ten wagon zabrali dla potrzeb syberyjskich formacji polskich.

Nie było rady; musieliśmy ustąpić. Dano nam dwudniowy termin na znalezienie sobie innego pomieszczenia.

Powlokłem się w stronę miasta, w nadziei znalezienia pewniejszego dachu nad głową. W drodze przypomniałem sobie, iż na ten właśnie dzień przyrzekłem dostarczenie Polskiemu Komitetowi Narod. spisu jeńców Polaków, przebywających w Achmednagarskim obozie w Indjach, który to spis posiadałem ukryty, jak Czytelnik pamięta, w obcasach obuwia. Trzeba było zatem wydostać go stamtąd. Bez pomocy narzędzi szewckich uczynić tego nie mogłem; a więc należało znaleźć szewca.

Napotkałem wreszcie taką instytucję, wstąpiłem i zacząłem na migi tłumaczyć Chińczykowi, że chodzi mi o oderwanie paru fleków od każdego z obcasów. Nie rozumiał mnie jednakże. Wkońcu, zniecierpliwiony rzekł: „idi, moja nie rozumajet” i zajął się przygotowywaniem obiadu, czem był zajęty w chwili mego

przyjścia. Nie dałem za wygraną; ująłem w ręce leżące na warsztacie obcegi i zacząłem majstrować przy obcasie sam, by przykładowo wytłumaczyć Chińczykowi cel mego przybycia. W chwili, gdy zdołałem oderwać jedną warstwę skóry, wypadły na podłogę 2 srebrne rupje. Dalej ujrzałem zwinięty papier. Był to ów spis i część mych notatek. Reszta znajdowała się w drugim obcasie. Teraz dopiero Chińczyk zaczynał mnie rozumieć. Wciąż jednak spoglądał na mnie zukosa i z wielką ostrożnością zabrał się do drugiego trzewika.

W międzyczasie weszło doń kilku klientów, Chińczyków, którzy z niemałą ciekawością przyglądali się tej dziwnej „operacji”. Ja, w obawie o możliwe przecież w tej sytuacji przykre dla mnie następstwa, pośpieszyłem schować notatki, włożyłem trzewiki i udałem się czem prędzej do Komitetu Polskiego. Tu oddałem spis panu S., którego prosiłem o osobiste złożenie go w Mnisterstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie, dokąd miał on wyjechać niebawem.

Wracałem z miasta w ciężkim nastroju.

Gdzie mam się przenieść, myślałem? Czy znajdę jakikolwiek dach nad głową?

Chodziłem bezradnie wzdłuż zajętych już wagonów, tam i zpowrotem; zaglądałem do niektórych i nie znalazłszy w nich wolnego kąta dla siebie, powlokłem się w stronę stacji. Chciałem przepytać się pomiędzy kolejarzami, czy przy pomocy któregoś z nich właśnie mógłbym znaleźć jakie pomieszczenie.

Wszedłem do bufetu, zamówiłem szklankę herbaty i zacząłem obmyślać sprawę najbliższego noclegu, w razie nieznaalezienia dachu nad głową. Przeszedłem do przekonania, że w najgorszym razie zano-cuję pod wagonem, a nazajutrz wyruszę na przystań szukać pracy przy ładowaniu towarów na okręty. Bo o szukaniu jakiegoś inteligentniejszego zajęcia nie odważałem się nawet i myśleć, z uwagi na ogólny mój wygląd zewnętrzny. Byłem przecież w stroju, do-brym na Indje a nie na Władywostok; poza tem i za-rost mój nadawał całej sylwetce nieeuropejskiego wy-glądu, a ogolić się nie miałem za co. Musiałem pogo-dzić się z myślą, że nie pozostaje mi nic innego, jak zostać tragażem, zwłaszcza, że siły w sobie czułem wtedy jeszcze bardzo dużo.

Rozmyślając tak, mimowoli roztkliwiłem się nad własnym losem. Po tylu przeżyciach być nareszcie wolnym, wolnym zupełnie i znaleźć się w tak ciężkiej sytuacji, niemal bez wyjścia, bo ani dachu nad głową, ani żadnych środków utrzymania!

Ogarnęła mnie rozpacz.

Dopijałem herbatę, za którą musiałem za chwilę zapłacić ostatnimi groszami. Celowo zmniejszałem łyki, by odwlec chwilę opuszczenia dusznego, ale ciepłego lokalu.

Już szklanka stoi przede mną pusta. Za herbatę zapłaciłem. Ruszyć się wszakże z miejsca jeszcze nie-mogę. Bezmyślnie wzrok mój ślizga się po twarzach siedzącego przy stolikach tłumu...

Jeszcze chwileczkę posiedzę. Odpocznę, pomy-słałem.

Nagle, usłyszałem wołanie po rosyjsku: „Mie-czysław Antonowicz”!

Spojrzałem w stronę, skąd dochodził głos i ujrz-ałem sylwetkę człowieka typu wschodniego.

Nie mogłem go sobie przypomnieć. Szczera jego twarz uśmiechała się do mnie przyjaźnie. Podeszedł, przywitał mnie serdecznie i powiedział (po rosyjsku): „pan mnie sobie nie przypomina. Jestem Cabadze. Pracowałem w Baku pod pańskim kierownictwem w charakterze technika, przy robotach kanalizacyj-nych”.

Starałem się wydobyć ze swej pamięci jakiś szczegół, któryby mi przypomniiał tego człowieka, ale to się na nic nie przydało; nie przypominałem go sobie, niestety. Tyle przecież ludzi pracowało przy mnie w ciągu blisko trzydziestoletniego mego pobytu na Kaukazie! Dopiero, gdy powiedział mi, iż kiedyś kupiłem odeń parę pięknych rogów jelenich, uprzy-tomniłem sobie dobrze i ten fakt i jego samego przy robotach u mnie.

Rozmawialiśmy już z sobą, jak dwaj dobrzy, sta-rzy znajomi. Łączyły nas przecież wspomnienia z pobytu w kraju, który dla niego był krajem rodzin-ny, a dla mnie jakby drugą, przybraną ojczyzną.

To niezwykle spotkanie nasze zrobiło na nas obu duże wrażenie, a zwłaszcza na mnie. Przyszło ono bowiem w chwili okropnej mojej rozpacz i re-

zygnacji. W chwili, gdy najmniej mogłem się spodziewać jakiegokolwiek pomocy i otuchy.

Wyglądało to na nieprawdopodobne zdarzenie.

Gawędziłem po przyjacielsku i opowiadaliśmy sobie swoje dzieje. Gdy się dowiedział o moich kłopotach „mieszkaniowych”, natychmiast zaproponował mi zamieszkać u niego, aczkolwiek zaznaczył, iż mieszkanko ma bardzo ciasne. I nie zważając na moje protesty, zabrał moje rzeczy z wagonu i w niespełną godzinę siedziałem już przy suto zastawionym stole w ciasnym, a schludnym mieszkaniu gościnnego Gruzina i jego żony.

Mieszkanko składało się z dwóch minjaturowych pokoików i kuchenki. Jeden z pokoików służył im za sypialnię, drugi — za jadalnię i salonik razem. I w tym właśnie pokoiku umieszczono mnie. Na łóżko miejsca nie było. Gospodyni domu zaradziła temu w ten sposób, że przygotowaną dla mnie pościel rozłożono wzdłuż stołu wprost na podłodze.

Pod nawałem przeżytych tego dnia wrażeń, długo nie mogłem usnąć.

Od beznadziejnej rozpaczki nagle przejście do błogostanu wydawało mi się czemś nieprawdopodobnym. A jednak tak było. Przed paru godzinami jeszcze zdecydowany byłem nocować „pod gołem niebem”, a oto leżę już na czystej i wygodnej pościeli, w ciepłym mieszkaniu miłych i życzliwych mi ludzi.

I co za dziwny splot okoliczności! W dwóch najcięższych chwilach mojej martyrologji, przyszła pomoc od mieszkańców Kaukazu, gdzie spędziłem po-

łowę mego życia. Bo generał Karcew, aczkolwiek nosił nazwisko rosyjskie, urodził się, wychował się i pracował długie lata na Kaukazie. A jego to niewątpliwym staraniem zawdzięczam w znacznej mierze moje uwolnienie. Dzięki zaś niezwykłemu spotkaniu się z Cabadzem i okazaniu mi przezeń tyle życzliwości i serca, odzyskiwałem siły i wzmacniałem się na duchu do dalszej walki z przeciwnościami życia.

Wszystko, co napawać mogło grozą — pozostało już poza mną; i tylokrotna w ciągu roku groźba śmierci, czy przez rozstrzelanie, czy od tyfusu lub malarji i wszelkie upokorzenia, jakie znosić musiałem przez tak długie miesiące. I widmo nędzy nie stało już przede mną, lub choroby jakiej, z powodu braku dachu nad głową i środków do życia.

Byłem już otoczony ciepłem rodzinnem i gościnnością dobrych ludzi. Czułem w owej chwili niewypowiedzianą wdzięczność dla nich. Wiedziałem, że od jutra będę w stanie zająć się szukaniem dla siebie zajęcia i nie koniecznie już na przystani tylko.

Pod dobroczynnem działaniem prostej i szczerzej życzliwości ludzkiej wstępowała we mnie wiara we własne siły i wiara w ludzi.

Tak oto zakończyły się dzieje poniewierki w rękach władzy angielskiej, nas siedmiu: Efendjewa, Gładilszczykowa, Kulijewa, Łarjonowa, Rozena - Fajermana, Zeltina i mnie.

Uratowałem się sam i dopomogłem w uratowa-

niu się współtawarzyszów, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności jedynie, układających się w dodatku, jak w zgoła nieprawdopodobnych opowieściach.

Gdyby nie przypadkowe spotkanie się z gener. Karcewym i gdyby nie zaryzykowanie moje zwrócenia się do prokuratora i wysłanie następnie memorjału siedzielibyśmy zapewne jeszcze bardzo długo w więzieniu (gdyby nie rozstrzelano nas po kilku dniach bez sądu, na podstawie angielskich relacyj jedynie). A wówczas, w „najlepszym”, że tak powiem razie, pomarlibyśmy wszyscy z tyfusu lub czerwonki, które to choroby dziesiątkowały wtedy liczne rzesze więźniów.

Być może zresztą, iż na przychyłne załatwienie naszej sprawy wpłynęła i ta okoliczność, że przed naszym przyjazdem do Władywostoku tamtejsze władze sądowe miały już parę podobnych wypadków oddawania w ich ręce przez Anglików rzekomych bolszewików, którzy, jak w następstwie wykazywało śledztwo, z bolszewizmem nie mieli nic wspólnego.

Niepodobna wytłumaczyć sobie tego niczem innym, jak tylko złą wolą kilku oficerów angielskich, którzy, nie mając możliwości w inny sposób odbyć ciekawej dla nich podróży przez stepy Persji, Indje i przez Ocean Spokojny, inscenizowali poprostu łapanie rzekomo niebezpiecznych bolszewików (!!), a następnie, organizując całą skomplikowaną ekspedycję, wieźli ich, jako jeńców, najpierw do obozów w Indjach a następnie do Władywostoku, jako ostatniego punktu „wyprawy”.

A na jak olbrzymie koszty narażano przytem własny skarb, nikt z nich zapewne nie zadawał sobie trudu obliczyć taką „wyprawę”.

Przedewszystkiem więc kosztowna karawana przez Persję, z sipajami i żołnierzami oraz licznymi furgonami; następnie utrzymanie nas i całego oddziału żołnierzy i oficerów w obozie koncentracyjnym w Indjach. A koszty przejazdu i utrzymania nas i eskorty na okrętach, w drodze do Władywostoku? Wszystko liczyć trzeba na setki tysięcy funtów szterlingów.

Poza przyjemnością odbycia bezpłatnie takiej niezwyklej podróży, oficerowie ci mieli zapewne na względzie także i odznaczenia i nagrody „za waleczność”.

Być także może, iż było to tylko konsekwentne „doprowadzenie do końca” popełnionych przez nichże pomyłek w stosunku do niewinnie aresztowanych?

Skoro to jest zasadą rasy, to nie pozostaje nic innego istotnie, jak tej zasady bronić.

Zamiast epilogu.

Powróciwszy w roku 1922 do kraju, uważałem za właściwe powiadomić przedstawicieli władz angielskich w Polsce o sprawie mego aresztowania i w tym celu wystosowałem do ówczesnego posła angielskiego, Max-Millera, następujące pismo:

Do

Jego Ekscelencji Posła Wielkiej Brytanji
w Polsce.

Ekscelencjo:

W sierpniu 1918 roku, podczas gdy pozostawałem na służbie Organizacji b. Synodu Greckiego, udałem się w sprawach urzędowych, w towarzystwie p. Rogera Stumpa, szwajcarskiego obywatela, do Aschabadu, miasta położonego w Zakaspijskim Kraju. Nazajutrz po naszym przybyciu zostaliśmy obaj zaaresztowani z rozkazu angielskiego oficera, którego nazwiska nie znam i który przebywał w Aschabadzie po cywilnemu. Tegoż dnia posłano nas do stacji Artyk, gdzie znajdował się oddział wojsk angielskich, obozujących na pograniczu Persji i Zakaspijskiego Kraju. Tożsamość moją było bardzo łatwo stwierdzić, podczas ostatnich 25 lat bowiem przebywałem stale na terenach naftowych Baku i Zakaspijskiego Kraju, gdzie zajmowałem kolejno stanowiska: dyrektora kopalń i fabryk Mantaszewskich,

Lianczowskich i Gadsuskiego Tow. Naftowego. Znałem osobście p. Parkera, angielskiego konsula w Baku i prawie wszystkich członków tamtejszej kolonji angielskiej.

Pomimo moich tłumaczeń, bez jakiegokolwiek dochodzenia, zakuto mię w okrutny sposób w kajdany (stosując w tym celu łańcuchy używane do pętania osłów). Następnie, wśród okropnych moralnych i fizycznych cierpień i tortur, które zaledwie dadzą się porównać z nieludzkim traktowaniem więźniów przez bolszewików, zaciągnięto mię, napoły martwego, do Indyj, do obozu koncentracyjnego w Nowgongu.

W Nowgongu byłem więziony w przeciągu 6 miesięcy a następnie posłany do Władywostoku i tam wydany jako bolszewik rządowi Kołczaka. W tych warunkach mogłem jedynie oczekiwać śmierci, któraby w naturalny sposób zlikwidowała omyłkę władz, które mię aresztowały. Ocalenie swe zawdzięczam jedynie szczęśliwemu trafowi, który sprawił, że spotkałem we Władywostoku znajomych; jakżeż bowiem zdołałbym udowodnić swą niewinność w obcym mieście, oddalony o setki tysięcy kilometrów od domu i rodziny, a ponadto oskarżony przez władze angielskie o bolszewizm.

Rząd rosyjski uznał pomyłkę, zwrócono mi natychmiast wolność i zaproponowano bardzo odpowiedzialne stanowisko cywilnego inżyniera przy Radzie Ministrów.

W międzyczasie żona moja z córką i trzema małemi synami pozostała bez utrzymania i opieki w Baku. Straciwszy nadzieję ujrzenia mię kiedykolwiek, zdołała z pomocą przyjaciół przedostać się z dziećmi do Polski. W tym samym czasie zmuszony byłem przebywać dalej na Wschodzie nie posiadając funduszów potrzebnych na powrót do kraju. Po trzech latach takiego życia, zdecydowałem się pożyczyć odpowiednią sumę pieniędzy i powrócić do Polski, gdzie też przybyłem przed trzema miesiącami.

W ten sposób ja, obywatel polski, zostałem zaaresztowany przez władze angielskie w Persji, kraju neutralnym, bez jakiegokolwiek winy z mej strony, jedynie na zasadzie fałszywego oskarżenia, bez śledztwa i sprawdzenia moich zeznań. Zostałem

nietylko pozbawiony wolności osobistej, ale ponadto przeszedłem okrutne tortury i cierpienia zarówno moralnej jak i fizycznej natury, które podkopały moje zdrowie i zrujnowały mię materialnie.

Posiadam bardzo dokładny dziennik tej strasznej podróży w którym podałem nazwy wszystkich miejscowości przez które przechodziłem i wszystkich okrutnych ludzi, którzy bez żadnego powodu ani potrzeby stosowali do swych więźniów system okrucieństwa i tortur.

Nie znam angielskich kodeksów prawnych, wiem tylko o wielkiem poszanowaniu praw jednostki, jakie istnieje w Wielkiej Brytanji, zwracam się przeto do Pana, Ekscelencjo, z prośbą o poinformowanie mnie czy Rząd Wielkiej Brytanji zechce uznać i stwierdzić, iż wyrządził wielką krzywdę mnie i mojej rodzinie. Celem potwierdzenia prawdy słów moich gotów jestem opublikować lub też przedstawić wszelkie potrzebne dowody.

Rząd Angielski nie może mi powrócić utraconego zdrowia, może jednak zechciałby choć częściowo dopomóc mi w mej krytycznej sytuacji finansowej.

Jeżeli Ekscelencja uważa to za możliwe, byłbym Mu niezmiernie wdzięczny za udzielenie mi instrukcji jak powinienem dalej postąpić w tej sprawie.

Pozostaję z wysokiem szacunkiem i poważaniem
Mieczysław Schmidt.

Warszawa, Polska
8-go lutego 1923 roku.

Otrzymałem na to odpowiedź tej treści:

POSELSTWO BRYTYJSKIE
WARSZAWA.
15-go lutego 1923 r.

Szanowny Panie.

Poseł Jego Królewskiej Mości polecił mi potwierdzić odbiór pisma pańskiego z dnia 8-go b. m. i donieść Panu, że jego



Ryc. 5.

Chiński paszport autora wydany mu przez władze chińskie we Władystoku.

zdanem należałoby wnieść skargę w dotyczącej Pana sprawie, do polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które ze swej strony, o ile uznałoby krok taki za stosowny, odniosłoby się do Rządu Jego Królewskiej Mości za pośrednictwem Polskiego Poselstwa w Londynie.

Pozostają i t. d.

Pan Mieczysław Schmidt
Leszczyńska 9
Warszawa.

Z tej chłodnej, dyplomatycznej odpowiedzi zrozumiałem, że nie posiadając żadnych rzeczowych dowodów na potwierdzenie prawdziwości mego opowiadania o aresztowaniu, oprócz dziennika i notatek, nie mogę rozliczać na poparcie moich pretensyj do rządu angielskiego także i ze strony władz polskich.

Pozostawało mi tedy jedynie ogłoszenie drukiem swych wspomnień, by choć tą drogą powiadomić zarówno rząd jak i społeczeństwo angielskie o bezpodstawowym aresztowaniu mnie i kilkudziesięciu innych osób przez przedstawicieli władz angielskich i o znęcaniu się ich nad nami w ciągu całego niemal roku. Umieszczenie we wspomnieniach wszystkich zapamiętanych przeze mnie nazwisk i dat różnych wydarzeń z okresu naszej niewoli, jest chyba najlepszym dowodem prawdziwości tego, co podałem do powszechnej wiadomości. Jeżeli nie sama książka, to bodaj wiadomość o niej dotrze przecież do kilkunastu choćby b. moich współtowarzyszów - jeńców, którzy w ten czy inny sposób będą mogli potwierdzić autentyczność podanych tu faktów. Dzięki wzmian-

kom w pismach polskich i cudzoziemskich o tomie I-ym moich wspomnień, kilku z nich odszukało mnie i weszło ze mną w kontakt drogą korespondencji.

Z ich listów dowiedziałem się, iż kilku z b. towarzyszków, jak Smutny, Wagner, Tur-Muren, oddawna nie żyją, zmarli wkrótce po uwolnieniu się z niewoli angielskiej. A zaznaczyć muszę, że byli to ludzie naogół zdrowi i zupełnie młodzi, w wieku lat 26 — 29. A więc opisy moje o niezwykle ciężkich warunkach, w jakich zmuszeni byliśmy przebywać, nie są bynajmniej przesadzone lecz w zupełności pokrywają się powyżej przytoczonym faktem przedwczesnej śmierci kilku b. jeńców.

Stump donosi mi, że i on również zwrócił się drogą dyplomatyczną do rządu angielskiego w sprawie uwiezienia go przez Anglików i o „ograbienie“ go w dodatku przez też władze.

Jednocześnie ze Stumpem wystąpił do rządu angielskiego i Dr. Rendtdorff, członek misji duńskiej Czerwonego Krzyża, który jak widać z niżej przytoczonego listu, potwierdza wszystkie szczegóły okropnego postępowania z nami władz angielskich, podane przez Stumpa i przeze mnie w memorjałach do tegoż rządu.

Tłumaczenie sprawozdania, złożonego POSEŁ-
STWU SZWAJCARSKIEMU w dn. 5.III.19 roku
przez Dr. RENDTDORFFA król. duńskiego dele-
gata przy poselstwie w PETERSBURGU.

W dniu 19.IX.1918 r. ja niżej podpisany Dr. E. V. Rendtdorff, królewsko duński delegat przy poselstwie w Petersburgu,

spotkałem w Meszhed (Persja) dobrze mi znanego obywatela szwajcarskiego i kupca Rogera Stumpa w towarzystwie jego inżyniera, Polaka Mieczysława Schmidta, którzy przybyli do Aschabadu celem załatwienia kilku swych interesów.

Pan Stump był źle ubrany, ręce jego były związane kajdanami, jego wartościowy багаż zabrany był przez oficera sztabu Ulotha, który nawet zabrał jego klejnoty; skórzane zaś kamizelki jego zdarto zeń ze słowami: „to chłopisko ma dość dobre rzeczy“ i rzucono je żołnierzom.

Pan Stump, z którego nędzy drwiono, musiał następne dwa miesiące iść boso przez Persję. Pan Stump i pan Schmidt musieli codziennie pracować w kajdanach, zaś praca była często nad ludzkie siły. Na noc więziano ich z sześciu innymi więźniami, ponadto zaś ręce ich były skrepowane powrozami, które każdego z nich zmuszały, utrzymywać się w pewnej określonej pozycji. Stało się to zaś bynajmniej nie celem zapobieżenia ucieczce, ponieważ więźniowie byli w możności powrozy te usunąć, co też przy rannym apelu, czynili na rozkaz. Zarządzenia te wydane były jedynie w celu dokuczenia więźniom. Ubranie ich było zupełnie niedostateczne; w szczególności nie zaopatrzone ich w bieliznę, ani też w derki. A w nocy temperatura tam było bardzo niska. Straż natomiast ubrana była w płaszcze i miała chustki do przykrywania ust. Pożywienie było niedostateczne i liche; wystarczało bowiem tylko jako pół porcji dla dorosłego człowieka. Z higieną rzecz miała się bardzo źle. W jednym wypadku więźniom przez 13 dni nie pozwolono się myć. Stosunki zdrowotne były nadzwyczajnie złe. 50 procent więźniów dostało nagle biegunki, a pomimo że wizyta lekarska odbywała się codziennie, stan więźniów nie polepszył się, ani też nie uwolniono ich z kajdan, nie zaopatrzone w odzież i nie odżywiano lepiej.

Przez kilka nocy nie pozwalano chorym po godz. 7 udawać się do ustępu, tak że musieli załatwiać swoje potrzeby bądź w swoją odzież bądź też na miejscu, gdzie leżeli. Wysłano więźniów w dniu 1.X.1919 roku, wśród nich 90 procent było niemieckich i austriackich więźniów wojennych, wysłanych na robotę

do Aschabadu (w przeciwieństwie do ich kombatantów, którzy z głodu dali się zaciągnąć do armji bolszewickiej) wysłano więc rzeczonych więźniów do Meszhed i przybyli oni po półmiesięcznym ciężkim marszu przez Burdelkan do Nowgongu w Indjach, gdzie zostali internowani. Mnie samemu w Meszhed generał rozkazał pełnić służbę sanitariusza. Nie miałem jednakże możności przyczynić się do polepszenia stanu rzeczy. Meldowałem przeto komendantowi transportu, że nawet zupełnie zdrowy człowiek musiałby umrzeć, gdyby miał jeszcze nieco dalej maszerować, ale komendant nie chciał nic zmienić. To też jeden z więźniów zmarł nazajutrz na wozie transportowym, zaś drugi stracił na zawsze władzę swej prawej nogi, trzeci zaś zmarł w kilka dni po przybyciu do Nowgongu, wreszcie niżej podpisany był do tego stopnia chory, że oczekiwano śmierci jego za kilka dni. Pan Stump był chory często. Wszyscy więźniowie stracili dużo pieniędzy z powodu niesumienności urzędników, którzy je im zabrali. Pan Stump stracił 55,000 rubli, a ponadto nic nie było wiadome o losach listu przekazowego na kwotę 300.000 rubli. Zarówno p. Stumpowi, jak i p. Schmidtowi, nie udowodniono żadnej ich winy, ani też powiedziano im, w czym są oni podejrzewani, tak że nie mieli wogóle możności bronięcia się. Więźniom nie pozwalano skomunikowywać się z ich konsulatami lub poselstwami. O winie lub niewinności pana Stumpa oczywiście nic mi nie jest wiadomem, mogę jedynie powiedzieć, że traktowano go w skrajnie nieludzki i niegodny sposób, że urzędnicy zrabowali mu rzeczy, że głodził się, że sprawa jego nie była rozpatrywana, jak również że pozbawiony był możności uzyskania pomocy od swych władz, pomimo kilkakrotnych prośb o pozwolenie skomunikowania się z wyższymi władzami rosyjskimi i szwajcarskimi celem udowodnienia swej niewinności. Osobiście jestem przekonany, że zarówno pan Stump jak i ja sam byliśmy ofiarami fałszywych i złośliwych oskarżeń i że on był całkowicie niewinny, taksamo jak i inni, których z nim razem transportowano. Tosamo odnosi się do sprawy jego inżyniera, pana Schmidta. Dodaje, że wszelkie informacje dotyczące pana Stumpa, jakie doszły do wiadomości władz szwajcarskich,

nie pochodziły od pana Stumpa, ponieważ na komunikowanie się z reprezentacją władz nie pozwolono mu, aż do chwili, w której ja sam doniosłem w Bombaju konsulowi szwajcarskiemu o obecności pana Stumpa w Nowgongu. Konsul podjął wówczas energiczne kroki i otrzymał po upływie trzech tygodni na liczne korespondencje pocztowe i telegraficzne odpowiedź, iż pomoc jego przy uregulowaniu sprawy pana Stumpa byłaby chętnie widziana. Proszę poselstwo szwedzkie o poczynienie kroków, celem przyścia z pomocą panu Stumpowi.

Z poważaniem

podpisano: *E. V. Rendtdorff*

Pomimo tak niezbitych zdawałoby się dowodów winy Anglików, przeprowadzone przez nich w tej sprawie śledztwo na skutek wystąpień poszkodowanych (jeżeli wierzyć że ono wogóle miało miejsce), nie wykryło istotnych sprawców aresztowania i nawet dało powód sekretarzowi Angielskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych p. Gregory'emu do wystosowania poszkodowanym listu, broniącego winowajców. Treść tego ciekawego listu jest następująca:

POSELSTWO SZWAJCARSKIE

L. 21153657

32. Königin Anna Strasse

London W. 1

Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Mój Panie.

W odpowiedzi na pismo z dnia 9.XII.19, które Pan był łaskaw do mnie wystosować w sprawie p. Rogera Stumpa, mam zaszczyt zawiadomić Pana, że sprawozdania z Indyj, dotyczące

aresztowania i traktowania pana Stumpa jako więźnia, jeszcze nie nadeszły.

Uważam, że zeznanie pana Stumpa w świetle sprawozdań generała Mallesona i innych wchodzących w grę oficerów bez wątplenia są nieściśle i zawierają ciężkie oskarżenia, które nie mogą być dowiedzione. Ponadto zaś trudności podróży od granicy perskiej do Indyj były bardzo wielkie, tak, że niektóre srogości, na jakie żali się pan Stump, stały się nieuniknionymi, ale bynajmniej nie były spowodowane, jak to twierdzi pan Stump, niedbalstwem lub animozją ze strony oficerów Jego Królewskiej Mości.

W związku z tym pragnąłbym zwrócić uwagę Pańską na następujące wywody pana Stumpa, pozbawione uzasadnienia.

a. Co do zeznania pana Stumpa, że „więźniowie ohydnie byli traktowani”, donosi generał Malleson, że zarządzono wszystko, co było potrzebne do gotowania i że porcja dostarczał korpus aprowizacyjny i transportowy celem odpowiedniego odżywiania więźniów. W sprawozdaniu jest dalej powiedziane, że skargi na ciasne kajdany, gorąco w namiotach i brak tytoniu uwzględniono wedle możności najszybciej.

b. Oficer pułkowy nie przywłaszczył sobie żadnych rzeczy osobistych, ani też papierów pana Stumpa.

c. Co do ośmiu grobów zaś, o których pan Stump mówi w swoim sprawozdaniu, to były to poprostu rowy strzeleckie, wykopane tymczasowo przez piechotę przy obsadzeniu kraju.

d. Co się tyczy skargi pana Stumpa, iż po drodze do ustępu „wyśmiewany był przez czarnych”, to kapitan Thompson donosi, że konwój jego składał się z mahometan, że z oskarżenia pana Stumpa wynika coś w rodzaju jego niechęci do nich, którzy w rzeczywistości nie zachowywali się w sposób opisany.

e. Co się tyczy twierdzenia, że więźniów „pędzono do roboty pomimo, że biegunka uniemożliwiała im pracę”, to kapitan Thompson donosi, iż pan Stump wyprosił sobie u niego pozwolenie w drodze wyjątku, by codziennie pracował nie jedną godzinę, ale dwie, a to celem utrzymania sprężystości.

f. Twierdzenia, że 2 ludzi miało być prowadzonych do

rozstrzelania jest nieuzasadnione. Pomienieni ludzie zostali z transportu wyłączeni i celem uwolnienia wysłani do Transkaspji.

g. Kapitan Uloth zaznacza w swem sprawozdaniu, iż było bardzo trudno poczynić zarządzenia dla więźniów, ponieważ byli oni oddaleni o 800 mil od najbliższej stacji kolejowej, a ilość prowiantu i ubrań była nadzwyczajnie szczupłą.

h. Co się tyczy twierdzenia pana Stumpa, że „kapitan Uloth robił wszystko, co było w jego mocy, by z nas drwić i nas dręczyć”, to oficer ten zeznaje, iż mało stykał się z więźniami z wyjątkiem codziennej wizyty inspekcyjnej i okazjnych wizyt o różnych godzinach. Przy licznych zaś okolicznościach ganił on pana Stumpa za stan jego namiotu.

i. Co do twierdzenia pana Stumpa iż, „psie żarcie sypane było przez brudnych czarnoskórych do naszych rąk”, stwierdzo iż w armji generała Mallesona nie było wojsk brytyjskich, a temsamem też nie było urzążeń kuchennych dla europejczyków, oficerowie zaś otrzymywali jedzenie od własnych służących indyjskich. Więźniom dostarczano jednakowoż regularnej porcji angielskiej, lecz osiągnięcie jej było możliwem na podstawie rozkazu pułkowego. Nożów, widelców, misek i t. p nie było w istocie.

j. Twierdzenie, że „oficer wyższej rangi odwiedził nas tylko raz jeden”, jest nieściśle, ponieważ pułkownik Redl misji wojskowej odwiedzał więźniów przy różnych okazjach, zaś kapitan Gordon i jeden oficer sanitarny odwiedzali ich codziennie.

k. Co się tyczy straty rzeczy, to zgodne jest z prawdą, iż więźniom odebrano pieniądze i przedmioty wartościowe, a to celem uniknięcia niebezpieczeństwa przekupywania warty. Wszystkie wszelako rzeczy więźniów zaopatrzone w napisy i przechowywano pod nadzorem oficera, który prowadził transport.

l. Co się tyczy odmowy ze strony kapitana Ulotha dać zezwolenie, by pan Stump pełnił funkcje kucharza obozu, to kapitan Uloth donosi, że ponieważ pan Stump podany był jako niebezpieczny agent, uważał on za niestosowne udzielić mu po-

zwolenia na dalsze piastowanie urzędu, który dawał mu przez większą część dnia wolność i umożliwiał wolny dostęp do wszystkich więźniów.

m. Co do twierdzenia pana Stumpa, iż wydano rozkaz, „by go zastrzelono jak psa”, to kapitan Uloth donosi, iż postęgowano się zwyczajnymi rozkazami, wedle których każdy więzień w razie próby ucieczki lub też opuszczenia swego namiotu bez zezwolenia, zostanie rozstrzelany.

n. Kapitan Uloth zaprzecza, jakoby kiedykolwiek traktował więźniów inaczej, niż to przepisane jest oficerowi wobec więźniów wojennych, że jednakowoż poczynił zarządzenia, które wedle sytuacji uważał za konieczne celem zapobieżenia ucieczce, i oświadcza, iż robił wszystko, co tylko możliwe, by więźniowie byli traktowani po ludzku.

Okoliczności, wśród których zaaresztowano pana Stumpa, były jednakowoż bezwątpienia winą nieporozumienia co do czynności tego pana w Aschabadzie. Prosiłbym Pana przeto, byś łaskawie powiadomił pana Stumpa, iż rząd Jego Królewskiej Mości wyraża swój szczerzy żal, że z powodu nieporozumienia został aresztowany i traktowany jako więzień. Byłbym wdzięczny, gdybyś Pan chciał również i rząd szwajcarski zapewnić, co do mego żalu, że obywatel szwajcarski w ten sposób traktowany był przez władze angielskie z powodu mylnego, ale oczywiście za słuszne uważanego przypuszczenia, iż jest on wrogiem agentem. Wolno mi może dodać jako okoliczność łagodzącą ten sposób postępowania, że, jak przypuszczam, pan Stump zostałby przez rząd transkaspjski rozstrzelany, gdyby generał Malleson nie byłby się postarał o jego przetranslokowanie do Indyj.

Mam zaszczyt być z wyrazami szacunku Pański powolny i uniżony sługa.

(Za sekretarjat stanu)

podpisano: *J. B. Gregory.*

Odpowiedź ta wywołała zrozumiałe oburzenie poszkodowanych, którzy na własnej skórze doznali

tyle krzywd ze strony Anglików. Wyraziło się ono w następującem piśmie, przesłanem na ręce tegoż p. Gregory'ego:

Nr. 211586 — 57.

Do

Ministra Poselstwa Szwajcarskiego

w Londynie.

Mój Panie.

Z bolesnem zdziwieniem przeczytałem odpowiedź angielskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych na opis sprawy mojej, który urząd ten otrzymał za pośrednictwem Poselstwa.

Z odpowiedzi tej wynika, że urzędnicy ang. Min. Spraw Zagr. nie są w możności zaprzeczyć mym oskarżeniom. Usiłują jedynie perfidyjną interpretacją zdań złagodzić winę sprawców mego aresztowania. Zgrabnie omijają zarzuty, których odeprzeć nie są w stanie. Ale tem właśnie jeszcze bardziej podkreślają słuszność mego wystąpienia do rządu angielskiego z żądaniem ukarania winnych.

Nie mam bynajmniej zamiaru pójść w tej sprawie za przykładem ang. Min. Spraw Zagr. i dlatego też nie proponuję w obecnym stanie rzeczy krytykowania wyłącznie sofistycznych szczegółów odpowiedzi. Niechaj wystarczy, że powiem, iż w odpowiedniej chwili będę w możności podtrzymania dowodami pierwszorzędnymi w całej rozciągłości mej sprawiedliwej skargi dotyczącej okropnego postępowania, którego nieszczęsną stałem się ofiarą.

Chwilowo chciałbym tylko kilka punktów zobrazować w ogólnych zarysach.

Min. Spraw Zagr. w odpowiedzi swej nie próbuje wcale zadać kłam następującym punktom:

1) że ja, obywatel zaprzyjaźnionego mocarstwa bez uzasadnionego powodu zostałem aresztowany pomimo, iż byłem

w posiadaniu odpowiednich pism uwierzytelniających, z których wynikało, iż miałem najzupełniejsze prawo przebywania tam, gdzie mnie zaaresztowano;

2) że w posiadaniu mojem w chwili mego zaaresztowania znaleziono przy mnie legitymację wraz z dokumentami, których treść wyjaśniała istotę mych interesów i że nie było przypuszczenia, jakoby te dokumenty miały być kompromitujące, lub też nieprawidłowe;

3) iż wobec tych faktów i bez jakichkolwiek zarzutów, któreby mnie obciążały, ja, obywatel Rzeczypospolitej Szwajcarskiej, wtrącony zostałem do więzienia, że nałożono mi kajdany, przez szereg miesięcy poddawano okrutnym srogościom i obrazom, że zrabowano mi moje ubranie, pieniądze, moje dokumenty i przedmioty osobiste, których mi nie zwrócono, iż wbrew mej woli wleczono mnie jako więźnia w kajdanach, znajdującego się w ciągłym strachu o swe życie przez długie miesiące w tropikalnym klimacie malarycznego kraju, pod nadzorem ciemno-skórych, pozbawiono towarzystwa europejczyków i najelementarniejszych potrzeb cywilizowanego sposobu życia i to w czasie, kiedy z powodu niedostatecznego i nieodpowiedniego pokarmu i barbarzyńskiego traktowania cierpiełem na biegunkę;

4) że w żadnym momencie, ani przed mem zaaresztowaniem, ani też po niem i po wtrąceniu mnie do więzienia, nie przesłuchano mnie, ani też nie podniesiono przeciw mnie jakiegokolwiek oskarżenia i że w ten sposób traktowano mnie przez kilka tygodni, pomimo, iż ze sprawy mego kolegi więziennego M. Rendtdorffa, który później otrzymał od rządu angielskiego odszkodowanie, wyszło na jaw, iż moi siepacze i dozorczy więzienni ciężki popełnili błąd.

5) Przy odrobinie dobrej woli ze strony władz angielskich, zasiągnięcie informacji o mnie w poselstwie szwajcarskiem lub w innym źródle, umożliwiłoby mu stwierdzenie, iż byłem ofiarą okropnego z ich strony błędu, idjotyzmu, za którego następstwa, jak widzę, nie poczyniono dotychczas jeszcze żadnych kroków, by udzielić mi odszkodowania.

Ciężkie przeżycia w niewoli angielskiej nadszarpnęły bardzo moje zdrowie. Nie będę już w stanie tak intensywnie pracować, jak przedtem. Nadto z powodu uwięzienia mnie i trzymania w bezczynności przez rok zgórą, poniosłem znaczne straty pieniężne. Wobec tego proszę Pana najuprzejmiej o przedstawienie w mojem imieniu rządowi angielskiemu następujących punktów skargi:

1) by w bliskim terminie przeprowadzono dochodzenie przy udziale przedstawiciela Szwajcarskiego rządu, oraz żeby przy tem dochodzeniu umożliwiono mi sformułowanie mych powodów skargi oraz dostarczenie dowodów;

2) by przy rzeczonem dochodzeniu umożliwiono mi z pomocą mego adwokata przeprowadzić przesłuchanie krzyżowe świadków, wezwanych w imieniu władz angielskich o ile tacy świadkowie będą wezwani. Ja ze swej strony oświadczam, iż jestem gotów, wymienić nazwiska wszystkich oficerów i innych agentów rządu angielskiego, o których mi wiadomo, iż brali udział w traktowaniu mnie sprzeciwiającem się ustawom;

3) by przy takim dochodzeniu niezainteresowny sędzia rozjemczy lub osoba bezstronna, zamianowana przez rząd angielski i szwajcarski oraz przeze mnie samego, została upewniona, po wysłuchaniu odpowiednich dowodów, ustalić odszkodowanie pieniężne, do jakiego jestem uprawniony, a jednocześnie także i innej formy zadośćuczynienia i naprawienia szkody, jaka uznana zostanie za słuszną.

W związku z tem pragnąłbym też stwierdzić, iż czynię wyjątek co do twierdzenia, zawartego w końcowych wywodach ostatniego paragrafu, odpowiedzi ang. Min. Spr. Zagr. na skargę wniesioną w mojej sprawie. Gdy bowiem paragraf ten zamierza dać wyraz ubolewaniu z powodu sprzeciwiającego się ustawom traktowania mnie, kończy jak następuje:

„Wolno może dla złagodzenia jej, (t. j. władzy ang.) postępowania dodać, że pan Stump — jak przypuszczam — byłby został rozstrzelany przez rząd transkajspijski, gdyby generał Malleson nie był zarządził jego przetransportowania do Indyj”.

Otóż to stanowisko uważam za absolutnie bezpodstawo-

we, zupełnie nieusprawiedliwioną i niegodną próbę, przedstawienia transportu w świetle łagodniejszym, który to transport już sam w sobie jest nie do usprawiedliwienia, i to przedstawienia z pomocą środków, które same w sobie stanowią nową krzywdę i niczem nieuzasadnioną obrazę mej osoby.

Jakkolwiek rozmyślnie staram się uniknąć tonu, który przy pewnym wysiłku mógłby dla próżności urzędników Min. Spraw Zagr. stać się obraźliwy, nie mogę jednak powstrzymać się od wyrażenia swego zdumienia, że odpowiedzialni funkcjonariusze wielkiego mocarstwa, które przez długi szereg lat głosiło o sobie, iż jest obrońcą słabych i podporą wolności osobistej, wobec druzgocących faktów (którym zaprzeczyć nie mogą) mieliby próbować usunąć ze świata krzywdę, wyrządzoną ofierze urzędowej pomyłki lub też ją osłabić z pomocą sofizmu, że ofiarę tę mógłby zamiast tej krzywdy spotkać jeszcze gorszy los. Ponieważ opis mej sprawy znajdował się w posiadaniu ang. Min. Spraw Zagr. już przeszło 8 miesięcy, pozwałam sobie zaproponować, by wyznaczono krótszy termin celem ostatecznego załatwienia mej słusznej sprawy.

Roger Stump.

I oto, na skutek energicznego poparcia pre-tensyj Stumpa, Rendtdorffa i Tur-Murena przez odnośne ministerstwa ich rządów, Anglicy, pomimo nieprzyznawania się do popełnienia przez nich nad nami gwałtu i bezprawia, zmuszeni byli w końcu skapitulować. Stump otrzymał innej już treści dwa listy następujące:

MIN SPRAW ZAGR.

17.IX.20.

Szanowny Panie Stump.

Wróciłem właśnie z długiej rozmowy z władzami Urzędu Indyjskiego, w której rozpatrywaliśmy punkty, przedstawione przez Pana we wtorek.

Nie zająd żadne trudności co do wystosowania do Pana pisma bezpośredniego z uznaniem straszliwego nieporozumienia, którego Pan padłeś ofiarą i postaram się, by to pismo zostało Panu bezzwłocznie doręczone.

Co się zaś tyczy drugiego punktu, mianowicie odpowiedzialności rządu J. K. M. za poniesione przez Pana straty, spodziewam się, iż za kilka dni będę mógł przesłać Panu pismo urzędowe, przedstawiające nasze stanowisko.

Oddany Panu

podpisano: *J. B. Gregory.*

Bef. B - N 57.

MIN. SPRAW ZAGR.

Mój Panie.

Otrzymałem od Gf. Curzona de Kedleston nakaz wyrażenia Panu ubolewania rządu J. K. M. z powodu Pańskiego aresztowania na granicy rosyjsko - perskiej w sierpniu 1918 roku oraz z powodu srogości, jakie Pan przecierpiał w podróży do Indyj.

Aresztując Pana, władze postąpiły tak, w przekonaniu, iż mają do czynienia z agentem niemieckim. Mogę jednakże zapewnić Pana, że obecnie, po wyjaśnieniu sprawy, zarzut ten co do Pańskiej osoby cofnięty został bez zastrzeżeń.

Całkowicie oddany Panu, uniżony sługa

podpisano: *J. B. Gregory.*

I w oficjalnych swych organach rząd angielski wyraził publicznie ubolewanie z powodu tego co się stało i nawet znalazł sposób wypłacenia materialnego odszkodowania tym, którzy o to się dopominali. I tak, Stump, Rendtdorff i Tur-Muren otrzymali po 1000 funtów szterlingów, z funduszu t. zw. „łaska króla Jerzego“. A prócz tego Dr. Rendtdorff otrzymał rekom-

pensatę za pozbawienie go pracy zarobkowej w ciągu roku zgorą. Tur-Murenowi zaś przyznano nadto 3.800 koron szwedzkich, (której to sumy z powodu przedwczesnej swej śmierci nie odebrał).

W ten sposób, obywatele krajów z których rządami rząd angielski musiał się liczyć, uzyskali zadośćuczynienie zarówno w formie pieniężnej jak też i moralne.

Opublikowując niniejszy tom pamiętników mam możność zaprzeczyć gołosłownym twierdzeniom p. Gregóry'ego, przytaczając poniżej niektóre dokumenty z okresu naszego aresztowania. Dowodzą one jasno, iż panami sytuacji na Kaukazie i w Kraju Zakaspijskim w roku 1918 — 1919 byli właśnie Anglicy, w charakterze okupantów. I oni to jedynie władni byli rozporządzać się tam jak we własnym kraju, używając Rosjan li tylko jako narzędzie do wykonywania swych rozkazów.

SYTUACJA W KRAJU ZAKASPIJSKIM

(tłumaczenie).

W powrotnej drodze z Kraju Zakaspijskiego zatrzymałem się na kilka dni w Baku. Przypadkowo wpadł mi tam w ręce stary numer gazety „Iskry”, gdzie, przeczytałem czyjeś relacje o sytuacji w Kraju Zakaspijskim. Chciałbym do nich dodać parę uwag, a właściwie donieść również o sytuacji w tym kraju.

Autor rozpoczyna swój artykuł od przewrotu 31 grudnia ub. roku, t. j. przewrót ten uważa, jako wynik meetingu, który miał miejsce tego właśnie dnia, 31 grudnia ub. roku. Ja zaś chcę dowieść, iż plan tego właśnie przewrotu powstał znacznie

wcześniej. I, żeby wytłumaczyć jaki zachodzi związek między meetingiem a przewrotem zacznę od przewrotu czerwcowego ub. roku w Kraju Zakaspijskim.

Kizil - Arwaccy i Aschabadcy robotnicy, niezadowoleni z postępowania i taktyki bolszewików i oburzeni karygodnymi wybrykami komisarza Frołowa, powstali przeciwko niemu. Frołow został zabity, a jego oddział odpędzony za Czardżuj. Nie będę się wdawał w detale owego powstania. Było ono jedno z licznych w owym czasie na obszarze Republiki Sowieckiej.

Wypowiedziane zostały wówczas hasła zwołania Wszechrosyjskiej Konstytuanty. Wybrano Tymczasowy Komitet Wykonawczy i utworzono front. W liczbie prowadzących było kilku uczciwych, ideowych towarzyszy, ale większość stanowili ci, których najważniejszym celem było przerwanie frontu demokracji. Z przewrotu tego skorzystali wszyscy zwolennicy przedwojennego ustroju, mianowicie: b. oficerowie, białogwardziści i wszyscy jawni kontrrewolucjoniści. Dla podtrzymania zaś frontu zaproszono Anglików. Ci nie kazali długo czekać na siebie, przyszli i front już był zabezpieczony od ewentualnej ofensywy bolszewików.

Dalej wszystko poszło jak z nut. Czując mocny grunt pod nogami, kontrrewolucjonierzy i wrogowie demokracji zabrali się do roboty. Do Zakaspja zaczął się przypląć z za kordonu bolszewickiego wszystkich pozostałych tam jeszcze reakcjonistów i prowokatorów. W sierpniu zjawił się Drużkin, którego przyjęto z otwartymi ramionami. W Krasnowodzku już dano mu w pociągu do jego rozporządzenia przedział I klasy.

Mianowano go natychmiast przewodniczącym biura wywiadowczego. I z jego to polecenia byli aresztowani niektórzy pasażerowie, jadący tymże co i on pociągiem z Rosji, a którzy według jego mniemania byli elementem niepewnym (niektórzy z nich do dziś dnia siedzą jeszcze w więzieniu, nie bacząc na całą bezpodstawną oskarżeń).

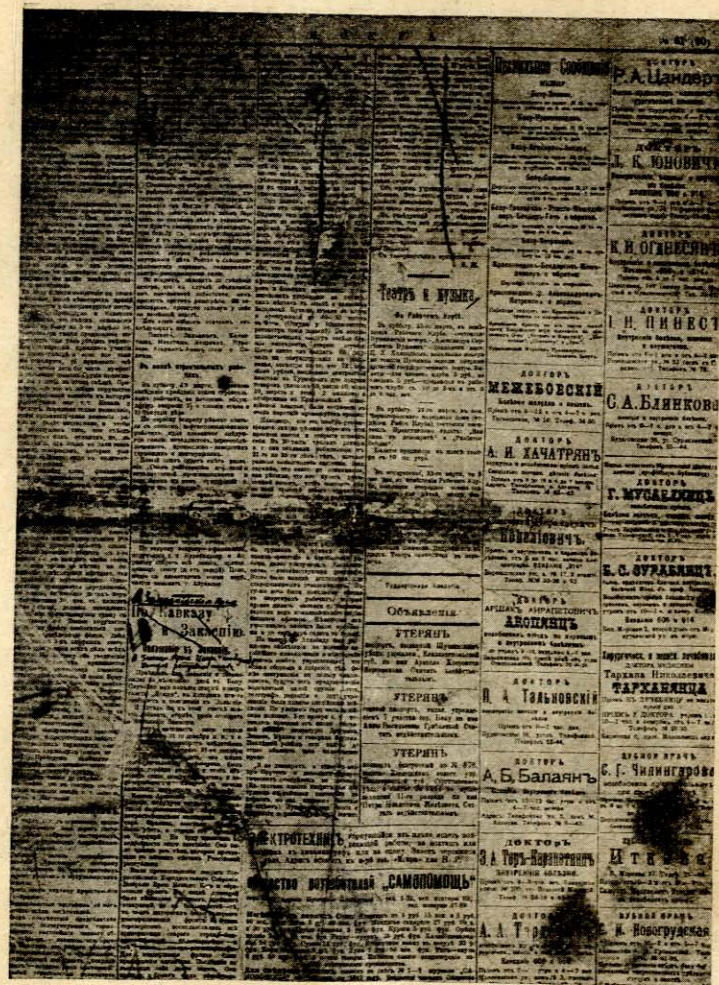
Wystąpił tu on jako socjal - rewolucjoner. Biuro wywiadowcze zaś zorganizował nie gorzej, jak organizowano niegdys, za czasów carskich „ochranki”.

Pracownicy ideowi przejrżeli wreszcie. Odżegnywali się od tej władzy przedewszystkiem robotnicy. Ci, którzy poszli na front na ochotnika, wracali teraz i tylko na ogłoszoną przymusową mobilizację stawili się do wojska, acz bardzo niechętnie. Tembardziej, że na front wysyłano wszystkich bezbronnnych robociarzy, zaś całe kadry oficerów, pogranicznych rotmistrzów i byłych policjantów, urządziły się na „cieplutkich miejscach” w sztabie i zapasowym bataljonie. Pili, hulali, grali w karty i przegrywali po 40 — 50 tysięcy rubli w ciągu jednej nocy. (A zkadże u zwyczajnego rotmistrza takie sumy?) W intendenturach zasiedli dawni, carscy intendenci, stare wróble. Prawie nikt z żołnierzy nie otrzymywał ani umundurowania, ani żołdu, chociaż suma 72 miliony rubli, wysłana przez władzę centralną do Turkiestanu na zakup różnych towarów, a odebrana w Krasnowodzku przez władzę Zakaspijską, była jakoś bardzo szybko wydatkowana, lecz na co?

Ale wreszcie, całe to kontrrewolucyjne gniazdo postanowiło zdjąć z siebie czerwone togi i pokazać się we właściwym świetle. W końcu grudnia ub. roku ogłoszono mobilizację dla ukończywanych lat 21 — 25, t. j. dla tych, którzy przedtem byli od tej powinności zwolnieni.

Wiedząc zgóry, iż mobilizacja ta nie odniesie żadnego skutku, uważali, iż to będzie najlepszym powodem do pokazania swego właściwego oblicza, jako władzy. Z pozwoleniem teje władzy zwołany był meeting, na który zaproszono całą ludność Aschabadu, celem omówienia sprawy mobilizacji właśnie. I na tym to meetingu, 31 grudnia ub. roku uwidocznione zostało kompletne bankructwo tej władzy. Było już jasnym, iż hasła, w imię których powstałi z orężem w rękę kizil-arwaccy i aschabadcy robotnicy, ulotniły się dawno z programu owego rządu. Wyniesiono odpowiednią rezolucję.

Tego wystarczyło zwolennikom starego ustroju. Teje nocy dokonano masowych czyny w mieszkaniach robotniczych, przez nanętych do tych czynności sipajów i Persów, pod dowództwem jednego z byłych oficerów carskich. Niektórzy z uczestników meetingu zostali aresztowani i dotąd siedzą w więzieniu.



Ryc. 6. (Do str. 270 — 274).

Następnego dnia, w całym mieście były rozklejone ogłoszenia, podpisane przez władze angielskie oraz niektórych członków owego rządu, że wszelkie meetingi i zebrania, a tembardziej jakiegokolwiek wystąpienia probolszewickie będą udaremniane przy pomocy oręża i bez żadnego uprzedzania.

Poczta, telegraf, redakcje i inne podobne instytucje zostały zajęte natychmiast przez wojsko angielskie. Ulicami Aschabadu krążyła angielska konnica.

2 stycznia b. r. pojawiły się rozkazy wybranej (ale przez kogo?) dyktatury Drużkina, Zimina, Bielowa i generała Krutena. Ten ostatni na długo przedtem zdążył być ogłosić swoje credo polityczne:

„Nie jestem demokratą, lecz generał-majorem Krutenem i nie uznaję żadnych demokratycznych republik“.

Do grona tworzącego władzę wchodzi między innymi także i dwaj stali mieszkańcy Aschabadu, (z utajoną nadzieją na powrót caratu), ale oni żadnego autorytetu nie mają.

Czy wobec tego warto mówić tu o jakiegokolwiek pracy partyjnej?

Niema żadnej. Wszystko zostało zdławione w samym zarodku. I niema mowy o jakiegokolwiek instytucji, któraby miała na celu obronę mas pracujących. Robotnikami właśnie są przepełnione wszystkie więzienia, kazamaty, odwach i t. p. „miłe“ instytucje. I to nietylko bolszewikami, lecz nawet tymi, co sympatyzują z demokracją. Bolszewików władza ta wogóle nie trzyma w więzieniu; ich natychmiast rozstrzelują. Więzienny zaś régime, nawet według oficjalnych sprawozdań, jest nie do zniesienia.

Towarzysze nasi, głodni, bez ubrania i obuwia (dosłownie), maltretowani są w więzieniach.

Jedynе czasopismo — dziennik rządowy. Można sobie wyobrazić, co za wiadomości podaje taka gazeta.

Jeszcze o jednej instytucji chciałbym wspomnieć. Miano- wicie, o Sekcji Pracy i Ubezpieczeń Socjalnych. Zdawałoby się, iż to jest instytucja, mająca na celu interesy proletariatu?

Ale szef tego resortu oznajmia, iż wszelkie związki zawodowe są wymysłem li tylko bolszewików.

Oto przedstawiony pokrótce smutny stan rzeczy w Kraju Zakaspijskim.

Z koleżeńskim pozdrowieniem

E. Ż.

Z WIEZIENIA (tłumaczenie).

Do Prezydjum Konferencji wpłynął cały szereg dokumentów, świadczących o położeniu osób, aresztowanych w Kraju Zakaspijskim, w związku z wypadkami, jakie zaszły w ostatnich miesiącach.

Poniżej przytaczamy niektóre z tych dokumentów.

„Do Prezydjum Konferencji Robotniczej w Baku”.

Straciwszy wszelką nadzieję, iż władze w których rękach znajdujemy się obecnie, zaprzestaną systematycznego znęcania się nad nami, spokojnymi obywatelami Zakaspia i Zakaukazia, i które z woli władz brytyjskich męczą nas od szeregu miesięcy w więzieniach, nie stawiając nam oficjalnie żadnych zarzutów oraz będą wyczerpanymi fizycznie i moralnie z powodu stałego znajdowania się pod groźbą śmierci przez rozstrzelanie, zwracamy się do Konferencji Robotniczej w tym celu, aby rzucić garść światła na panujące stosunki i na ten koszmar, którego jesteśmy świadkami i ofiarami jednocześnie.

Większość z nas została wzięta przez władze angielskie w charakterze zakładników, o czym świadczy załączona poniżej kopja ogłoszenia, zamieszczonego w numerze 2 (71) „Biuletynu Komitetu Rządzącego w Krasnowodzku” z dnia 3 stycznia 1919 roku. Są między nami tacy, którzy przeszło już pół roku poniewierają się w więzieniu i ani razu przez nikogo nie byli indagowani. Wszystkie podania, skierowywane przez nas do generała Tomsona i innych przedstawicieli władz angielskich, pozostały dotąd bez żadnej odpowiedzi. Śród aresztowanych są

kobiety i dzieci i znajdują się w jednakowych z nami warunkach.

Jeden z aresztowanych, inżynier Piotr, syn Jakóba, Mazin pod wrażeniem przeżytych okropności, postradał zmysły. Pomędzy nami zaś jest dużo chorych, których zapewne tenże sam los czeka, jaki spotkał nieboszczyka Arakelana. Nikt z nas nie wie, kto i o co go obwinia, a pomimo to władze angielskie, uważają widocznie za konieczne trzymanie nas w więzieniu, stosując do nas w dodatku srogi więzienny régime. Żadnemu z nas nie zezwalają na widzenie się z najbliższą rodziną, bodajby na kilka chwil i nawet w obecności władz. Do niektórych ze współwięźniów przyjeżdżały żony, ale ich starania o widzenie się z mężami były bezskuteczne.

Większość z nas aresztowano w nocy z 1 na 2 stycznia b. r. Z warunkami aresztowania zaznajomią załączone przy niniejszym dokumenty.

Pułkownik armji angielskiej, Flammig, aresztując nas w Krasnowodzku i wysyłając do Enzeli, oznajmił nam, wprowadzie, iż po przybyciu do Enzeli będziemy na wolności i że tam będą mogły odwiedzać nas nasze rodziny, ale od chwili przybycia do Enzeli upłynęło już kilka miesięcy i nie tylko, że nikt nie odwiedził nas, ale nie możemy dowiedzieć się, co się dzieje z naszymi rodzinami, czy żyją nasze dzieci i kto opiekuje się nimi w naszej nieobecności, (jeden ze współwięźniów, Joniczew, przed 6 miesiącami owdowiał i pięcioro jego dzieci, z których najstarsze ma lat 13, pozostało bez żadnej zupełnie opieki).

Znaleźliśmy się więc poza nawiasem wszelkich praw; niema osoby, niema instancji, do której moglibyśmy skierować nasze skargi i prosić o obronę najelementarniejszych naszych praw, jako ludzi.

Żądamy od władz angielskich natychmiastowego uwolnienia nas, albo oddania w ręce władz sądowych.

Do Konferencji Robotniczej zaś zwracamy się z prośbą o wstawiennictwo w naszej sprawie.

Przed chwilą otrzymaliśmy wiadomości, iż rodziny nasze nie otrzymują znikąd żadnej pomocy materialnej i znajdują się

w niezwykle ciężkich warunkach. Wobec tego zwracamy się do Kcnferencji Robotniczej z uprzejmą prośbą o rozpatrzenie naszej sprawy w możliwie krótkim terminie.

(Rodzinom aresztowanych urzędników pensji nie wypłacają już od stycznia b. r.).

Enzeli, 17 marca 1919 roku (nowy styl).

Urzednicy i robotnicy st. „Krasnowodzk“, Środkowo-Azjatyckiej Kolei żelaznej: Paweł Kowalewski, Dymitr Jonczew, Mikołaj Gonczarow, Iwan Anaszkin, Mikołaj Agafonow, Teodor Warłamow, Maksym Kuwajew, Siemion Ugłow, Jakób Andronow.

Doktor medycyny M. Rabinowicz, lekarka ambulatorjum przy st. „Krasnowodzk“.

Nauczyciel gimnazjum w Krasnowodzku, E. Rabinowicz.

Urzednicy Izby Skarbowej w Krasnowodzku: Trofim Gorbaczew, Michał Bogatych.

Urzednik Urzędu pocztowego w Krasnowodzku: Włodek.

Urzednicy biura portowego: Aleksander Tichonow i Mikołaj Tutyszkin.

Lekarze: Dymitr Nikandrow, Aleksy Goriełow i Borys Tuzin.

Robotnik, ślusarz z Baku, Paweł Sobke.

Obywatel miasta Krasnowodzka, Martyros Abramow.

Robotnik, W. Zajac.

OGŁOSZENIE.

Niniejszem podaję do wiadomości wszystkich obywateli m. Krasnowodzka, że osoby, aresztowane w nocy z 1 na 2-go stycznia b. r., w związku z zamachem 31 grudnia ub. r. na życie przewodniczącego Państwowego Komitetu Rządzącego i na wice-przewodniczącego Dobronrawowa, jako za wystąpienie ze strony bolszewików, uważam za zakładników i że w razie powtórzenia podobnego zajścia, wszyscy, znajdujący się obecnie w więzieniu będą rozstrzelani. Uprzedzam o tem.

Dowodzący wojskami angielskimi w Krasnowodzku

Podpułkownik *Flamming*.

W TYMCZASOWYM KOMITECIE WYKONAWCZYM W ASCHABADZIE

(tłumaczenie).

Posiedzenie 12 sierpnia 1918 roku.

Niezwykle ciekawem jest sprawozdanie członków moskiewskiego komitetu aprowizacyjnego. Sprawozdanie to poprzedza odczytanie pisma komisji, w którym komitet prosi o zwrot zabranych odeń pieniędzy oraz domaga się szerokich pełnomocnictw, w przeciwnym razie, biorąc pod uwagę obecny stan rzeczy w kraju, komitet nie ręczy za skutki, jakie mogłyby stąd wynikać.

Potem ogłoszono wynik badania nadzwyczajnej komisji śledczej, która oświadcza, iż żadnych zarzutów nie może postawić delegacji moskiewskiej.

Kurylew. Wobec powyższego uważam, iż prośbę delegacji należy uwzględnić, tembardziej, że my tu w Aschabadzie odczuwamy wielką potrzebę tych artykułów, które obiecuje dostarczyć nam komisja aprowizacyjna moskiewska, 23 wagony tych towarów, przeważnie manufaktury, powinny się już znajdować w Astrachaniu. We własnym naszym interesie jest uwzględnić w zasadzie prośbę delegacji, co zaś się tyczy formy, w jakiej miałyby nastąpić między nami wymiana towarów, to to możemy określić po porozumieniu się z rzeczoznawcami z miejscowych organizacji aprowizacyjnych.

Rodin, pełnomocnik Środkowo - Azjatyckiego komitetu aprowizacyjnego.

Jestem obywatelem Turkiestanu i członkiem andiżańskiej izby aprowizacyjnej; następnie w listopadzie ub. r. byłem w Aschabadzie i znajdowałem się wówczas w stosunkach z miejscowymi organizacjami aprowizacyjnymi, a zatem jestem już tu znany. (Następnie opowiada jak się on dostał do Moskwy). W Moskwie wszcząłem starania o zaopatrzenie naszego okręgu w niezbędne artykuły pierwszej potrzeby wzamian za suszone

owoce. Propozycja moja została przyjęta b. życzliwie, ponieważ suszone owoce dostarczane są tylko z Turkiestanu. Zaproponowano mi pojechać osobiście. Zgodziłem się pod warunkiem, że otrzymam towar natychmiast, gdyż w przeciwnym razie nie mógłbym ręczyć za skutek. Warunek mój przyjęto i wyjechaliśmy.

W Astrachaniu dowiedzieliśmy się, że pierwszy pociąg (według marszruty) z Moskwy już wyszedł. Bałem się Astrachania, Saratowa i Carycyna, ponieważ było tam niespokojnie. Minęliśmy jednakże te miasta bez żadnych zatrzymań. Zbliżając się do Krasnowodzka dowiedziałem się o przewrocie, jaki zaszedł w Kraju Zakaspijskim i że władza znajduje się w rękach mieńszewików i eserów.

Ucieszyliśmy się, gdyż i w naszych organizacjach niema ani jednego bolszewika. Oczekiwaliśmy życzliwego spotkania a tymczasem zatrzymano nas, odebrano oręż i uwięziono na całe dwa tygodnie.

Czułem, że dzięki temu towarzysze nasi nie są już zupełnie bezpieczni, zwłaszcza, że miałem wiadomości, iż jakiś pociąg moskiewskiego komitetu aprowizacyjnego został zatrzymany i rozładowany w Carycynie.

Gdyby zaś nie ta przymusowa bezczynność dwutygodniowa, jestem przekonany, że toby się było nie stało.

Celem naszej podróży był Samarkand, ponieważ tam właśnie znajdował się ów słynny rynek owoców suszonych. Chcieliśmy wydzielić pewną część tego artykułu dla Kraju Zakaspijskiego, by resztę puścić do Rosji centralnej. Nadmieniam przytem, że towary jakie wieźliśmy z Rosji, nie były przeznaczone dla organizacji aprowizacyjnych naszego kraju celem zaopatrzenia ludności, lecz przedewszystkiem dla wymiany na suszone owoce. Ogółem przeznaczało się dla nas 40 wagonów.

Prócz pociągu do Kraju Zakaspijskiego, także pociąg i w tym że celu wysłany był z Moskwy i do Baku. Mam dane przypuszczać, że z Kaukazu nic nie uda się Moskwie wziąć, a zatem i ten pociąg mógłby się dostać Krajowi Zakaspijskiemu. Czy potrzebna byłaby gwarancja władzy, iż towary nie mają

podlegać ani rekwizycji ani zatrzymaniu? Moskiewski komitet aprowizacyjny to najważniejsza organizacja aprowizacyjna, apolityczna, mająca na celu jedynie zaopatrzenie kresów w niezbędne artykuły. Miała ona zaorganizować w tymże celu specjalne biura ekspedycyjne. I jako przedstawiciele tej apolitycznej organizacji mieliśmy prawo rozliczać na życzliwe przyjęcie nas, lecz w żadnym wypadku na takie, jakie okazano nam niestety. Z tego powodu napisaliśmy memoriał, przeznaczony pierwotnie dla prasy, ale zastanowiwszy się, poniechaliśmy tej myśli, jako starzy pracownicy społeczni nie chcieliśmy „wynosić śmiecia poza dom”. Postanowiliśmy przedłożyć sprawę do wiadomości Panów.

Obwiniamy Krasnowodzki Komitet t. zw. „Staczechnyj”, (powstały jakoby dla walki z samowolą bolszewików) w najbliższej samowoli i naigrywaniu się, co miało miejsce w stosunku do nas. To dyskredytuje nie tylko sam Komitet „Staczechnyj” w Krasnowodzku, ale i całą nową władzę. Nie zważając na nasze kilkakrotne prośby, Komitet ów nie zadał sobie trudu przejrzienia naszych dokumentów, z których łatwo mógłby się zorientować z kim ma do czynienia, i w jakim celu przyjechaliśmy. Następnie, Komitet skierował naszą sprawę do aschabadzkiej komisji śledczej, podając ją w fałszywym zgoła świetle, z powodu czego w zwolnieniu nas nastąpiła nowa siedmiodniowa zwłoka.

Obchodzenie się z nami podczas aresztu było jak najgorsze. Piętnastu nas umieszczono w pokoiku, w którym z trudnością pomieścić się mogło najwyżej 5 — 6 osób. Okna pokoju wychodziły na stronę południową, tak, że myśmy się wprost dusili na skwarze. Naczelnikiem więzienia był czternastoletni malec (dosłownie), Fiłka. Znęcał się nad więźniami w okrutny sposób. Powietrze kupowaliśmy od niego, jak wrzątek na herbatę, na przykład, po 5 rubli, ponieważ pozwalał otwierać drzwi do korytarza tylko wtedy kiedy miał zapłacone zezwolenie. Utrzymanie nie dawano nam również. Rzeczy, jakie odebrano nam podczas aresztowania (a były między niemi także i rzeczy skarbowe) schowano pod klucz i przy ich odbiorze skonstatowaliśmy brak więcej niż połowy wszystkich przedmiotów. Wkońcu po-

zbawili nas możności komunikowania się ze światem; nie pozwalali wysłać depezy w sprawach służbowych do Moskwy i Aschabadu i zagrozili gorszymi jeszcze represjami.

Kuzniecowa. Powyższe oświadczenie jest według mego zdania jak gdyby aktem oskarżenia. Uważam za swój obowiązek wyjaśnić, że areszt był zarządzony na skutek skarg pasażerów o rzekomo prowokacyjnym zachowaniu się uzbrojonej straży pociągu.

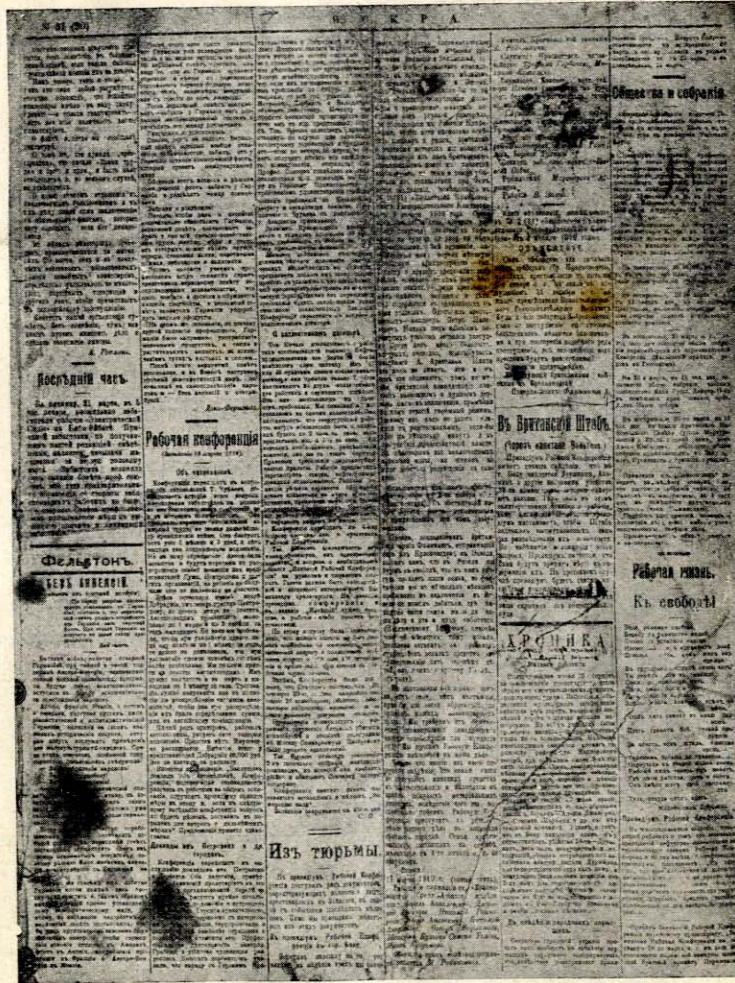
Nieznamow zwraca uwagę na niestosowność wystąpienia Rodina.

Rodin usprawiedliwia się, że odczytał ten memoriał by powiadomić o zajściu Komitet wykonawczy.

Celem wyjaśnienia zajścia, przewodniczący udziela słowa przedstawicielowi Krasnowodzka, p. K. Pasażerowie oświadczyli, że komisja ta zachowywała się prowokacyjnie, a uzbrojona straż wprost terroryzowała publiczność. Gdy jednakże dowiedzieli się, iż w Krasnowodzku bolszewików już niema, stali się naraz cisi i tchórzliwi. To wydało się nam wiele podejrzaniem. Podejrzaniem było też i to, że wioząc kasę wagi około 65 pudów, wzięli oni te pieniądze na siebie. Gdy dwóch z nich poprosiło o pozwolenie pójścia do miasta, myśmy wysłali w ślad za nimi swego wywiadowcę, który podsłuchiwał ich rozmowę w mieście. „Szkoła, że nie mamy przy sobie oręza, powiada jeden z nich, mybyśmy ich rozbili na miazgę“. Drugi z nich nazwał Komitet bandytami, rozporządzającymi się samowolnie. Nazwisk sprawdzili tych ludzi nie mogliśmy jednakże. Depesz zaś nie wysłaliśmy: do Moskwy dlatego, że nie uważaliśmy siebie za uprawnionych do tego; do Aschabadu zaś dlatego, że zamierzaliśmy nazajutrz wysłać samychże delegatów.

Po zakończeniu dyskusji, powzięto uchwałę następującą:

Opierając się na opinji komisji śledczej, prośbę delegatów moskiewskiego komitetu aprowizacyjnego uwzględnić, udzielając mu kredytu w banku; zaś co do formy wymiany towarów uchwalono opracowanie tego powierzyć organizacjom aprowizacyjnym, które ze swej strony mają przedstawić ten plan do zatwierdzenia Komitetowi wykonawczemu.



Ryc. 7. (Do str. 274 — 276)

Z następnych kwestyj zatrzymują uwagę audytorjum memorjał tow. Gajdarowa, oraz aschabadzkiego związku nauczycielskiego.

Tow. Gajdarowowi poleconem było zaznajomić się ze stanem zapasów żywności, w m. Aschabadzie. Z jego słów wynika, że Krasnowodzk jest zaopatrzony nieźle; manufaktury jest dużo, 10.000 pudów siemienia lnianego, herbata jest również i inne artykuły. Pozatem z Lenkorani proponują sprowadzić 100 wagonów zboża po cenie przystępnej, ale Komitet jakoś dotąd tej sprawy nie załatwił ze strony formalnej. Ale jest jeszcze sporo zboża i na miejscu. Jest również i cukier, nawet zapas dostateczny i na sierpień. Uważałby wobec tego za wskazane unikać przedławiania miasta, ponieważ należy się liczyć z możliwością wkroczenia od strony morza, nieprzyjaciela. Nadto, towary złożone są w tak licho zabezpieczonych od ognia składach, że jest z tej strony duże niebezpieczeństwo.

Następny mówca w zupełności podtrzymuje Gajdarowa, co do odciążenia miasta od niepotrzebnego balastu w postaci zbędnych artykułów, a zwłaszcza zboża. Krasnowodzk nadużywa władzy. Kilkakrotnie zapytywał o cukier i zawsze otrzymywał odpowiedź, iż cukru niema wcale, tymczasem zaś wie, że ludność tamtejsza otrzymała racje na lipiec, a nawet już i na sierpień. A na froncie ludzie pozostają bez cukru. Pozatem wiadomem mu jest, iż znajdowało się tam także 60 wagonów zboża. Funtikow dał zlecenie, aby zboże te oddać na przechowanie kilku sąsiednim miastom (w tem i Aschabad miał dostać 35 wagonów). Kilkakrotnie trzeba było przypominać, nim zlecenie to zostało wykonane, ale i dotąd nie zostało ono wszakże wykonane w całości; znaczna część wagonów znajduje się i po dziś dzień w Krasnowodzku. Należy zażądać kategorycznie wykonania zlecenia, w przeciwnym razie armja będzie zniewolona złożyć oręż. Dalej, proponują nam skądeś 100 wagonów zboża; chleb jest nam bardzo potrzebny, a władze tymczasem wciąż o tem rozmawiają.

Gajdarow dodaje jeszcze, że krasnowodzki Komitet staczejnyj przekracza dane mu pełnomocnictwa; nie zważając na zakaz wywozu z granic Kraju Zakaspijskiego, wywóz trwa

w dalszym ciągu. Tak naprzykład, dowiedziałem się, powiada drogą nielegalną o tem, że na pobliskiej stacji odbywa się obecnie ładowanie dużej ilości baranów na parostatki Nobla i Asadałajewa, a potem za potrójną i poczwórną cenę sprzedają je w Baku. Gdy chciałem ujawnić to nadużycie, ktoś niepowołany uprzedził kupców i kiedy przyszedłem, barany znajdowały się od brzegu o jakie 50 wiorst.

Kurylew. Kwestja aprowizacji dla nas, to kwestja życia. Jeżeli Krasnowodzk uznaje tę władzę, to i w kwestji aprowizacyjnej do niej się zwracać musi. Dosyć już mamy republik niezależnych. Należy pomyśleć wreszcie i o całej Rosji. Trzeba wszystkie zapasy towarów z Krasnowodzka ruszyć w naszą stronę, by następnie oddać w zarząd odpowiednich organizacyj aprowizacyjnych.

Tatajnow proponuje otworzyć w Krasnowodzku punkt rozdzielczy.

Wniosek przyjęto.

Ogłasza się następnie projekt aschabadzkiego związku nauczycielskiego założenia Komitetu nadszkolnego, składającego się z 6 osób: 3 od nauczycielstwa i 3 od Komitetu wykonawczego, jako przedstawicieli demokracji. Komitet ten ma na celu zarządzać wszystkimi sprawami, dotyczącymi oświaty ludowej, bibliotekami, kinematografami i t. p., o ile dotyczyć to będzie spraw pedagogiczno-wychowawczych. Przyczem prace Komitetu będą pod kontrolą Komitetu wykonawczego i zgodnie z jego polityką.

Przedstawiciel nauczycielstwa, Bołchowitinow, zwraca uwagę, iż kwestja szkolnictwa znajduje się w danej chwili w zupełnym upadku; nie posiada kierownictwa, a początek roku szkolnego zbliża się. Najlepszym kierownictwem dla szkolnictwa, według zdania mówcy, może być właśnie kolegjum, nie liczące więcej ponad 6 osób. Powołanie takiego kolegjum uważa za sprawę nader pilną, zwłaszcza z uwagi na ostatnie dekryty komisarza Uspienskiego, dzięki którym zapanował chaos. I tylko heroicznymi wysiłkami da się ten chaos unicestwić. Dodaje przytem, że sfera wpływów owego kolegjum obejmowa-

łaby cały Kraj Zakaspijski i w razie posuwania się wojsk, mogłaby się trochę rozszerzyć.

Przedstawiciel komitetów rodzicielskich, Wasiljew, uważa, iż skład projektowanego komitetu nie będzie zadawalającym ogół, ponieważ pominięci tu są rodzice uczącej się młodzieży. Przedstawiciele władzy z natury rzeczy zajęci ważnymi sprawami ogólnopństwowymi, nie będą mogli udzielać dużo swego czasu na sprawy szkolnictwa; nauczycielstwo, w większości swej pedagogowie z czasów starego jeszcze régime'u, nie wniosą nowego prądu w kierunek wychowania i nauczania. Tym sposobem wiele niezmiernie doniosłych kwestyj ujdzie uwagi owego komitetu. Nas, rodziców, zawsze odsuwano od spraw szkolnictwa, krępowali nasze wnikanie w te sprawy. Naprzykład, jednego z rodziców wydalono z komitetu pedagogicznego za to tylko, że osmielił się zwrócić uwagę jednej z nauczycielek na jej defekty w nauczaniu. To wzięto za obrażę osobistą nauczycielki.

Sołowjow zaprzecza, że jakoby rodzice odsunięci są od szkoły; mają oni prawo uczestniczyć w komitetach pedagogicznych poszczególnych szkół. Projektowany zaś komitet szkolny ma być instytucją nadszkolną i jako taki wychodzi już poza obręb spraw czysto pedagogicznych, jak naprzykład kwestja uposażeń nauczycieli i t. p., tak, że w podobnych sprawach udział rodziców byłby zbytecznym.

Podoprigora, przedstawiciel rodziców, zaprzecza, że jakoby komitet nadszkolny ma się zajmować sprawami wypłat pensyj nauczycielom; będzie on miał do rozważania i wiele innych kwestyj, których rozstrzygnięcie bez udziału rodziców byłoby niesłusznem. Proponuje przeto powołanie do owego nadszkolnego komitetu także i przedstawiciela od rodziców.

Łopatin. Ja też jestem przedstawicielem rodziców i w zupełności zgadzam się z moim przedmówcą. Popieram jego wniosek o powołanie do komitetu także i przedstawiciela rodziców.

Bołchowitinow zwraca uwagę, że zostałyby wówczas naruszona zasada parytetu, której należy wszakże bronić, po-

nieważ nauczycielstwo są to przecież specjaliści w zakresie nauczania i wychowawstwa.

Kurylew przyłącza się do protestów rodziców, oraz ich wniosków, a to dla tego, że pedagogowie stoją zawsze na straży swych interesów.

Funtikow również uważa, iż udział rodziców w nad-szkolnym Komitecie jest konieczny.

W głosowaniu wniosek przedstawiciela rodziców, p. Podprigora, przyjęto. G.

Stump, Rendtdorff i Tur-Muren, występując do władz angielskich, nie mogli przedstawić żadnych rzeczowych dowodów bezwzględnej winy Anglików w ich aresztowaniu. Tem się też tłumaczy, że p. Gregory z taką pewnością siebie zaprzeczał ich twierdzeniem, a nawet chciał im dowieść, iż gdyby nie ówczesna opieka „Anglików nad nami, zostalibyśmy rozstrzelani przez bolszewików“ lub inną władzę rosyjską. I dla tego w swym perfidyjnym liście podkreśla on nawet zasługę niejako Anglików w uratowaniu nam wtedy życia (!).

Na poparcie powyżej przytoczonych niewątpliwie rzeczowych i ważkich dowodów, (które udało mi się uratować, pomimo tylu przejść i przygód) pozwalam sobie umieścić także dowody z innego jeszcze źródła, dotyczące uwięzienia osoby, zupełnie mi nie znanej osobiście, mianowicie, obywatela Francji, profesora Juljana Chevreau. W książeczce, wydanej przez firmę wydawniczą „Rój“ z serji t. zw. Biblioteczka historyczno-geograficzna, Nr. 51, str. 44 — 50 (tłumaczenie z języka francuskiego) Robert Boucard tak opisuje o tajemniczym zniknięciu prof. Chevreau:

MĘCZENSTWO JULJANA CHEVREAU.

W poczekalniach Ministerstwa Spraw Zagranicznych i ambasady angielskiej w Paryżu, spotkać można często drobną postać kobiecą w grubej żałobie. Kobieta ta ma zaczerwienione od płaczu oczy i twarz przedwcześnie bruzdami smutku zoraną. Od długiego szeregu miesięcy, z niesłabnącą energją, szuka ona u władz francuskich i angielskich sprawiedliwości i uznania straszliwej krzywdy, którą jej wyrządzono. Oblega ona urzędy i zalewa Foreign Office potokami swych podań adresowanymi często do samego króla.

Kobieta ta, to wdowa po Julianie Chevreau i żąda ona, by zadość się stało pamięci jej męża i żeby śmiertelne zło, wyrządzone jemu, zostało ukarane.

Juljan Chevreau był profesorem w Liceum Cesarskim w Moskwie. Z chwilą wybuchu bolszewizmu postanowił opuścić Rosję. Fale rewolucji wyniosły go po przez Kaukaz, Armenję, Mezopotamję aż do Persji. Zamieszkał w Enzeli i tam wśród życzliwie nastrojonej ludności i swoich ukochanych ksiązek mógł wypocząć po przygodach długiej wędrowki, tem dla niego uciążliwszej, że od urodzenia kulał. Został najpierw nauczycielem gimnazjum, a następnie profesorem w Uniwersytecie w Okhowat, wykładał też na kursach Misji Amerykańskiej. Z zapałem i miłością nauczał o Francji, o jej bohaterskiej historii i wspaniałym rozkwicie jej kultury. Coraz większy zyskiwał sobie u Persów szacunek i cywilizacyjny jego wpływ coraz szersze zataczał kręgi. Mir, który otaczał tego Francuza irytował Anglików. Zaryzykowano, że stanowisko, które zajmował, należało się Anglo-Sasowi i postanowiono go usunąć. Zaprzyjaźnił się z nim w tym celu pułkownik Matheus i zaczął go obsypywać dowodami swojej sympatji. Chevreau, przez wdzięczność, chętnie udzielał Anglikom wszelkich informacji o Rosji i przebytych krajach. Pułkownik Matheus nawiązał kontakt między Chevreau a oficerem *Intelligence Service*. Zaczynał profesor uważać Anglików za sprzymierzeńców Francji i sądził, że obowiązkiem jego było współdziałać z nimi dla przyspie-

szczenia szybszego zwycięstwa. Co właściwie zgięło Chevreau? Czy przypadkiem doszły jego uszu nieprzeznaczone dlań a zbyt niebezpieczne tajemnice? Czy upomniał się o jakieś obiecane wynagrodzenie? — Nie wiadomo. Dość, że 7 sierpnia 1918 r., w chwili, gdy czytał sobie spokojnie w ogrodzie należącym do Komory Celnej, aresztował go patrol angielski. Na posterunku policji odebrano mu papiery i pieniądze. Poprosił, by go poprowadzono do Konsulatu Francuskiego, ale wysmiano. Zdjęto zeń ubranie i bito bez miłosierdzia kolbami. Następnie zamknięto w jakiejś izbie i trzymano tam trzy dni bez kropli wody, ani kawałeczka chleba.

Następnie żołnierze angielscy uprowadzili go, wraz z gromadą złodziei, spętawszy mu ręce i nogi, bez sądu, niewiadomo dokąd. Z pokrwawionymi nogami, trawiony gorączką i rozpaczą, szedł tak Chevreau pod piekącymi promieniami słonecznymi setki kilometrów do Kazwina, Sultan, Abadu, Hamadenu. Padał też często pod wpływem zmęczenia i wówczas oficer dowodzący eskortą uderzeniami kolby zmuszał go do wstania, złamał mu w ten sposób żebro i szczękę oraz zranił nos. Znęcanie się to było celowe — chciano, żeby umarł. W sześć tygodni po zaaresztowaniu doszedł Chevreau do Hinaidi pod Bagdadem w takim stanie zdrowia, że musiano go oddać do szpitala. Był to już szkielet ludzki. W parę tygodni potrafiiono przekształcić młodego zdrowego człowieka w zgrzybiałego, bezsilnego starca. W Bagdadzie w dalszym ciągu starano się go uśmiercić. Pościel, na której leżał, pełna była robactwa, co potęgowało jeszcze męczarnie chorego, walczącego z dysenterją i bronchitem oraz bólami, spowodowanymi złamaniem żebra. Starszy doktor, któremu się skarżył na swój los, odparł mu:

„To wszystko jest jeszcze za dobre dla Francuza“.

Jeden tylko lekarz, Anglik, dr. Talbot, starał się trochę ulżyć dołi chorego, ale mało mógł mu pomóc. Pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że wojskowa misja francuska zwiedzając będzie szpital. Promyk nadziei zaświtał dla biednego Chevreau. Ale kaci jego prędko kazali go wynieść do suteryn szpitala, by uniemożliwić mu porozumienie z rodakami. A jednak pomimo

tyłu cierpień, profesor Chevreau, uparcie nie chciał umierać. Chcąc ten upór przewyciężyć, doktor Mac Ready starał się struć pacjenta arsenikiem. Wiedziony jednak instynktem samozachowawczym, Chevreau nie chciał przyjąć podanego lekarstwa i wyrzucił szklankę.

10-go grudnia po raz pierwszy stawiono Chevreau przed oblicze oficera z *Intelligence Service*, który mu wytłumaczył, że zarzucają mu szpiegowstwo na szkodę Anglii. Na to, by oskarżony lepiej zrozumiał o co chodzi, uderzył go silnie pięścią w głowę.

Wywieziono więc profesora z Bagdadu do Indyj. Z obozu do obozu, z więzienia do więzienia, po przez pustynie i kamienne szlaki, zdany na łaskę i niełaskę żołnierzy, pozbawiony aparatu ortopedycznego, który się połamał, szedł tak Chevreau przez Azję.

Z Indyj odesłano go do Egiptu. W Egipcie władze angielskie zmieniły nagle taktykę i oddały zupełnie już wyczerpanego Chevreau w ręce komendanta wojsk francuskich w Port Saidzie. Stamtąd odjechał do Francji do rodzinnej wioski Saint-Mars-la-Briere. Tam dowiedział się, że na wyraźne żądanie *Intelligence Service* pozostaje pod ścisłym nadzorem policji i że niewolno mu oddalać się od domu dalej, niż o dwadzieścia kilometrów.

Wówczas ten spokojny i zrezygnowany człowiek, którego dni już były policzone zbuntował się...

Zaczęły się interpelacje posłów, korespondencje między ministrami spraw zagranicznych obu państw, kampanje dziennikarskie, wszystko jednak nie odniosło żadnego skutku. I choć się okazało czarno na białym, że Chevreau niesłusznie został posądzony o szpiegowstwo przeciw Anglii, *Intelligence Service* nigdy nie zechciał wyjaśnić tej sprawy i przyznać się chociażby do popełnionej pomyłki. Cóż mógł wskórać biedny profesor przeciw potężnej konspiracji zapomnienia i milczenia?

Leżąc w łóżku, znużony śmiertelną niemocą, pisał podania za podaniami, jedno z nich adresowane było nawet do króla angielskiego. Czując, że zbliża się śmierć, zaczął szlochać.

„Sprawiedliwości, sprawiedliwości, ja chcę, żeby ze mną postąpiono sprawiedliwie”.

Co rano pytał się:

„Czy niema listu dla mnie?”

Tak strasznie pragnął pomyślnych wiadomości o swojej sprawie, że żona, żeby osłodzić ostatnie chwile umierającego, zwróciła się z błagalną prośbą do którejs z wybitnych figur politycznych o napisanie następującego listu:

„Wiem, z najlepszych źródeł, że sprawa pańska jest na dobrej drodze”.

Chevreau umarł, trzymając ten list w dłoni.

Od jego śmierci żona nie przestała kołatać do drzwi sprawiedliwości, które odtąd pozostały zamknięte.

I jeszcze jeden fakt pozwolę sobie przytoczyć, aczkolwiek na jego udowodnienie nie mam innych danych prócz opowiadania samej, że tak powiem, ofiary, którą był niejaki Syromiatnikow, Rosjanin.

Spotkałem go we Władywostoku w roku 1920, po uwolnieniu się z niewoli angielskiej. Do wybuchu rewolucji zajmował on odpowiedzialne stanowisko inżyniera wodnego w Murgabie, w Kraju Zakaspijskim, posiadłości cara Mikołaja II. Był to wybitny fachowiec inżynier, należący do typu ludzi unikających cienia wszelkiej polityki. Pochodził z bardzo zamożnej rodziny rosyjskiej. Władał kilkoma europejskimi językami, w tem i angielskim.

Po wybuchu rewolucji, gdy zostały wstrzymane wszelkie roboty z jego zakresu, wyjechał on do Persji w nadziei zastosowania swej wiedzy fachowej w licznych koncesjach rosyjskich, którymi podówczas zarządzały byli Anglicy.

ni
wy
w
Kon
lic,
„ad-
uł

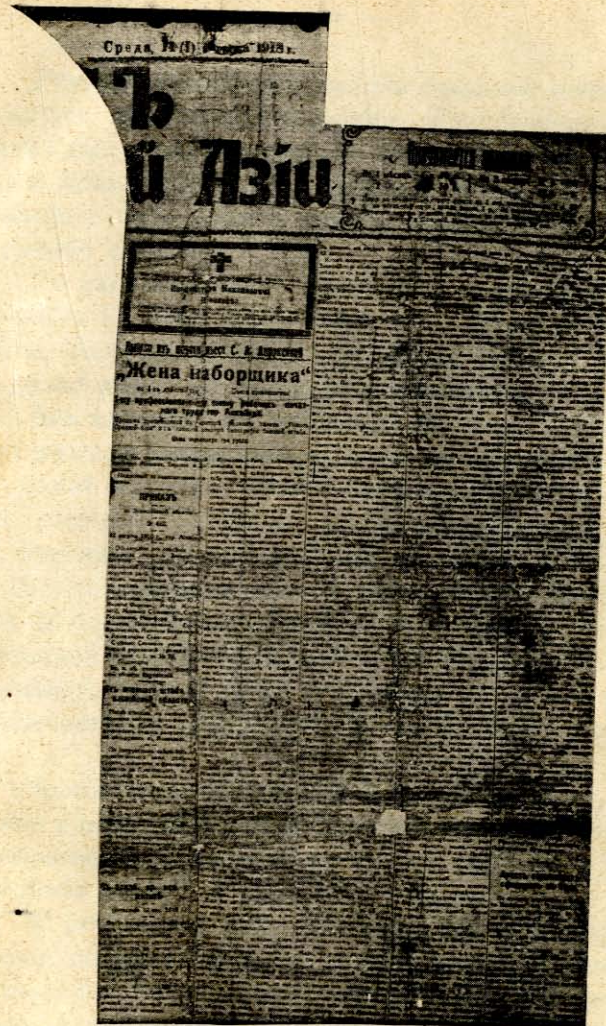


Рис. 8. (Do str. 277 — 284).

Przyjęty został zrazu bardzo życzliwie przez rezydujące tam władze angielskie. Przydzielono mu mieszkanie w jednym z hoteli i był często odwiedzany przez kilku oficerów angielskich, a zwłaszcza przez jednego z nich, który prowadził z nim długie, przyjacielskie rozmowy.

Po paru tygodniach został raptem zamknięty od zewnątrz i u drzwi postawiono wartę. Okazało się, iż oficer, który go najczęściej odwiedzał zadenuncjował go przed swymi władzami jako bolszewika (?!).

Bez żadnego sądu zakuto go następnie w kajdany i wysłano do Bagdadu, a potem do Władywostoku. Tu został wydany władzom rosyjskim, które na skutek „atestacji” Anglików, wpakowały go oczywiście do więzienia. Zachorował tam na tyfus plamisty, w bardzo ciężkiej formie. I byłby umarł niewątpliwie, gdyby nie była przyszła w porę pomoc ze strony korporacji byłych jego kolegów, inżynierów dróg i komunikacji, których sporo znajdowało się wówczas na odpowiedzialnych stanowiskach we Władywostoku.

Sposób aresztowania i metody postępowania zarówno z nami jak i z prof. Chevreau oraz z inż. Syromiatnikowym wskazują jasno, że działała tu niewątpliwie jedna i ta sama klika Anglików.

W brutalność swej chciała jak gdyby zamanifestować potęgę Anglii, nie przypuszczając zapewne, że czyni tem swemu krajowi niedźwiedzią zaiste przysługę. A już najmniej klika ta spodziewać się mogła tego, że ktokolwiek z więźniów odważy się opisać

niewłaściwe postęпки przedstawicieli tak potężnego kraju, jak Anglja.

A to jeszcze jeden dowód stosowania przez Anglików tortur w stosunku do więźniów. W numerze 221 warszawskiego „Expressu Porannego”, z dnia 11 sierpnia 1925 roku czytamy:

ANGIELSKIE TORTURY W WIEZIENIACH INDYJSKICH
ZOSTAŁY STWIERDZONE PRZEZ SĄD.

W Lahore w Indjach odbył się ciekawy proces. Zarząd miejscowego więzienia wystąpił na drogę sądową przeciwko redaktorowi pisma, który opisał straszliwe tortury, stosowane w więzieniu, w celu wymuszenia zeznań więźniów. Między innymi najczęściej stosowaną torturą było podwiązywanie głowy pod nogi.

Sąd po zbadaniu świadków uwolnił redaktora od winy i kary, stwierdzając tem samem, że w więzieniach angielskich praktykowane są tortury.



Niniejszy tom moich pamiętników jest ciągiem dalszym książki, wydanej w roku 1925 pod tytułem „Naokoło Afganistanu” (On his majesty's service).

Zawiera on dalsze wspomnienia z okresu martyrologji mojej i towarzyszków, gdy przebywaliśmy w charakterze jeńców w rękach Anglików w latach 1918 — 19.

Nie chodziło mi tu bynajmniej o opis fizycznych cierpień, związanych z położeniem jeńców wogóle, a już najmniej o rozczulenie temi cierpieniami, czytelnika. Ostatnia wojna zna mnóstwo o wiele jaskrawszych przykładów okrucieństw ludzi najbardziej ucywilizowanych i dolewać kropli do tego morza ciężkich wspomnień nie miałem zamiaru. Jedynym moim celem było odzwierciadlenie stanu duszy człowieka, żyjącego w przeciągu długich dziesięciu miesięcy pod stałą groźbą skazania go na śmierć, nie poczuwającego się w dodatku do żadnej winy.

Dla mnie pobyt w niewoli u przedstawicieli narodu uważanego dotąd za jeden z najkulturalniejszych był ciężkim i z tego jeszcze względu, że zachwiaił dotychczasowy mój pogląd na rzekomą wyższość kultury europejskiej wogóle. W tak nieludzki bowiem sposób traktowani byliśmy przez Anglików.

Oderwany od rodziny i od pracy, zostałem rzucony w mrowisko obcych mi pod każdym względem ludzi. Wpadłem w wir wypadków wyjątkowych, jakie rozgrywały się w ostatnie dni rozpadającego się kolosu, Rosji.

Na ten właśnie okres przypada śmierć Kołczaka, ginącego na oczach międzynarodowej armji, pod której skrzydłami znajdował się on wówczas.

Okres ten w Rosji śmiało można nazwać okresem tryumfu bestji ludzkiej.

Zdawało się, że żądza mordy i władzy ogarnęła wszystkich i wszystko. Łuna pożogi szła po przez całą Rosję aż hen, na Daleki Wschód. Ziemia chciwie piła krew ludzką, całymi potokami sącząca się na nieogarnionych wzrokiem obszarach tego kraju.

Wypadki, jakie miały miejsce w tym okresie w Rosji i na Dalekim Wschodzie nie były li tylko sprawą wewnętrzną Rosji. W ten czy inny sposób zawazyły one na stosunkach międzynarodowych i na losach innych krajów i narodów. Z tego względu zasługują na szczególną uwagę jak najszerszego ogółu. Zwłaszcza, gdy są opisywane przez osoby, przyglądające się im zbliska. Nasza zaś literatura posiada wyjątkowo skąpe pod tym względem wiadomości. I dla tego następny tom wspomnień zamierzam poświęcić tym właśnie wydarzeniom na terenie Rosji i na Dalekim Wschodzie, których nietylko byłem świadkiem, lecz nieraz zmuszony byłem brać w nich udział.



193401

SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
Wstęp	7
I Przez Indje w niewiadomym kierunku	11
II Przybycie do Nowgongu	22
III Charakterystyka niektórych więźniów	33
IV Izolowanie	44
V Obchód 29 listopada	55
VI Oddzielenie od całej grupy 8-miu jeńców	64
VII Szakale i orły	75
VIII Anglicy w roli poskromicieli	95
IX Przygnębiająca bezczynność	114
X Wymuszona deklaracja i pobyt w szpitalu	122
XI Zamach na mój dziennik	127
XII W drodze do Achmed-Nagaru	132
XIII Obóz w Achmed-Nagarze	140
XIV Odjazd z Achmed-Nagaru	170
XV Angielski statek „Dilwara”	189
XVI Przybycie do Hong-Kongu	200
Zamiast epilogu	254

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI F. HOESICKA W WARSZAWIE

	<i>Zł.</i>
Bąkowski Stanisław. Lotnik Niezłomny	5.—
Boy-Żeleński. Brewerje	6.60
— Mózg i pleć. 3 serje	18.—
— W Sorbonie i gdzieindziej	4.50
Braun Jerzy. Hotel na plaży	4.—
Brzękowski Jan. Psychoanalitik w podróży	6.—
Dąbrowska H. M. Zielony parawan	6.—
Dąbrowski Tadeusz. Uśmiechy wojny	3.—
— Księga pamiątkowa ku czci Tadeusza Dąbrowskiego	3.—
Dunin-Markiewicz K. Przemoc krwi	8.—
Gembarzewski Miłosz. Krzak gorejący	4.50
Godlewski Stefan. Grabinka	5.—
Grabiński Stefan. Klasztor i morze	6.—
Hulewicz Jerzy. Dzieje Utana	6.—
Jaworski Roman. Wesele Hrabiego Orgaza	10.—
Jędrkiewicz Edwin. Jędrak i szczęście	7.50
Kisielewski Zygmunt. Błąd	4.—
Konar Aleksan. Alfred. W pogoni za szczęściem	4.—
— Spelnione marzenia	5.50
— Optymistka	5.50
Kraśński Edward. Obrazki lowieckie	3.—
Lazarusówna Fryderyka. Migawkowe zdjęcia	4.—
Łopalewski Tadeusz. Podwójny cień	4.—
Mar Jan St. Lów	9.—
Miłaszewska Wanda. Pierwsza miłość	8.—
— Stare kąty	9.—
— Księżniczka Dagny	6.—
Naglerowa Herminja. Matowa kresa	6.—
Nowaczyński Adolf. System Doktora Caro	4.—
Ostrowska Bronisława. W starem lustrze	4.—
Pirandello L. Pierwsza noc	7.50
Schmidt Mieczysław. Dziesięć miesięcy pod grozą śmierci. <i>Z ilustracjami</i>	
Serafinowicz Wacław. Szczęście	5.—
Szaniawski Jerzy. Łgarze pod „Złotą kotwicą”	5.50
Ulanowski Tadeusz. Dr. Filut	10.—
— Uczta dozorców	9.—
Wat Aleksander. Bezrobotny Lucyfer	4.50
Wielowieyska E. Kat w pętli	5.—
Wietkiewicz Stanisław Ignacy. Pożegnanie jesieni	10.—
Włodkówna Br. Równoległe ścieżki	
Zyn Marta. O królownie, książęciu i ich miłowaniu	